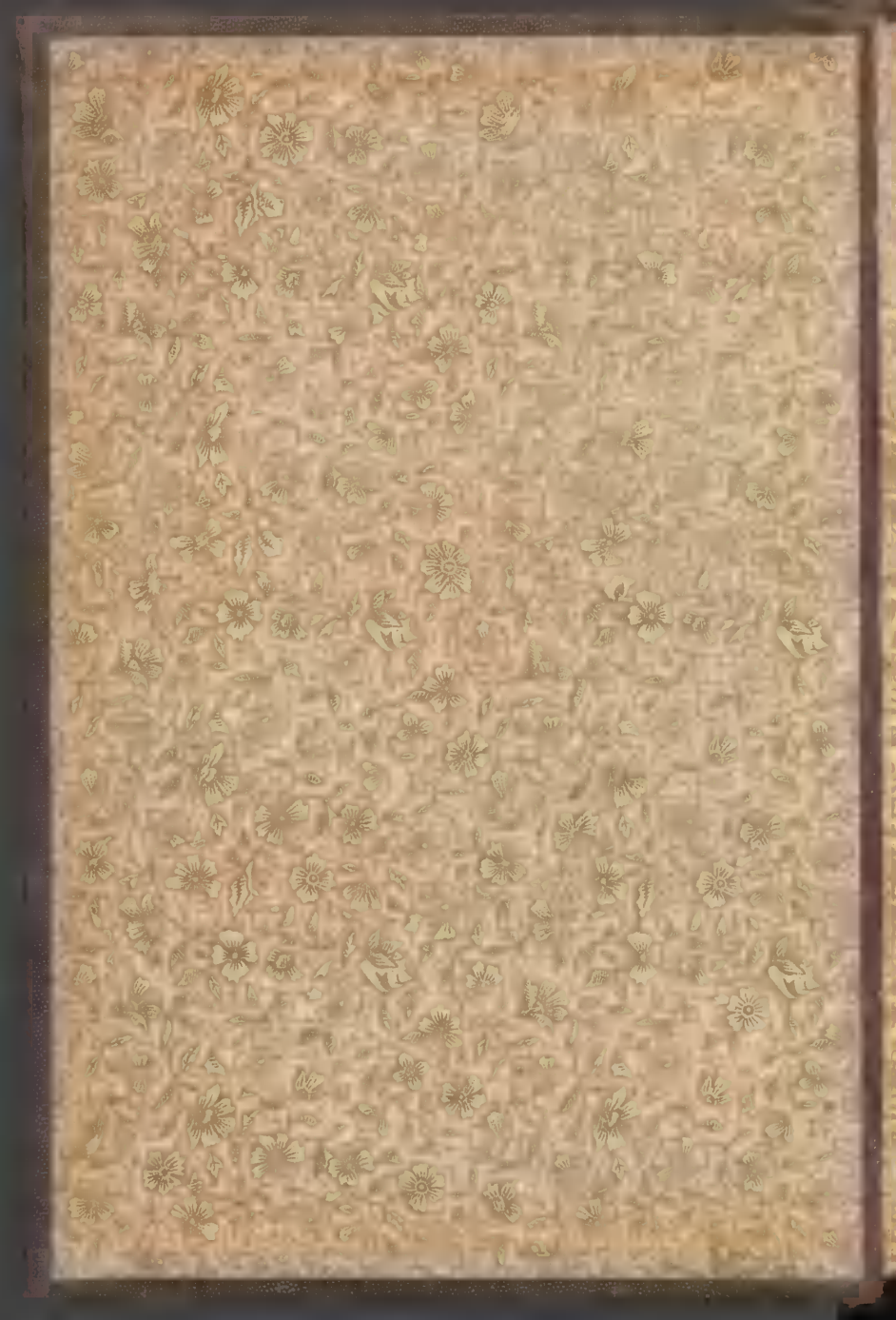
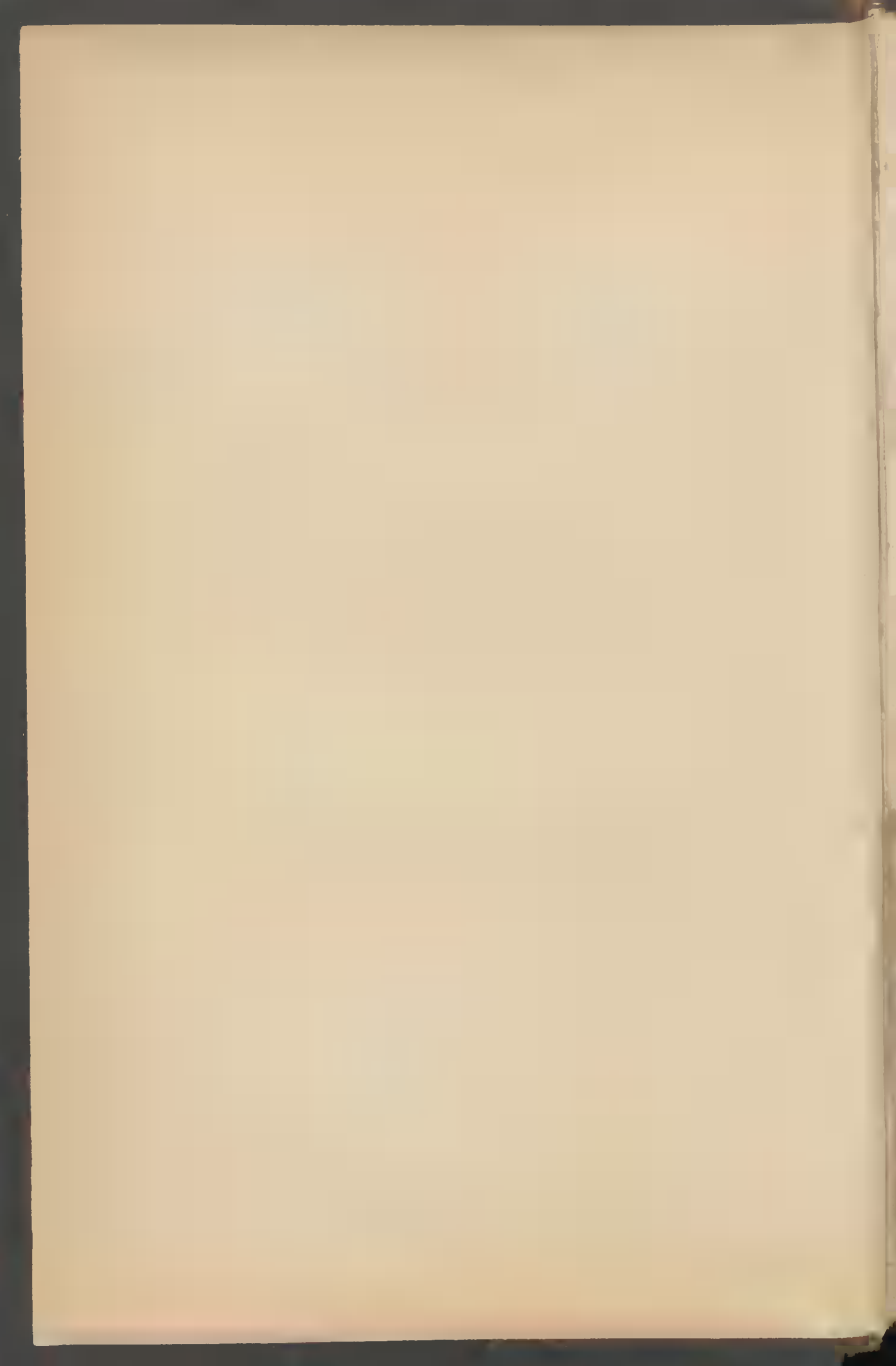


z.540337







OGNIEM I MIECZEM.



H. Lichiewicz

312,549

20.5-37-08

Z540337

OGNIEM I MIECZEM

POWIEŚĆ Z LAT DAWNYCH.

PRZEZ

HENRYKA SIENKIEWICZA.

TOM I.

WARSZAWA.

DRUKIEM WŁADYSŁAWA SZULCA I S-ki,
Nocą Nr. 1:

1884.

52 239 / 2008

801-



Z540337

Дозволено Цензурою.
Варшава, 8 Июля 1883 года

ROZDZIAŁ I.

Rok 1647 był to dziwny rok, w którym rozmaite znaki na niebie i ziemi zwiastowały jakoweś klęski i nadzwyczajne zdarzenia.

Współcześni kronikarze wspominają, iż z wiosny szarańcza w niesłychanej ilości wyroila się z Dzikich pól i zniszczyła zasiewy i trawy, co było przepowiednią napadów tatarskich. Tatem zdarzyło się wielkie zaćmienie słońca, a wkrótce potem kometa pojawiła się na niebie. W Warszawie widywano też nad miastem mogiłę i krzyż ognisty w obłokach; odprawiano więc posty i dawano jałmużny, gdyż niektórzy twierdzili, że zaraza spadnie na kraj i wygubi rodzaj ludzki. Nareszcie zima nastąpiła tak lekka, że najstarsi ludzie nie pamiętali podobnej. W południowych województwach lody nie popętały wcale wód, które podsycane topniejącym każdego ranka śniegiem, wystąpiły

z łożysk i pozalewały brzegi. Padały częste deszcze. Step rozmókł i zmienił się w wielką kałużę, słońce zaś w południe dogrzewało tak mocno, że dziw nad dziwy!— w województwie Bracławskiem i na Dzikich-polach zielona ruń okryła stepy i rozłogi już w połowie grudnia. Roje po pasiekach poczęły się burzyć i huczyć, było ryczało po zagrodach. Gdy więc tak porządek przyrodzenia zdawał się być wcale odwróconym, wszyscy na Rusi, oczekując niezwykłych zdarzeń, zwracali niespokojny umysł i oczy szczególnie ku Dzikim-polom, od których łatwiej niżli z kądiną mogło się ukazać niebezpieczeństwo.

Tymczasem na polach nie działo się nic nadzwyczajnego i nie było innych walk i potyczek jak te, które się odbywały tam zwykle, a o których wiedziały tylko orły, jastrzębie, kruki i zwierz polny.

Bo takie to już były te pola. Ostatnie ślady osiadłego życia kończyły się, idąc ku południowi, niedaleko za Czehrynem ode Dniepru, a od Dniestru, niedaleko za Umaniem, a potem już hen ku limanom i morzu step i step w dwie rzeki, jakby w ramę ujęty. Na łuku dniewym, na Niżu, wrzało jeszcze kozacze życie

za porohami, ale w samych polach nikt nie mieszkał i chyba po brzegach tkwiły gdzieś niegdzie „polanki“, jakoby wyspy wśród morza. Ziemia była de nomine Rzeczypospolitej, ale pustynna, na której pastwisk Rzeczypospolita tatarom pozwalała, wszakże, gdy kozacy często bronili, więc to pastwisko było i pobojewiskiem zarazem.

Ile tam walk stoczono, ilu ludzi legło, nikt nie zliczył, nikt nie spamiętał. Orły, jastrzębie i kruki jedne widziały, a kto zdaleka usłyszał szum skrzydeł i krakanie, kto ujrzał wiry ptasie, nad jednym kołujące miejscem, to wiedział, że tam trupy lub kości niepogrzebione leżą... Polowano w trawach na ludzi jakby na wilki lub suchaki. Polował kto chciał. Człek prawem ścigan chronił się w dzikie stepy, orężny pasterz trzód strzegł, rycerz przygód tam szukał, łotrzyk łupu, kozak tatara, tatar kozaka. Bywało, że i całe watahy broniły trzód przed tłumami napastników. Step to był pusty i pełny zarazem, cichy i groźny, spokojny i pełen zasadzek, dziki od dzikich pól, ale i od dzikich dusz.

Czasem też napełniała go wielka wojna. Wówczas płynęły po nim jak fale czambuły

tatarskie, pułki kozackie, to chorągwie polskie lub wołoskie; nocami rzenie koni wtórowało wyciom wilków, głos kotłów i trąb mosiężnych leciał aż do Owidowego jeziora i ku morzu, a na Czarnym szlaku, na Kuczmańskim—rzekł—byś powódź ludzka. Granic Rzeczypospolitej strzegły od Kamieńca aż do Dniepru stanice i „polanki”—i gdy szlaki miały się zaroić, poznawano właśnie po niezliczonych stadach ptactwa, które płoszone przez czambuły leciały na północ. Ale tatar, byle wychylił się z Czarnego lasu lub Dniestr przebył od strony wołoskiej, to stepem równo z ptakami stawał w południowych województwach.

Wszelako zimy owej ptactwo nie ciągnęło z wraskiem ku Rzeczypospolitej. Na stepie było ciszej niż zwykle. W chwili, gdy rozpoczyna się powieść nasza, słońce zachodziło właśnie, a czerwone jego promienie rozświecały okolicę pustą zupełnie. Na północnym krańcu Dzikich pól, nad Omelniczkiem, aż do jego ujścia, najbystrzejszy wzrok nie mógłby odkryć jednej żywej duszy, ani nawet żadnego ruchu w ciemnych, zeschniętych i zwiędłych burzanach. Słońce połową tylko tarczy wyglądało jeszcze z za widnokręgu. Niebo było

już ciemne, a potem i step zwolna mroczył się coraz bardziej. Na lewym brzegu, na niewielkiej wyniosłości, podobniejszej do mogiły niż do wzgórza, świeciły tylko resztki murowanej stancy, którą niegdyś jeszcze Teodoryk Buczański wystawił, a którą potem napady starły. Od ruiny owej padał długi cień. Opodał świeciły wody szeroko rozlanego Omelniczka, który w tem miejscu skręca się ku Dnieprowi. Ale blaski gasły coraz bardziej na niebie i na ziemi. Z nieba dochodziły tylko klangory żórawi, ciągnących ku morzu, zresztą ciszy nie przerywał żaden głos.

Noc zapadła nad pustynią, a z nią nastąpiła godzina duchów. Czuwający w stanicach rycerze, opowiadali sobie w owych czasach, że nocami wstają na Dzikich polach cienie poległych, którzy zeszli tam nagłą śmiercią w grzechu, i odprawują swoje korowody, w czem im żaden krzyż ani kościół nie przeszkadza. To też, gdy sznury, wskazujące północ, poczynęły się dopalać, odmawiano po stanicach modlitwy za umarłych. Mówiono także, że one cienie jeźdźców, snując się po pustyni, zastępują drogę podróżnym, jęcząc i prosząc o znak krzyża świętego. Między nimi trafiały się

i upiory, które goniły za ludźmi, wyjąc. Wprawne ucho zdaleka już rozeznawało wycie upiorów od wilczego. Widywano również całe wojska cieniów, które czasem przybliżały się tak do stanic, że strażę grały larum. Zapowiadało to zwykle wielką wojnę. Spotkanie pojedynczych cieniów nie znaczyło również nic dobrego, ale nie zawsze należało sobie źle wróżyć, bo i człek żywy zjawiał się nieraz i niknął jak cień przed podróżnemi, dlatego często snadnie za ducha mógł być poczytanym.

Skoro więc noc zapadła nad Omelniczkiem, nie było w tem nic dziwnego, że zaraz koło opustoszałej staniczki pojawił się duch czy człowiek. Miesiąc wychynał właśnie z za Dniepru i obielił pustkę, głowy bodiaków i dał stepową. W tem niżej na stepie ukazały się i inne jakieś nocne istoty. Przelatujące chmurki przesłaniały co chwila blask księżyca, więc owe postacie to wyblyskiwały z cienia, to znowu gasły. Chwilami nikły zupełnie i zdawały się topnieć w cieniu. Posuwając się ku wyniosłości, na której stał pierwszy jeździec, skradały się cicho, ostrożnie, zwolna, zatrzymując się co chwila.

W ruchach ich było coś przerażającego, jak

i w całym tym stepie, tak spokojnym napozór. Wiatr chwilami podmuchiwał ode Dniepru, sprawiając żalosny szelest w zeschniętych bodiakach, które pochylały się i trzęsły, jakby przerażone. Nakoniec postacie znikły, schroniły się w cień ruiny. W bladym świetle nocy wiadać było tylko jednego jeźdźca, stojącego na wyniosłości.

Wreszcie szelest ów zwrócił jego uwagę. Zbliżywszy się do skraju wzgórza, począł wpatrywać się w step uważnie. W tej chwili wiatr przestał wiać, szelest ustał i zrobiła się cisza zupełna.

Nagle dał się słyszeć przeraźliwy świst. Zmieszane głosy poczęły wrzeszczyć przeraźliwie: „Hała! hała! Jezu Chryste! ratuj! bij!“ Rozległ się huk samopałów, czerwone światła rozdarły ciemność. Tętet koni zmieszał się z szcękami żelaza. Nowi jacyś jeźdźce wyrośli jakby z pod ziemi na stepie. Rzekłbyś burza zawrzała nagle w tej cichej złowrogiej pustyni. Potem jęki ludzkie zawtórowały wrzaskom strasznym, wreszcie ucichło wszystko, walka była skończona.

Widocznie, rozegrywała się jedna ze zwykłych scen na Dzikich polach.

Jeźdźcy zgrupowali się na wyniosłości, niektórzy pozsiadali z koni, przypatrując się czemuś pilnie.

W tem ciemnościach ozwał się silny i rozkazujący głos.

— Hej tam! skrzesać ognia i zapalić.

Po chwili posypały się naprzód iskry, a potem buchnął płomień suchych oczeretów i łuczywa, które podróżujący przez Dzikie pola wozili zawsze ze sobą.

Wnet wbito w ziemię drąg od kaganka i jaskrawe padające z góry światło oświeciło wyraźnie kilkunastu ludzi pochylonych nad jakąś postacią, leżącą bez ruchu na ziemi.

Byli to żołnierze, ubrani w barwę czerwoną, dworską i w wilcze kapuzy. Z tych jeden, siedzący na dzielnym koniu, zdawał się reszcie przywodzić. Zsiadłszy z konia, zbliżył się do owej leżącej postaci i spytał:

— A co wachmistrzu, żyje, czy nie żyje?

— Żyje, panie namiestniku, ale harcze; arkan go zdławił.

— Co zacz jest?

— Nie tatar, znaczny ktoś.

— To i Bogu dziękować.

Tu namiestnik popatrzył uważniej na leżącego męża.

— Coś jakby hetman! rzekł.

— I koń pod nim tatar zacny, jak lepszego u chana nie znaleźć, odpowiedział wachmistrz. A ot, tam go trzymają.

Porucznik spojrział i twarz mu się rozjaśniła. Obok, dwóch szeregowych trzymało rzeczywiście dzielnego rumaka, który, tuląc uszy i rozdymając chrapy, wyciągał głowę i poglądał przerażonemi oczyma na swego pana.

— Ale koń, panie namiestniku, będzie nasz? wtrącił tonem pytania wachmistrz.

— A ty psiawiaro, chciałbyś chrześcijaninowi konia w stepie odjąć.

— Bo zdobywczy...

Dalszą rozmowę przerwało silniejsze chrapanie zduszonego męża.

— Wlać mu gorzałki w gębę, rzekł pan namiestnik, pas odpiąć.

— Czy zostaniemy tu na nocleg?

— Tak jest, konie rozkulbaczyć, stos zapalić.

Żołnierze skoczyli co żywo. Jedni poczęli cucić i rozcierać leżącego, drudzy ruszyli po oczerety, inni rozeszali na ziemi skóry wielbłądzie i niedźwiedzie na nocleg.

Pan namiestnik, nie troszcząc się więcej o zduszonego męża, odpiął pas i rozciągnął się na burce przy ognisku. Był to młody jeszcze człowiek, suchy, czarniawy, wielce przystojny, ze szczupłą twarzą i wydatnym orlim nosem. W oczach jego malowała się okrutna fantazyja i zadzierzystość, ale w obliczu miał wyraz uczciwy. Wąs dość obfity i niegolona widocznie oddawna broda dodawały mu nad wiek powagi.

Tymczasem dwaj pachołkowie zajęli się przyrządzaniem wieczerzy. Położono na ogniu gotowe ćwierci baranie; zdjęto też z koni kilka dropiów, upolowanych w czasie dnia, kilka pardew i jednego suchaka, którego pachoł wnet zaczął obłupywać ze skóry. Stos płonął, rzucając na step ogromne czerwone koło światła. Zduszony człowiek począł zwolna przychodzić do siebie.

Przez czas jakiś wodził nabiegłemi krwią oczyma po obcych, badając ich twarze, następnie usiłował powstać. Żołnierz, który poprzednio rozmawiał z namiestnikiem, dzwignął go w górę pod pachy; drugi włożył mu obuszek w dłoń, na którym nieznajomy wsparł się z całej siły. Twarz jego była jeszcze czerwona,

żyły jej nabrzmiałe. Nakoniec przyduszonym głosem wykrztusił pierwszy wyraz:

— Wody!

Podano mu gorzałki, którą pił i pił, co mu widocznie dobrze zrobiło, bo odjąwszy wreszcie flaszę od ust, czystszym już głosem spytał:

— W czym jestem ręku?

Naczelnik powstał i zbliżył się ku niemu.

— W ręku tych, co waści salwowali.

— Przeto nie waszmościowie schwycili mnie na arkan.

— Mosanie, nasza rzecz szabla, nie arkan. Krzywdzisz waść dobrych żołnierzów podejrzeniem. Złapali cię jakowis łotrzykowie, których jeśliś ciekaw, oglądać możesz, bo oto leżą tam porznięci jak barany.

To mówiąc, wskazał ręką na kilka ciemnych ciał, leżących poniżej wyniosłości.

A nieznajomy na to:

— To pozwólcie mi spocząć.

Podłożono mu wołokową kulbakę, na którą siadł, i pograżył się w milczeniu.

Był to mąż w sile wieku, średniego wzrostu, szerokich ramion, prawie olbrzymiej budowy ciała i uderzających rysów. Głowę miał ogromną, cerę zawiedłą, bardzo ogorzałą, oczy

czarne i nieco ukośne, jak u tatara, a nad wążkami ustami zwieszał mu się cienki wąs, rozchodzący się dopiero przy końcach w dwie szerokie kiście. Twarz jego potężna zwiastowała odwagę i dumę. Było w niej coś pociągającego i odpychającego zarazem — powaga hetmańska, ożeniona z tatarską chytrą, dobroć i dzikość.

Posiedziawszy nieco na kulbace, wstał i nad wszelkie spodziewanie, zamiast dziękować, poszedł oglądać trupy.

— Prostack! mruknął namiestnik.

Nieznajomy tymczasem przypatrywał się uważnie każdej twarzy, kiwając głową, jak człowiek, który odgadł wszystko, poczem wracał zwolna do namiestnika, klepiąc się po bokach i szukając mimowolnie pasa, za który widocznie chciał zatknąć rękę.

Niepodobała się młodemu namiestnikowi ta powaga w człeku oderżniętym przed chwilą od powroza, więc rzekł z przekąsem:

— Rzekłby kto, że wasze znajomych szukasz między owemi łotrzykami, albo że pacierz za ich duszę odmawiasz.

Nieznajomy odparł z równą powagą:

— I nie mylisz się waś i mylisz: nie my-

lisz się bom szukał znajomych, a mylisz się, bo to nie łotrzykowie, jeno słudzy pewnego szlachcica, mego sąsiada.

— Tedy widocznie nie z jednej studni pijacie z onym sąsiadem.

Dziwny jakiś uśmiech przeleciał po cienkich wargach nieznajomego.

— I w tem się waśc mylisz, mruknął przez zęby.

Po chwili dodał głośniej:

— Ale wybacz waszmość pan, żem mu naprzód powinnej nie złożył dzięki za auxilium i tak skuteczny ratunek, który mnie od tak nagłej śmierci wybawił. Waści męstwo stanęło za moją nieostrożność, bom się od ludzi moich odłączył, ale też wdzięczność moja wyrównywa waszmościnej ochocie.

To rzekłszy wyciągnął ku namiestnikowi rękę.

Ale butny młodzieńczyk nie ruszył się z miejsca i nie śpieszył z podaniem swojej, natomiast rzekł:

— Chciałbym naprzód wiedzieć, jeżeli ze szlachcicem mam sprawę, bo chociaż o tem nie wątpię, jednakże bezimiennych podzięków przyjmować mį się nie godzi.

— Widzę w waszmości prawdziwie kawalerską fantazyę—i słusznie mówisz. Powiniennem był zacząć od nazwiska mój dyskurs i moją podziękę. Jestem Zenobi Abdank, herbu Abdank z krzyżykiem, szlachcic z województwa kijowskiego osiadły, i pułkownik kozackiej chorągwi księcia Dominika Zasławskiego.

— A ja Jan Skrzetuski, namiestnik chorągwi pancерnej J. O. Ks. Jeremiego Wiśniowieckiego.

— Pod sławnym wojownikiem waść słyszysz. Przyjmże teraz moją wdzięczność i rękę.

Namiestnik nie wahał się dłużej. Towarzysze pancerni z góry wprowadzili patrzyli na żołnierzy z pod innych chorągwi, ale pan Skrzetuski był na stepie, na Dzikich polach, gdzie takie rzeczy mniej szły pod uwagę. Zresztą miał do czynienia z pułkownikiem, o czem zaraz naocznie się przekonał, bo gdy jego żołnierze przynieśli p. Abdankowi pas i szablę, z których go rozpasano dla cucenia, podali mu zarazem i krótką buławę o osadzie z kości, o głowie z ślinowatego rogu, jakich zażywali zwykle pułkownicy kozaccy. Przytem ubiór imci Zenobiego Abdanka był dostatni, a mowa

kształtna znamionowała umysł bystry i otarcie się w świecie.

Więc pan Skrzetuski zaprosił go do kompanii. Zapach pieczonych mięs jał właśnie rozchodzić się od stosu, łechcąc nozdrza i podniebienie. Pachół wydobył je z żaru i podał na latercynowej misie. — Poczeli jeść, a gdy przyniesiono spory worek mołdawskiego wina, uszyty z kozłej skóry, wnet zawiązała się żywa rozmowa.

— Oby się nam szczęśliwie do domu wróciło! rzekł pan Skrzetuski.

— To waszmość wracasz? skądże proszę? spytał Abdank.

— Zdaleka, bo z Krymu.

— A cóżeś waszmość tam robił? z wykupnem jeździłeś?

— Nie, mości pułkowniku; jeździłem do samego chana.

Abdank nastawił ciekawie ucha.

— Ano to proszę — w piękną waść wszedłeś komitywę. I z czymże do chana jeździłeś?

— Z listem J. O. Ks. Jeremiego.

— To waść posłował! O cóż jegomość księżę do chana pisał?

Namiestnik popatrzył bystro na towarzysza.

— Mości pułkowniku — rzekł — zaglądałeś w oczy łotrzykom, którzy cię na arkan ujęli— to twoja sprawa; ale co książę do chana pisał, to ani twoja, ani moja, jeno ich obydwóch.

— Dziwiłem się przed chwilą, odparł chytrze Abdank, że jegomość książę tak młodego człowieka posłem sobie do chana obrał, ale po waścinej odpowiedzi już się nie dziwię, bo widzę, żeś młody laty, ale stary eksperyencyą i rozumem.

Namiestnik połknął gładko pochlebne słówko, pokręcił tylko młodego węża i pytał:

— A powiedz-że mi waszmość co porabiasz nad Omelniczkiem i jakeś się tu wziął sam jeden?

— Nie jestem sam jeden, jenom ludzi zostawił po drodze, a jadę do Kudaku, do pana Grodzickiego, któren tam jest przełożonym nad prezydyum, i do którego jegomość hetman W. wysłał mnie z listami.

— A czemu waść nie bajdakiem, wodą?

— Taki był ordynans, od którego odstąpić mi się nie godzi.

— To dziw, że jegomość hetman taki wydał ordynans, gdyż właśnie na stepie w tak

ciężkie popadłeś terminy, których, wodą jadąc pewno byłbyś uniknął.

— Mosanie, stepy teraz spokojne; znam ja się z niemi nie od dziś, a to co mnie spotkało, to jest złość ludzka i invidia.

— I któż to na jegomości tak nastaje?

— Długoby gadać. Sąsiad to zły, mości namiestniku, który substancyję mi zniszczył, z włości mnie ruguje, syna mi zbił — i ot — widziałeś waść, tu jeszcze na szyję moję nstawiał.

— A to waść nie nosisz szabli przy boku?

W potężnej twarzy Abdanka zabłysła nienawiść, oczy zaświeciły mu posępnie i odrzekł zwolna a dobitnie:

— Noszę — i tak mi dopomóż Bóg, jako innych rekursów przeciw wrogom moim szukać już nie będę.

Porucznik chciał coś mówić, gdy nagle na stepie rozległ się tętęt koni, a raczej pośpieszne chlupotanie końskich nóg po rozmięklej trawie. Wnet też i czeladnik namiestnika, trzymający straż nadbiegł z wieścią, że jakowis ludzie się zbliżają.

— To pewnie moi, rzekł Abdank, którzy zaraz za Taśminą zostali. Jam też, nie spo-

dziewając się zdrady, tu na nich czekać obiecał.

Jakoż po chwili gromada jeźdźców otoczyła półokręgiem wzgórze. Przy blasku ognia, ukazały się głowy końskie z otwartymi chrapami, prychające ze zmęczenia, a nad niemi pochylone twarze jeźdźców, którzy, przysłaniając rękoma od blasku oczy, patrzyli bystro w światło.

— Hej ludzie! kto wy? spytał Abdank.

— Raby boże! — odpowiedziały głosy z ciemności.

— Tak, to moi mołojce, powtórzył Abdank, zwracając się do namiestnika. — Bywajcie! bywajcie!

Niektórzy zeszli z koni i zbliżyli się do ognia.

— A my śpieszyli, śpieszyli batku. Szczo z toboju?

— Zasadzka była. Chwedko zdrajca wiedział o miejscu i tu już czekał z innemi. Musiał podążyć dobrze przedemną. Na arkan mnie ujeli!

— Spasi Boh! spasi Boh! A to co za laszk koło ciebie?

Tak mówiąc spoglądali groźnie na pana Skrzetuskiego i jego towarzyszków.

— To druhy dobre, rzekł Abdank. Sława Bogu, całym i żyw. Zaraz będziemy ruszać dalej.

— Sława Bogu! my gotowi.

Nowoprzybyli poczęli rozgrzewać dłonie nad ogniem, bo noc była zimna choć pogodna. Było ich ze czterdziestu, ludzi rosłych i dobrze zbrojnych. Nie wyglądali wcale na kozaków rejestrowych, co nie pomału zdziwiło pana Skrzetuskiego, zwłaszcza, że była ich garść tak spora. Wszystko to wydało się namiestnikowi mocno podejrzanem. Gdyby hetman W. wysłał imé Abdanka do Kudaku, dałby mu przecie strażę z rejestrowych, a powtóre z jakiejżeby racyi kazał mu iść stepem od Czehryna nie wodą. Konieczność przeprawiania się przez wszystkie rzeki, idące Dzikimi polami do Dniepru, mogła tylko pochód opóźnić. — Wyglądało to raczej tak, jakby imé p. Abdank chciał właśnie Kudak ominąć.

Ale zarówno i sama osoba p. Abdanka zastanawiała wielce młodego namiestnika. Zauważył wraz, że kozacy, którzy ze swemi pułkownikami obchodzili się dość poufale, jego

otaczali czcią niezwykłą, jakby prawego hetmana. Musiał to być jakiś rycerz dużej ręki, co tem dziwniejsze było p. Skrzetuskiemu, że znając Ukrainę i z tej i z tamtej strony Dniepru, o takim przesławnym Abdanku nie słyszał. Było przytem w twarzy tego męża coś szczególnego — jakaś moc utajona, która tak biła z oblicza, jak żar od płomienia, jakaś wola nieugięta, znamionująca, że człek ten przed nikim i niczem się nie cofnie. Taką właśnie wolę w obliczu miał książę Jeremi Wiśniowiecki, ale co w księciu było przyrodzonym natury darem, właściwym wielkiemu urodzeniu i władzy, to mogło zastanowić w mężu nieznanego nazwiska, zabłąkanym w głuchym stepie. Pan Skrzetuski długo deliberował. Chodziło mu po głowie, że to może jaki potężny banita, który wyrokiem ścigan chronił się w Dzikie pola — to znów, że to watażka watahy zbójckiej, ale to ostatnie nie było prawdopodobne. I ubiór i mowa tego człowieka pokazywały co innego. Zgoła więc nie wiedział namiestnik czego się trzymać, miał się tylko na baczności, a tymczasem Abdank kazał konia sobie podawać.

— Mości namiestniku — rzekł — komu w drogę, temu czas. Pozwólże podziękować sobie raz jeszcze za ratunek. Oby Bóg pozwolił mi odpłacić ci równą usługą.

— Nie wiedziałem kogo ratuję — przetom i na wdzięczność nie zasłużył.

— Modestya to twoja tak mówi, która jest mężtwu równa. Przyjmij-że odemnie ten pierścień.

Namiestnik zmarszczył się i krok w tył odstąpił, mierząc oczyma Abdanka, ten zaś mówił dalej i z ojcowską niemal powagą w głosie i postawie.

— Spójrzj jeno. Nie bogactwo tego pierścienia, ale inne cnoty ci zalecam. Za młodych jeszcze lat, w bisurmańskiej niewoli będąc, dostałem go od pątnika, który z ziemi Świętej powracał. W tem oczku zamknięty jest proch z grobu Chrystusa. Takiego daru odmawiać się nie godzi, choćby i z osądzonych rąk pochodził. Jesteś waść młodym człowiekiem i żołnierzem, a gdy nawet i starość bliska grobu nie wie, co ją przed ostateczną godziną spotkać może, cóż dopiero adolescencya, która mając przed sobą wiek długi, na większą liczbę przygód trafić musi. Pierścień ten ustrzeże cię

od przygody i obroni, gdy dzień sądu nadejdzie, a to ci powiadam, że dzień ten idzie już przez Dzikie pola.

Nastała chwila ciszy; słychać było tylko syczenie płomienia i parskanie koni.

Z dalekich oczeretów dochodziło żałosne wycie wilków. Nagle Abdank powtórzył raz jeszcze jakby do siebie:

— Dzień sądu idzie już przez Dzikie pola, a gdy nadejdzie — zadywytsia wsij swit bożyj...

Namiestnik przyjął pierścień machinalnie, tak był zdumiały słowami tego dziwnego męża.

A ten zapatrzył się w dal stepową ciemną.

Potem zwrócił się zwolna i siadł na koń.—
Mołojcy jego czekali już u stóp wzgórza.

— W drogę! w drogę! — Bywaj zdrów druha żołnierzu — rzekł do namiestnika. Czasy teraz takie, że brat bratu nie ufa, przeto i nie wiesz kogoś ocalił, bom ci nazwiska swego nie powiedział.

— Więc waś nie Abdank?

— To herb mój...

— A nazwisko?

— Bohdan Zenobi Chmielnicki.

To rzekłszy zjechał ze wzgórza, a za nim ruszyli mołojcy. Wkrótce okryły ich tuman i noc. Dopiero gdy odjechali już z pół stajania, wiatr przyniósł od nich słowa kozackiej pieśni:

„Oj wyzwoli Boże nas wsieh bidnych newolnikiw,

„Z tiażkoj newoli,

„Z wiry bisurmańskoj, —

„Na jasni zori,

„Na tychi wody,

„U kraj weselyj,

„U mir chreszczennyj. —

„Wysłuchaj Boże u prośbach naszych,

„U nieszczasnych mołytwach,

„Nas bidnych newolnikiw...

Głosy cichły zwolna, potem stopiły się z powiewem szumiącym po oczeretach.



ROZDZIAŁ II.

Nazajutrz z rana przybywszy do Czehryna, pan Skrzetuski stanął w mieście w domu księcia Jeremiego, gdzie też miał kęs czasu zabawić, aby ludziom i koniom dać wytchnienie po długiej z Krymu podróży, którą z przyczyny wezbrania i nadzwyczaj bystrych prądów na Dnieprze, trzeba było łodem odbywać, gdyż żaden bajdak nie mógł owej zimy płynąć pod wodę. Sam też Skrzetuski zażył nieco wczasu, a potem szedł do pana Zaćwilichowskiego, byłego komisarza Rzplitej, żołnierza dobrego, któren niesłużąc u księcia był jednak jego zaufanym i przyjacielem. Namiestnik pragnął się go wypytać czy niema jakich z Łubniów dyspozycji. Książę wszelako nic szczególnego nie polecił: kazał Skrzetuskiemu w razie gdyby odpowiedź chanowa była pomyslna wolno iść, tak aby ludzie i konie mieli się dobrze.

Z chanem zaś miał księżę taką sprawę, że chodziło mu o ukaranie kilku murzów tatarskich, którzy własnowolnie puscili mu w jego zadnieprskie państwo zagony, a których sam zresztą srodze zbił. Chan rzeczywiście dał odpowiedź pomyślną: obiecał przysłać osobnego posła na kwiecień, ukarać nieposłusznych, a chcąc sobie zyskać życzliwość tak wsławionego jak księżę wojownika, posłał mu przez Skrzetuskiego konia wielkiej krwi i szłyk soboli. Pan Skrzetuski wywiązawszy się z nie małym zaszczytem z poselstwa, które już samo było dowodem wielkiego książęcego faworu, bardzo był rad, że mu w Czehrynie zabawić pozwolono i nie naglono z powrotem. Natomiast stary Zaćwilichowski wielce był zafra-sowany, tem co działo się od niejakiego czasu w Czehrynie. Poszli tedy razem do Dopuła, wołocha, który w mieście zajazd i winiarnią trzymał, i tam choć była godzina jeszcze, wczesna, zastali szlachty huk, gdyż to był dzień targowy a oprócz tego w temże dniu wypadał w Czehrynie postój bydła pędzonego ku obozowi wojsk koronnych — przyczem ludzi nazbierało się w mieście mnóstwo. Szlachta zaś gromadziła się zwykle w rynku, w tak zwanym Dzwon-

nieckim kącie u Dopuła. Byli tam więc i dzierżawcy Koniecpolskich i urzędnicy czelhyńscy, i właściciele ziem pobliskich siedzący na przywilejach, szlachta osiadła i od nikogo niezależna, dalej urzędnicy ekonomii, trochę starszyzny kozackiej, i pomniejszy drobiazg szlachecki bądź to na kondycjach żyjący, bądź na swoich futorach.

Ci i tamci pozajmowali ławy stojące wedle długich dębowych stołów i rozprawiali głośno, a wszyscy o ucieczce Chmielnickiego, która była największym w mieście ewenementem. Skrzetuski więc z Zaćwilichowskim siedli sobie w kącie osobno i namiestnik począł wypytывать, coby to za feniks był ten Chmielnicki, o którym wszyscy mówili.

— To waś nie wiesz? odpowiedział stary żołnierz. To jest pisarz wojska zaporoskiego, dziedzic Subotowa i — dodał ciszej — mój kum. Znamy się dawno. Bywaliśmy w różnych potrzebach, w których nie mało dokazywał, szczególnie pod Cecorą. Żołnierza takiej experiencyi w wojskowych rzeczach nie masz może w całej Rzeczypospolitej. Tego się głośno nie mówi, ale to hetmańska głowa: człek wielkiej ręki i wielkiego rozumu, jego całe kozactwo

słucha więcej niż kosзовych i atamanów, człek nie pozbawiony dobrych stron, ale hardy, nie-spokojny i gdy nienawiść weźmie w nim górę—może być straszny.

— Co mu się stało, że z Czehryna umknął?

Koty ze starostką Czaplińskim darli, ale to furda! Zwyczajnie szlachcie szlachcicowi z nie-przyjaźni sadła zalewał. Nie jeden on i nie jednemu jemu. Mówią przytem, że żonę starostce bałamucił, starostka mu kochanie odebrał i z nią się ożenił, a on mu ją za to później bałamucił, a to jest podobna rzecz, bo zwyczajnie... kobieta lekka. Ale to są tylko pozory, pod któremi głębsze jakieś praktyki się ukrywają. Widzisz waść, rzecz jest taka: W Czerkasach mieszka stary Barabasz pułkownik kozacki, nasz przyjaciel. Miał on przywileje i jakoweś pisma królewskie, o których mówiono, że kozaków do oporu przeciw szlachcie zachęcały. Ale że to ludzki, dobry człek, trzymał je u siebie i nie publikował. Owóż Chmielnicki Barabasza na ucztę zaprosiwszy, tu do Czehryna do swego domu, potem posłał ludzi do jego futoru, którzy pisma i przywileje u żony podebrali—i z niemi umknął. Strach, by z nich jaka rebelia, jako była ostranicowa,

nie korzystala, bo repeto: ze to człek straszny, a umknął niewiadomo gdzie.

Na to pan Skrzetuski:

— A to lis! w pole mnie wywiódł. Powiadał się pułkownikiem kozackim Ks. D. Zasławskiego. Toć ja jego tej nocy na stepie spotkałem i od arkana uwolniłem.

Zaćwilichowski aż się za głowę porwał.

— Na Boga, co wać powiadasz? — nie może to być.

— Może być, kiedy było. Powiadał mi się pułkownikiem u Ks. D. Zasławskiego i że do Kudaku, do pana Grodzickiego od Hetmana Wielkiego jest posłany, alem już temu nie wierzył, gdyż nie wodą jechał, jeno się stepem przekradał.

— To człek chytry jak Ulisess! I gdzieżeś go wać spotkał?

— Nad Omelniczkiem, po prawej stronie Dnieprowej. Widno do Siczy jechał.

— I Kudak chciał minąć. Teraz intelligo. Ludzi siła było przy nim?

— Było ze czterdzieści. Ale zapóźno przyjechali. Gdyby nie moi — byliby go słudzy starostki zdławili.

— Czekaj-że waszmość. To jest ważna rzecz. Słudzy starostki? mówisz.

— Tak sam powiadał.

— Skądże starostka mógł wiedzieć, gdzie jego szukać, kiedy tu w mieście wszyscy głowy tracą, nie wiedząc gdzie się podział.

— Tego i ja wiedzieć nie mogę. Może też Chmielnicki zełgał i zwykłych łotrzyków na sług starostki kreował, by swoje krzywdy tem mocniej afirmować.

— Nie może to być. Ale to jest dziwna rzecz. Czy waszmość wie, że są listy hetmańskie, przykazujące Chmielnickiego łapać i in fundo zadzierżyć.

Namiestnik nie zdążył odpowiedzieć, bo w tej chwili wszedł do izby jakiś szlachcie z ogromnym hałasem. Drzwiami trzasnął raz i drugi, i spojrzawszy hardo po izbie, zawołał:

— Czołem waszmościom!

Był-to człek czterdziestoletni, niski, z twarzą zapalczywą, której to zapalczywości przydawały jeszcze bardziej oczy, jakby śliwy na wierzchu głowy siedzące, ruchliwe,—człek widocznie bardzo żywy, wichrowaty i do gniewu skory.

— Czołem waszmościom! — powtórzył głośniej i ostrzej, gdy mu zrazu nie odpowiadano.

— Czołem, czołem — ozwało się kilka głosów.

Był-to pan Czapliński, podstarości czehryński, sługa zaufany młodego pana chorążego Koniecpolskiego.

W Czehrynie nie lubiono go, bo był zawadyaka wielki, pieniacz, prześladowca, ale miał nie mniej wielkie plecy, przeto ten i ów z nim politykował.

Zaćwilichowskiego jednego szanował, jak i wszyscy, dla jego powagi, cnoty i mężstwa. Ujrzawszy go, wnet też zbliżył się ku niemu, i skłoniwszy się dość dumnie Skrzetuskemu, zasiadł przy nich ze swoją lampką miodu.

— Mości starosto, spytał Zaćwilichowski, czy wiesz co się dzieje z Chmielnickim?

— Wisi, mości chorąży — jakem Czapliński wisi, a jeśli dotąd nie wisi, to będzie wisiał. Teraz, gdy są listy hetmańskie niech jedno go dostanę w swoje ręce.

To mówiąc uderzył pięścią w stół, aż płyn rozlał się ze szklenic.

— Nie wylewaj waćpan wina! rzekł pan Skrzetuski.

Zaćwilichowski przerwał:

— A czy go wać dostaniesz? Przecie uciekł i nikt nie wie, gdzie jest?

— Nikt nie wie? Ja wiem — jakem Czapliński! Waszmość panie chorąży znasz Chwedka. Owóz Chwedko jemu służy, ale i mnie. Będzie on Judaszem Chmielowi. Siła mówić. Wdał się Chwedko w komitywę z mołojcami Chmielnickiego. Człek sprytny. Wie o każdym kroku. Podjął się mi go dostawić żywym czy zmarłym—i wyjechał w step równo przed Chmielnickim, wiedząc gdzie ma go czekać!—A didków syn przekłęty!

To mówiąc znowu w stół uderzył.

— Nie wylewaj waćpan wina, powtórzył z przyciskiem pan Skrzetuski, który dziwną jakąś awersją uczuł do tego podstarościego od pierwszego spojrzenia.

Szlachcie zaczerwienił się, błysnął swem i wypukłemi oczyma, sądząc że mu dają okazyę, i spojrzał zapalczywie na Skrzetuskiego, ale ujrzawszy na nim barwę Wiśniowieckich, zmitygował się, gdyż jakkolwiek chorąży Konięcpolski wadził się wówczas z księciem, wszelako Czehryn zbyt był blisko Łubniów,

i niebezpiecznie było barwy książęcej nie uszanować.

Książę też i ludzi dobierał takich, że każdy dwa razy pomyślał, nim z którym zadarł.

— Więc to Chwedko podjął się waci Chmielnickiego dostawić?—pytał znów Zaćwilichowski.

— Chwedko. I dostawi—jakem Czapliński!

— A ja waci mówię, że nie dostawi — Chmielnicki zasadzki uszedł i na Sicz podążył, o czem trzeba pana Krakowskiego dziś jeszcze zawiadomić. Z Chmielnickim niema żartów. Krótko mówiąc, lepszy on ma rozum, teższą rękę i większe szczęście od waci, który zbyt się zapalasze. Chmielnicki odjechał bezpiecznie, powtarzam waci, a jeśli może nie wierzysz, to ci to ten kawaler powtórzy, który go wczoraj na stepie widział i zdrowym go pożegnał.

— Nie może być, nie może być! wrzeszczał targając się za czuprynę Czapliński.

— I co więcej, dodał Zaćwilichowski, to ten kawaler tu obecny, sam go salwował i właściwych sług wygubił, w czem, mimo listów hetmańskich, nie jest winien, bo z Krymu z poselstwa wraca i o listach nie wiedział, a widząc człeka, przez łotrzyków jak sądził, w ste-

pie oprymowanego przyszedł mu z pomocą. O którym to wyratowaniu się Chmielnickiego wcześniej waci zawiadamiam, bo gotów cię z zaporożcami w twojej ekonomii odwiedzić, a znać nie byłbyś mu rad bardzo. Nadtoś się z nim warcholił. Tfu do licha!

Zaćwilichowski nie lubił także Czaplińskiego.

Czapliński zerwał się z miejsca i aż mu mowę ze złości odjęło — twarz tylko sponsoviała mu zupełnie, a oczy coraz bardziej na wierzch wyłaziły. Tak stojąc przed Skrzetuskim, puszczał tylko urywane wyrazy:

— Jaktol waść mimo listów hetmańskich!...
Ja waści... ja waści...

A pan Skrzetuski nie wstał nawet z ławy, jeno wsparłszy się na łokciu, patrzył na podskakującego Czaplińskiego jak rarog na uwiązanego wróbla.

— Czego się waść mnie czepiasz jak oset psiego ogona? — spytał.

— Ja waści do grodu ze sobą... Waść mimo listów... Ja waści kozakami!

Krzyczał tak, że w izbie uciszyło się trochę. Obecni poczęli zwracać głowy w stronę Czaplińskiego. Szukał on okazji zawsze, bo taka była jego natura, robił burdy każ-

demu kogo napotkał, ale to zastanowiło wszystkich, że teraz zaczął przy Zaćwilichowskim, którego jednego się obawiał, i że zaczął z żołnierzem noszącym barwę Wiśniowieckich.

— Zamilknij-no waszeć, rzekł stary chorąży... Ten kawaler jest ze mną.

— Ja wa... wa... waści do grodu... w dyby! wrzeszczał dalej Czapliński, nie uważając już na nic i na nikogo.

Teraz pan Skrzetuski podniósł się także całą wysokością swego wzrostu, ale nie wyjmował szabli z pochew—tylko jak ją miał spuszczoną nisko na rapciach, chwycił w środku i podsunął w górę, tak że rękojeść wraz z krzyżkiem poszła pod sam nos Czaplińskiemu.

— Powąchaj no to waść! — rzekł zimno.

— Bij kto w Boga... Służba!—krzyknął Czapliński, chwytając za rękojeść. Ale nie zdążył szabli wydobyć. Młody namiestnik obrócił go w palcach, chwycił jedną ręką za kark, drugą za pludry poniżej krzyża, podniósł w górę rzucającego się jak cygę i idąc ku drzwiom między ławami wołał:

— Panowie bracia! miejsce dla rogala, bo pobędzie.

To rzekłszy, doszedł do drzwi, uderzył w nie Czaplińskim, roztworzył i wyrzucił podstarościego na ulicę.

Poczem spokojnie usiadł na dawnym miejscu obok Zaćwilichowskiego.

W izbie przez chwilę zapanowała cisza. Siła, jakiej dowód złożył pan Skrzetuski, zaimponowała zebranej szlachcie. Po chwili jednak cała izba zatrzęsa się od śmiechu.

— Vivant Wiśniowiecczy! wołali jedni.

— Omdlał, omdlał i krwią oblan, krzyczeli inni, którzy zaglądali przezedrzwi, ciekawi co też pocznie Czapliński. Słudzy go podnoszą!

Mała tylko liczba stronników podstarościego milczała i nie mając odwagi ująć się za nim, spoglądała ponuro na namiestnika.

— Prawdę rzekłszy, w piętkę goni ten ogar, rzekł Zaćwilichowski.

— Kundys to, nie ogar, rzekł zbliżając się otyły szlachcie, który miał bielmo na jednym oku, a na czole dziurę wielkości talara, przez którą świeciła naga kość. Kundys to, nie ogar! Pozwól waść, mówił dalej zwracając się do Skrzetuskiego, abym mu służby moje ofiarował: Jan Zagłoba herbu Wczele, co każdy snadno poznać może, choćby po onej dziurze, którą

w czele kula rozbójnicka mi zrobiła, gdym się do Ziemi świętej za grzechy młodości ofiarował.

— Dajże waść pokój, rzekł Zaćwilichowski, powiadałeś kiedyindziej, że ci ją kuflem w Radomiu wybito.

— Kula rozbójnicka, jakom żyw. W Radomiu było co innego.

— Ofiarowałeś się waść do ziemi Świętej— może, aleś w niej nie był — to pewno.

— Nie byłem, bom już w Galacie palmę męczeńską otrzymał. Jeśli łzę, jestem arcypies, nie ślachcie.

— A tak i breszet i breszet!

— Szelmą jestem bez uszów. W wasze ręce, panie namiestniku.

Tymczasem przychodzili i inni zabierając z panem Skrzetuskim znajomość i affekt mu swój oświadczając, nie lubili bowiem ogólnie Czaplińskiego i radzi byli, że go taka spotkała konfuzya. Rzecz dziwna, i trudna dziś do zrozumienia, że tak cała szlachta w okolicach Czehryna, jak i pomniejsi właściciele slobód, dzierżawcy ekonomii, ba, nawet ze służby Koniecpolskich, wszyscy wiedząc, jako zwyczajnie w sąsiedztwie, o zatargach Czaplińskiego z Chmielnickim, byli po stronie tego ostatnie.

go. Chmielnicki bowiem miał sławę znamienitego żołnierza, którego niemałe zasługi w różnych wojnach położył. Wiedzano także, że sam król się z nim znosił i wysoce jego zdanie cenił, na całe zaś zajście patrzano tylko jak na zwykłą burdę szlachcica ze szlachcicem, jakich to burd na tysiące się liczyło, zwłaszcza w ziemiach ruskich. Stawano więc po stronie tego, kto sobie więcej przychylności zjednać umiał, nie przewidując, by z tego takie straszliwe skutki wyniknąć miały. Później dopiero zapłonęły serca nienawiścią ku Chmielnickiemu, ale zarówno serca szlachty i duchowieństwa obydwóch obrządków.

Przychodzili tedy do pana Skrzetuskiego z kwartami, mówiąc: „Pij panie bracie! Wypij i ze mną! — Niech żyją Wiśniowieczycy! Taki młody, a już porucznik u księcia. Vivat książę Jeremi! hetman nad hetmany! — Z księciem Jeremim pójdziemy na kraj świata! — Na Turków i tatarów! — Do Stambułu! Niech żyje miłościwie nam panujący Władysław IV!“ Najgłośniej zaś krzyczał pan Zagłoba, który sam jeden gotów był cały regiment przepić i przegadać.

— Mości panowie ! — wrzeszczał, aż szyby w oknach dzwoniły—pozwalam ja już jegomości sułtana do grodu za gwałt, którego się na mnie w Galacie dopuścił.

— Nie powiadajże waćpan lada czego, żeby ci się gęba nie wystrzępiła.

— Jakto, mości panowie? quator articuli judicii castrensis: stuprum, incendium, latrocinium et vis armata alienis aedibus illata, a czyż nie była to właśnie vis armata?

— Krzykliwy z waści głuszec.

— I choćby do trybunału pójde.

— Przestańże wasze...

— I kondemnatę uzyskam i bezecnym go ogłoszę, a potem wojna, ale już z infamisem.

— Zdrowie waszmościów!

Niektórzy wszelako śmieli się, a z niem i pan Skrzetuski, bo mu się z czupryny trochę kurzyło, szlachcic zaś tokował dalej, naprawdę jak głuszec, który się własnym głosem upaja. Na szczęście, dyskurs jego przerwany został przez innego szlachcica, który zbliżywszy się, pociągnął go za rękaw i rzekł śpiewnym litewskim akcentem:

— Poznajomij-że waćpan, mości Zagłoba, i mnie z panem namiestnikiem Skrzetuskim — poznajomisz-że?

— A i owszem, i owszem. Mości namiestniku, oto jest pan Powsinoga.

— Podbipięta—poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno! herbu Zerwipludry...

— Zerwikaptur—poprawił szlachcic.

— Wszystko jedno. Z Psychkiszek.

— Z Myszykiszek — poprawi szlachcic.

— Wszystko jedno. Nescio, cobym wołał czy mysie, czy psie kiszki. Ale to pewna, że-
bym w żadnych mieszkać nie chciał, bo to i osiedzieć się tam nie łatwo i wychodzić nie politycznie. Mości panie, mówił dalej do Skrzetuskiego, ukazując na litwina: Oto tydzień już piję wino za pieniądze tego szlachcica, któren ma miecz za pasem równie ciężki jak trzos a trzos równie ciężki jak dowcip. Ale jeśli pił kiedy wino za pieniądze większego cudaka, to pozwolę się nazwać takim kpem, jak ten co mi wino kupuje.

— A to go objechał!—wołała śmiejąc się szlachta.

Ale litwin nie gniewał się, kiwał tylko ręką, uśmiechał się łagodnie i powtarzał:

— At! dałbyś waćpan pokój—słuchać hadko!

Pan Skrzetuski przypatrywał się ciekawie tej nowej figurze, która istotnie zasługiwała na nazwę cudaka. Przedewszystkiem był to mąż wzrostu tak wysokiego, że głową prawie powały dosięgał, a chudość nadzwyczajna wydawała go wyższym jeszcze. Szerokie jego ramiona i żyłasty kark zwiastowały niepospolitą siłę, ale była na nim tylko skóra i kości. Brzuch miał tak wpadły pod piersią, że można by go wziąć za głodomora, lubo ubrany był dostatnio, w szarą opiętą kurtę ze swiebodzińskiego sukna, z wąskimi rękawami, i wysokie szwedzkie buty, które na Litwie zaczynały wchodzić w użycie. Szeroki i dobrze wypchany łosiowy pas, nie mając na czem się trzymać, opadał mu aż na biodra, a do pasa przywiązany był krzyżacki miecz, tak długi, że temu olbrzymiemu mężowi prawie do pachy dochodził.

Ale ktoby się miecza przeląkł, wnetby się uspokoił, spojrzawszy na twarz jego właściiciela. Była to twarz chuda, również jak i cała osoba, ozdobiona dwoma zwiśniętymi ku dołowi brwiami i parą tak samo zwisłych konopnego koloru wąsów; ale tak pocziwa, tak szczerza jak u dziecka. Owa obwisłość wąsów i brwi

nadawała jej wyraz stroskany, smutny i śmieszny zarazem. Wyglądał na człeka, którego ludzie popychają, ale panu Skrzetuskiemu podobał się z pierwszego wejrzenia za ową szczerotę twarzy i doskonały moderunek żołnierski.

— Panie namiestniku, rzekł, to waszmość od księcia pana Wiśniowieckiego?

— Tak jest.

Litwin ręce złożył jako do modlitwy i oczy podniósł w górę.

— Ach, co to za wielki wojennik, co to za rycerz, co to za wódz!

— Daj Boże Rzeczypospolitej takich jaknajwięcej.

— I pewno. I pewno. A czyby niemożna do niego pod znak?

— Będzie waści rad.

Tu pan Zagłoba wtrącił się do rozmowy:

— Będzie miał książę dwa różny do kuchni, jeden z waćpana, drugi z jego miecza, albo najmie waści za mistrza, ale każe na wasanu zbójów wieszać, lub sukno na barwę będzie waspanem mierzył! Tfu! jak się waćpan nie wstydzisz, będąc człowiekiem i katolikiem, być tak długim jak serpens lub jak pogańska włócznia.

— Słuchać hadko—rzekł cierpliwie litwin.

— Jakże też godność waszecz?— spytał pan Skrzetuski, bo gdyś mówił, pan Zagłoba tak waści podrywał, że z przeproszeniem nic nie mogłem zrozumieć.

— Podbipięta.

— Powsinoga.

— Zerwikaptur z Myszykiszek.

— Masz babo pociechę.—Piję jego wino, ale kpem jestem, jeśli to nie pogańskie imiona.

— Dawno waść z Litwy?—pytał namiestnik.

— Ot, już dwie niedziele w Czehrynie! Dowiedziawszy się od p. Zaćwilichowskiego, że waść tędy ciągnąć będziesz, czekam, by pod jego opieką księciu moje prośby przedstawić.

— Powiedzże mi waszmość, proszę — bom ciekaw, czemu też taki katowski miecz pod pachą nosisz?

— Nie katowski to, mości namiestniku, ale krzyżacki, a noszę, bo zdobywczy i dawno w rodzinie. Już pod Chojnicami służył w litewskim ręku—tak i noszę.

— Ale to sroga machina i ciężka być musi okrutnie—chyba do obu rąk?

— Można do obu, można do jednej.

— Pokaż-że wasze.

Litwin wydobył i podał, ale panu Skrzetuskiemu ręka zwisała odrazu. Ni się złożyć, ni cięcia wymierzyć swobodnie. Na dwie ręce poradził, ale jeszcze było za ciężko. Więc pan Skrzetuski zawstydził się trochę, i zwróciwszy się do obecnych:

— No mości panowie — rzekł — kto krzyż uczyni?

— My już probowali, odrzekło kilka głosów. Jeden pan komisarz Zaćwilichowski podniesie, ale krzyża i on nie uczyni.

— No, a waćpan?—pytał pan Skrzetuski, zwracając się do litwina.

Szlachciec podniósł miecz jak trzcinę i machnął nim kilkanaście razy z największą łatwością, aż powietrze warczało w izbie, a wiatr powiał po twarzach.

— A niechże waści Bóg sekunduje!—zawołał Skrzetuski. Pewną masz służbę u księcia pana.

— Bóg widzi, że jej pragnę, bo mi miecz w niej nie zardzewieje.

— Ale dowcip do reszty, rzekł pan Zagłoba, gdyż nie umiesz wać tak samo nim obracać.

Zaćwilichowski wstał, i obaj z namiestnikiem zabierali się do odejścia, gdy naraz wszedł do

izby biały jak gołąb człowiek i spostrzegłszy Zaćwilichowskiego rzekł:

— Mości chorąży, komisarzu, ja tu do pana umyślnie!

Był to Barabasz, pułkownik Czerkaski.

— To chodźże waszmość do mnie na kwatere, rzekł Zaćwilichowski.— Tu już się tak ze łbów kurzy, że i świata nie widać.

Wyszli razem, a Skrzetuski z nimi. Zaraz za progiem, Barabasz spytał:

— Czy niema wieści o Chmielnickim?

— Są. Uciekł na Sicz. Oto ten oficer spotkał go wczoraj na stepie.

— To nie wodą pojechał? Pchnąłem gońca do Kudaku, by go łapano, ale jeśli tak, to na próżno.

To rzekłszy, Barabasz zatknął rękami oczy i począł powtarzać:

— Ej! spasi Chryste! spasi Chryste!

— Czego waś trwożysz?

— A czy waszmość wiesz, co on mi zdradą wydarł? Czy wiesz co to znaczy takie dokumenta w Siczy opublikować? Spasi Chryste! Jeśli król wojny z bisurmanem nie uczyni— to iskra na prochy...

— Rebeliję waszmość przepowiadasz?

— Nie przepowiadam, bo ją widzę, a Chmielnicki lepszy od Nalewajki i od Łobody.

— A kto za nim pójdzie?

— Kto? Zaporozie, rejestrowi, mieszczenie, czerń, futornicy—i tacy ot!

Tu pan Barabasza wskazał na rynek i na uwijających się po nim ludzi. Cały rynek zapchany był wielkimi siwemi wołami, pędzonymi ku Korsuniowi dla wojska, a przy wołach szedł mnogi lud pastuszy: tak zwani czabanowie, którzy całe życie w stepach i pustyniach spędzali—ludzie zupełnie dzicy, nie wyznający żadnej religii—religionis nullius, jak mówił wojewoda Kisiel. Spostrzegales między nimi postacie podobniejsze do zbójów niż do pasterzy, okrutne, straszne, pokryte łachmanami rozmaitych ubiorów. Większa ich część przybrana była w tołuby baranie, albo w niewyprawne skóry, wełną na wierzch, rozchełstane na przodzie i ukazujące, choć była to zima, nagą pierś spaloną od wiatrów stepowych. Każden zbrojny, ale w najrozmaitszą broń: jedni mieli łuki i sajdaki na plecach, niektórzy samopały, albo tak zwane z kozacka „piszczele“, inni szable tatarskie, inni kosy lub wreszcie tylko kije z przywiązaną na końcu szczęką końską. Mię-

dzy nimi kręcili się mało co mniej dzicy, choć lepiej zbrojni niżowcy, wiozący do obozu na sprzedaż rybę suszoną, zwierzynę i tłuszcz barani; dalej czumacy z solą, stepowi i leśni pasiecznicy oraz woskobóje z miodem; osadnicy leśni ze smołą i dziegciem; dalej chłopci z podwodami, kozacy rejestrowi, tatarzy z Białogrodu i Bóg wie kto! — włóczęgi — „siromachy“ z końca świata. W całym mieście pełno było pijanych, w Czehrynie bowiem wypadał nocleg, więc i hulatyka przed nocą. Na rynku rozkładano ognie, gdzieś palila się beczka ze smołą. Zewsząd dochodził gwar i wrzaski. Przerażliwy głos piszczałek tatarskich i bębenków mieszał się z ryczeniem bydła i z łagodniejszymi głosami teorbanów, przy których wtórze, ślepcy śpiewali ulubioną wówczas pieśń:

„Sokole jasnyj
Brate mij riłajj,
Ty wysoko łetajesz,
Ty daleko widajesz.

A obok tego rozlegały się dzikie okrzyki: „hu! ha!—hu! ha!“ kozaków tańczących na rynku trepaka, pomazanych dziegciem i pijanych zupełnie. Wszystko to razem było dzikie i rozszalałe. Dość było Zaćwilichowskiemu jednego spojrzenia, by się przekonać że pan Bara-

basz miał słusność, że lada podmuch mógł rozpętać te niesforne żywioły, skłonne do grabieży, a przywykłe do boju, których pełno było na całej Ukrainie. A po za temi tłumami stała jeszcze Sicz, stało Zaporże, od niedawna okiełzane i w karby po Masłowym stawie ujęte, ale gryzące niecierpliwie munsztuk, pomne dawnych przywilejów, nienawidzące komisarzy, a stanowiące uorganizowaną siłę. Siła ta miała przecie za sobą sympatyę niezmiernych mas chłopstwa, mniej cierpliwego niż w innych Rzplitej stronach, bo mającego pod bokiem Czertomelik, a na nim bezpaństwo, robój i wolę. Więc pan chorąży, choć sam rusin i gorliwy wschodniego obrządku stronnik, zadumał się smutno.

Jako człek stary, pamiętał dobrze czasy Nalewajki, Łobody, Kremskiego, znał ukraińskie rozbójnictwo lepiej może niż ktokolwiek na Rusi, a znając jednocześnie Chmielnickiego, wiedział, że on wart dwudziestu Łobodów i Nalewajków. Zrozumiał tedy całe niebezpieczeństwo jego na Sicz ucieczki, zwłaszcza z listami królewskimi, o których pan Barabasza powiadał, że były pełne obietnic dla kozaków i zachęcające ich do oporu.

— Mości pułkowniku Czerkaski, rzekł do Barabasz, powinienbyś waszmość na Siczjechać wpływy Chmielnickiego równoważyć i pacyfikować! pacyfikować!

— Mości chorąży—odparł Barabasz, powiem tylko tyle waszmości, że na samą wieść o ucieczce Chmielnickiego z papierami, połowa moich czerkaskich ludzi dzisiejszej nocy także na Sicz za nim zbiegła. Moje czasy już minęły—mnie mogiła nie buława!

Rzeczywiście, Barabasz był żołnierz dobry, ale człowiek stary i bez wpływu.

Tymczasem doszli do kwatery Zaćwilichowskiego, stary chorąży odzyskał już trochę pogody umysłu, właściwej jego gołębiej duszy i gdy zasiedli nad półgarcówką miodu, rzekł raźniej:

— Wszystko to furda, jeśli jak mówią wojna z bisurmanem preparatur, a podobno, że tak i jest, bo choć Rzeczpospolita wojny nie chce i nie mało już sejmy królowi krwi napsuły, wszelako król może na swoim postawić. Cały ten ogień można będzie na Turka obrócić, a w każdym razie mamy przed sobą czas. Ja sam pojedę do pana Krakowskiego i zdam mu sprawę i będę prosił, by się jako najbliższej ku

nam z wojskiem przymknął. Czy co wskóram, nie wiem, bo chociaż to pan mężny i wojownik doświadczony, ale okrutnie w swoim zdaniu i swoim wojsku dufny. Waść, mości pułkowniku Czerkaski, trzymaj w ryzie kozaków— a waszeć, mości namiestniku, po przybyciu do Łubniów ostrzeż księcia, by na Sicz baczność obrócił. Choćby mieli co począć — repeto: mamy czas. Na Siczy teraz ludzi nie wiele: za rybą i za zwierzem się porozchodzili i po całej Ukrainie we wsiach siedzą. Nim się ściagną, dużo wody w Dnieprze upłynie. Przytem imie księcia straszne i gdy się zwiedzą, że na Czer-tomelik oczy ma obrócone, może będą cicho siedzieć.

— Ja z Czehryna choćby we dwóch dniach ruszyć gotowy, rzekł namiestnik.

— To i dobrze. Dwa i trzy dni nic nie znaczą. Waszmość, panie Czerkaski, pchnij też gońców z oznajmieniem sprawy do pana Chorażego koronnego i do księcia Dominika. Ale waszmość już śpisz, jak widzę?

Rzeczywiście Barabasz złożył ręce na brzuchu i zdrzemnął się głęboko; po chwili nawet chrapać zaczął. Stary pułkownik, gdy nie jadł i nie pił, co oboje nad wszystko lubił—to spał.

— Patrz waszeć, rzekł cicho do namiestnika Zaćwilichowski — i przez takiego to starca warszawscy statysci chcieliby kozaków w ryzy utrzymać. Bóg z nimi. Ufali też i samemu Chmielnickiemu, z którym kanclerz w jakoweś układy wchodził, a któren podobno srodze ufność zawiedzie.

Namiestnik westchnął na znak współczucia staremu Chorążemu. Barabasza zaś chrapnął silniej, a potem mruknął przez sen:

— Spasi Chryste! spasi Chryste!

— Kiedyż waś myślisz z Czehryna ruszyć? spytał Chorąży.

— Wypada mi ze dwa dni Czaplińskiemu poczekać, któren pewnie będzie chciał konfuzyi, jaka go spotkała, dochodzić.

— Nie uczyni tego. Prędzejby na waści sług swoich nasłał, gdybyś barwy książęcej nie nosił—ale z księciem zadrzeć, straszna rzecz—nawet dla sługi Koniecpolskich.

— Oznajmię mu, że czekam, a w dwa lub trzy dni ruszę. Zasadzki też, nie obawiam się, mając przy boku szablę i garść ludzi.

To rzekłszy, namiestnik pożegnał starego Chorążego i wyszedł.

Nad miastem świeciła tak jasna luna od stosów nałożonych na rynku, że rzekłbyś cały Czehryn się pali, a gwar i krzyki wzmogły się jeszcze z nastaniem nocy. W jednym kącie tłumy czabanów wyły posępne pieśni stepowe. Dzicy Zaporozcy tańczyli koło ognisk, rzucając w górę czapki, paląc z „piszczeli“ i pijąc kwartami gorzałkę. Tu i owdzie zrywała się bijatyka, którą uśmierzali ludzie starostki. Namiestnik musiał torować sobie drogę rękojeścią szabli i słuchając tych wrzasków i szumu kozaczego, chwilami myślał sobie, że to już rebelia tak przemawia. Zdawało mu się także, że widzi groźne spojrzenia i słyszy ciche zwracane ku sobie klątwy. W uszach brzęczały mu jeszcze słowa Barabasza: „spasi Chryste, spasi Chryste!“ i serce biło mu żywiej—ale wesoło i radośnie. Przed groźbą wojny domowej jęczała smutnie dusza takiego starego rycerza, jakim był Chorąży, ale młoda, nieopatrna i nie-doświadczona rwała się do każdej, byle wykapać się w ogniu i krwi.

A tymczasem w mieście czabanowie zawodzili coraz głośniejsze chorowody, a Zaporozcy palili z samopałów i kapali się w gorzałkę.

Strzelanina i dzikie „u-ha! u-ha!” dochodziły do uszu namiestnika nawet wówczas, gdy już położył się spać w swojej kwaterze.



ROZDZIAŁ III.

W kilka dni później, poczet naszego namiestnika posuwał się rażno w stronę Łubniów. Po przeprawie przez Dniepr, szli szeroką drogą stepową, która łączyła Czehryn z Łubniami, idąc na Żuki, Semi-Mogily i Chorol. Drugi taki gościniec wiódł ze stolicy książęcej do Kijowa. Za dawniejszych czasów, przed rozprawą hetmana Żółkiewskiego pod Sołonicą, dróg tych nie było wcale. Do Kijowa jechało się z Łubniów stepem i puszczą; do Czehryna była droga wodna — z powrotem zaś jeżdżono na Chorol. W ogóle zaś, owe naddnieprskie państwo — stara ziemia połowiecka — była pustynią, mało co więcej od dzikich pól zamieszkałą, przez Tatarów często zwiedzana, dla band zaporoskich otwartą.

Nad brzegami Suły szumiały ogromne, prawie stopą ludzką nie dotykane lasy,— miejsca-

mi do zapadłych brzegach Suły, Rudej, Śleporodu, Korowaja, Orżawca, Pszoły i innych większych i mniejszych rzek i przytoków tworzyły się mokradła, zarośnięte częścią gęstwiną krzów i borów, częścią odkryte, pod postacią łąk. W tych borach i bagniskach znajdował łatwy przytułek zwierz wszelkiego rodzaju; w najgłębszych mrokach leśnych żyła moc niezmierna turów brodatych, niedźwiedzi i dzikich świń a obok nich liczna szara gawiedź wilków, rysiów, kun, stada sarn i kraśnych suhaków; w bagniskach i w łąkach rzecznych bobry zakładały swoje żeremia, o których bobrach chodziły wieści na Zaporozu, że są między nie-mi stuletnie starce, białe jak śnieg ze starości.

Na wysokich, suchych stepach bniały stada koni dzikich, o kudłatych głowach i krwawych oczach. Rzeki roiły się rybą i ptactwem wodnem. Dziwna to była ziemia, na wpół uśpiona, ale nosząca ślady dawniejszego życia ludzkiego. Wszędzie pełno popieliszczy, po jakichś dawnych grodach; same Łubnie i Chorol były z takich popieliszczy podniesione; wszędzie pełno mogił, nowszych i tarszych, porośniętych już borem. I tu, jak na dzikich polach, nocami wstawały duchy i upiory, a starzy zaporozcy opowiadali

sobie przy ogniskach dziwy o tem, co się czasami działo w owych głębinach leśnych, z których dochodziły wycia, nie wiadomo jakich zwierząt, krzyki pół ludzkie, pół zwierzęce, gwary straszne, jakoby bitew lub łowów. Pod wodami odzywały się dzwony potopionych miast. Ziemia była mało gościnna i mało dostępna miejscami zbyt rozmiękła, miejscami cierpiąca na brak wód, spalona, sucha, a do mieszkania niebezpieczna, osadników bowiem, gdy się jako tako osiedli i zagospodarowali, ścierały napaady tatarskie. Odwiedzali ją tylko często zaporożcy dla ogonów bobrowych, dla zwierza i ryby, w czasie bowiem pokoju większa część niżowców rozłaziła się z Siczy na łowy, czyli jak mówiono na „przemysł“ po wszystkich rzekach, jarach, lasach i komyszach, bobrując w miejscach, o których istnieniu nawet mało kto wiedział.

Jednakże i życie osiadłe próbowało uwiązać się do tych ziem, jak roślina, która próbuje, gdzie może, chwycić się gruntu korzonkami i raz wraz wrywana, gdzie może, odrasta.

Powstawały na pustkach grody, osady, kolonie, slobody i futory. Ziemia była żywna, a nęciła swoboda. Ale wtedy dopiero zakwi-

tło życie, gdy ziemie te przeszły w ręce kniaziów Wiśniowieckich. Książ Michał, po ożenieniu się z Mohilanką, począł starowniej urządzać swoje zadnieprskie państwo; ściągając ludzi, osadzał pustki, zapewniał swobody do lat trzydziestu, budował monastery i wprowadzał prawo swoje książęce. Nawet taki osadnik, który przymknął do tych ziem nie wiadomo kiedy i sądził, że siedzi na własnym gruncie, chętnie schodził do roli kniaziowego czynszownika, gdyż za ów czynsz szedł pod potężną książęcą opiekę, która go ochraniała, broniła od tatarów, i od gorszych nieraz od tatarów, niżowców. Ale prawdziwe życie zakwitło dopiero pod żelazną ręką młodego księcia Jeremiego. Za Czehrynem zaraz zaczynało się jego państwo a kończyło het aż pod Konotopem i Romnami. Nie stanowiło ono całej kniaziowej fortuny, bo od województwa sandomierskiego począwszy, ziemie jego leżały w województwach Wołyńskim, Ruskiem, Kijowskiem, ale naddnieprskie państwo było okiem w głowie zwycięzcy z pod Putywła.

Tatar długo czyhał nad Orłem, nad Worskłą i wietrzył jak wilk, nim ośmielił się na północ konia popędzić; — niżowcy nie pró-

bowali zatargu. Miejscowe niespokojne watahy poszły w służbę. Dziki i rozbójniczy lud, żyjący dawniej z gwałtów i napadu, teraz ujęty w karby, zajmował „polanki“ na rubieżach, i leżąc na granicach państwa, jak brytan na łańcuchu groził zębem najeźdźcy.

Toż zakwitło i zaroilo się wszystko. Pobudowano drogi na śladach dawnych gościńców; rzeki ujęto groblami, które sypał niewolnik tatar lub niżowiec, schwytany z bronią w ręku na rozboju. Tam, gdzie wiatr grał dziko nocami na oczeretach i wyły wilki i topielcy, teraz hurkotały młyny. Przeszło czterysta kół, nie licząc rzęsiście rozsianych wiatraków, mełło zboże na samem Zadnieprzu. Czterdzieści tysięcy czynszowników wносиło czynsz do kas książęcych, lasy zaroily się pasiekami, na rubieżach powstawały wsie coraz nowe, futory, slobody. Na stepach, obok tabunów dzikich, pasły się całe stada swojskiego bydła i koni. Nieprzejrzany, jednostajny widok borów i stepów ubarwił się dymami chat, złoconemi wieżami cerkwi i kościołów — pustynia zamieniła się w kraj dość ludny.

Jechał tedy pan namiestnik Skrzetuski wesoło i nie spiesząc się, jakoby swoją ziemią,

mając po drodze wszelkie wczasy zapewnione. Był to dopiero początek stycznia 48 roku, ale dziwna, wyjątkowa zima nie dawała się wcale we znaki. W powietrzu tchnęła wiosna; ziemia rozmiękła i przeświecała wodą roztopów; na polach zieleniała ruń, a słońce dogrzewało tak mocno, że w podróży o południu kożuchy przżyły grzbiet jak latem.

Orszak namiestnika zwiększył się znacznie, w Czehrynie bowiem przyłączyło się do niego poselstwo wołoskie, które gospodar do Łubniów wysłał w osobie p. Rowana Ursu. Przy poselstwie było kilkunastu karałaszów eskorty i wozy z czeladzią. Prócz tego z namiestnikiem jechał dobry nasz znajomy pan Longinus Podbipięta herbu Zerwikaptur, ze swoim długim mieczem pod pachą i z kilkoma czeladzi służbowej.

Słońce, cudna pogoda i woń zbliżającej się wiosny, napawały wesołością serca, a namiestnik tem był weselszy, że wracał z długiej podróży pod dach książęcy, który był zarazem jego dachem, wracał, sprawiwszy się dobrze, więc i przyjęcia dobrego pewny.

Ale wesołość jego miała i inne powody.

Oprócz łaski księcia, którego namiestnik z całej duszy kochał, czekały go w Łubniach jeszcze i pewne czarne oczy, tak słodkie jak miód.

Oczy te należały do Anusi Borzobohatej-Krasięńskiej, panienki respektowej księżnej Gryzeldy, najpiękniejszej dziewczyny z całego fraucymeru, bałamutki wielkiej, za którą przepadali wszyscy w Łubniach, a ona za nikim. U księżnej Gryzeldy mores był wielki i surowość obyczajów niepomiarowa, co jednak nie przeszkadzało młodemu spoglądać na się jarzącymi oczyma i wzdychać. Pan Skrzetuski posyłał tedy swoje westnienia ku czarnym oczom na równi z innymi, a gdy bywało zostawał sam w swojej kwaterze, wówczas chwycił lutnię w rękę i śpiewał:

„Tyś jost specyjał nad specyjały“

lub też:

„Jak tatarska orda,
Bierzesz w jasyr corde!“

Ale że to był człęk wesóły i przytem żołnierz wielce w swym zawodzie zamięłowany, więc nie brał zbyt do serca tego, że Anusia uśmiechała się tak samo do niego, jak i do pana Bychowca z chorągwi wołoskiej, jak do pana Wurcla z artylerji, jak do pana Wołodjewa-

skiego z dragonów, a nawet do pana Baranowskiego z husaryi, chociaż ten ostatni był już dobrze szpakowaty i szeplecił, mając podniebienie potrzaskane kulą z samopału. Nasz namiestnik bił się już nawet raz z panem Wołodziejewskim w szable o Anusię, ale gdy przyszło zadługo siedzieć w Łubniach bez jakowejś wyprawy na tatarów, to sobie nawet i przy Anusi przykrzył, a gdy przyszło ciągnąć — to ciągnął z ochotą, bez żalu, bez wspominków.

Za to też i witał z radością. Teraz więc oto wracając z Krymu po pomyślnem rzeczy załatwieniu, podśpiewywał wesoło i czwanił koniem jadąc obok pana Longinusa, który siedząc na ogromnej inflanckiej kobyle, strapiiony był i smutny jak zawsze. Wozy poselstwa, karałasze eskorta zostały znacznie za niemi.

— Jegomość poseł leży na wozie jak kawał drzewa i śpi ciągle, rzekł namiestnik. Cudów mi naprawił o swojej Wołoszczyźnie, aż i ustał. Jam też słuchał z ciekawością. Nie ma co! kraj bogaty, klima przednie, złota, wina, bakaliów i bydła dostatek. Pomyślałem sobie tedy, że nasz książę rodzi się z Mohilanki, i że ma takie dobre prawo do hospodarskiego tronu, jak kto inny, których praw, przecie książę Mi-

chał dochodził. Nie nowina to naszym panie-
tom Wołoszczyzna. Bijali już tam i turków
i tatarów i wołochów i siedmiogrodzian.....

— Ale lud tam miękniejszy niż u nas, o czym
mi i pan Zagłoba w Czehrynie opowiadał, rzekł
pan Longinus, a gdybym jemu nie wierzył,
to wtedy w książkach od nabożeństwa potwier-
dzenie tej prawdy się znajduje.

— Jakto w książkach?

— Ja sam mam taką i mogę ją waszmości
pokazać, bo ją zawsze wożę ze sobą.

To rzekłszy, odpiął troki przy terlicy i wy-
dobywszy niewielką książeczkę, starannie w cie-
le oprawioną, naprzód ucałował ją pobożnie, po-
tem przewróciwszy kilkanaście kartek, rzekł:

— Czytaj waść.

Pan Skrzetuski rozpoczął:

— „Pod twoją obronę uciekamy się Świę-
ta Boża Rodzicielko“... Gdzież zaś tu jest
o wołochach? co waść mówisz!—to antyfona!

— Czytaj waść dalej.

— „...Abyśmy się stali godnemi obietnic pa-
na Chrystusowych. Amen.“

— No, a teraz pytanie:

Skrzetuski czytał:

— „Pytanie: Dla czego jazda wołoska zowie się lekką? Odpowiedź: Bo lekko ucieka Amen“.—Hm! prawda! Wszelako w tej książce dziwne jest materyi pomieszanie.

— Bo to jest książka żołnierska, gdzie obok modlitw, rozmaite instructiones militares są przyłączone, z których nauczysz się waś o wszystkich nacyach, która z nich zacniejsza, która podła, co do wołochów zaś, to się pokazuje, iż tchórzliwe z nich pacholki, a przyzdrajcy wielcy.

— Że zdrajcy to pewno, bo pokazuje się to i z przygód księcia Michała. Co prawda, to i ja słyszałem, iż żołnierz to z przyrodzenia nieszczególny. Ma przecie książę jegomość chorągiew wołoską bardzo przednią, w której pan Bychowiec porucznikuje, ale stricte, to w owej wołoskiej chorągwi nie wiem czy i dwudziestu wołochów się znajduje.

— Jak też waszmość myślisz, panie namiestniku, siła książę ma ludzi pod bronią?

— Będzie z ośm tysięcy, nie licząc kozaków, co po pałankach stoją. Ale powiadał mi Zaćwilichowski, że teraz nowe zaciągi są czynione.

— To może Bóg da jakąwą wyprawę pod księciem panem?

— Tak mówią, że wielka wojna z tureczym się gotuje, i że sam król z całą potęgą Rzplitej ma ruszyć. Wiem też, że upominki tatarom są wstrzymane, którzy przecie od strachu nie śmia zagonów ruszyć. O tem słyszałem i w Krymie, gdzie bodaj dla tego przyjmowano mnie tak honeste, bo jest wieść, że gdy król z hetmany pociągnie, książę ma na Krym uderzyć i całkiem tatarów zetrzyć. Jakoż to jest pewna, że takowej imprezy innemu nie powierzą.

Pan Longinus podniósł do góry ręce i oczy.

— Dajże Boże miłosierny, daj takową świętą wojnę, na chwałę chrześcijaństwu i naszemu narodowi, a mnie grzesznemu pozwól w niej vota moje spełnić, abym in luctu mógł być pocieszony, albo też śmierć chwalebną znaleźć.

— To wać ślub wedle wojny uczynił?

— Tak zacnemu kawalerowi wszystkie arkaną duszy mojej otworzę, choć siła mówić, ale gdy waćpan ucha chętnego skłaniasz, przeto incipiam: Wiesz waszmość, że herb mój zwie się Zerwikaptur, co z takowej przyczyny pochodzi, że gdy jeszcze pod Grunwaldem przodek mój Stowejko Podbipięta, ujrzał trzech rycerzy w mniszych kapturach, w szeregu jadą.

cych, zajechawszy ich, ściał wszystkich trzech od razu, o którym to sławnym czynie, stare kroniki piszą, z wielką dla przodka mego chwałą...

— Nie lżejszą miał on przodek od waści rękę, ale i słusznie Zerwikapturem go nazwali.

— Któremu też król herb nadał, a w nim trzy kozie głowy w srebrnym polu, na pamiątkę owych rycerzy, gdyż takie same głowy były na ich tarczach wyobrażone. Ten herb, wraz z tym tu oto mieczem, przodek mój Stowejko Podbiپیęta przekazał potomkom swoim z zaleceniem, by starali się splendor rodu i miecza podtrzymać.

— Nie ma co mówić! z grzecznego rodu waszmość pochodzisz.

Tu pan Longinus zaczął wzdychać rzewnie, a gdy nakoniec ulżyło mu trochę, tak mówił dalej:

— Będąc tedy z rodu ostatni, ślubowałem w Trokach Najświętszej Pannie, żyć w czystości i nie prędzej stanąć na ślubnym kobiercu, póki za sławnym przykładem przodka mego Stowejki Podbiپیęty, trzech głów tymże samym mieczem, od jednego zamachu nie zetnę. O Boże miłosierny widzisz, żem wszystko uczynił,

co było w mocy mojej. Czystości dochowałem do dnia dzisiejszego, sercu czułem milczyć kazałem, wojny szukałem i walczyłem, ale szczęścia nie miałem...

Porucznik uśmiechnął się pod wąsem.

— I nie ściałeś waćpan trzech głów?

— Ot! nie zdarzyło się! Szczęścia niema! Po dwie naraz bywało, ale trzech nigdy. Nie udało się zajechać, a trudno prosić wrogów, by się ustawili równo do cięcia. Bóg jeden widzi moje smutki: siła w kościach jest, fortuna jest... ale adolescentia uchodzi, czterdziestu pięciu lat dobiegam, serce do afektów się wyrывa, ród ginie, a trzech głów jak nie ma, tak nie ma!... Taki i Zerwikaptur ze mnie. Pośmiewisko dla ludzi, jak słusznie mówi pan Zagłoba, co wszystko cierpliwie znoszę i panu Jezusowi ofiaruję.

Litwin począł znowu tak wzdychać, że aż i jego inflancka kobyła, widać ze współczucia dla swego pana, jęła stękać i chrapać żałośnie.

— To tylko mogę waszmości powiedzieć. rzekł namiestnik, iż jeśli pod księciem Jeremim nie znajdziesz okazji, to chyba nigdy.

— Daj Boże! odparł pan Longinus, dla tego i jadę prosić o łaskę księcia pana.

Dalszą rozmowę przerwał im nadzwyczajny łopot skrzydeł. Jako się rzekło, zimy tej ptactwo nie szło za morza, rzeki nie zamarzały, przeto szczególniej wodnego ptactwa wszędzie było pełno nad błotami. Właśnie w tej chwili porucznik z panem Longinem, zbliżyli się do brzegu Kahamliku, gdy nagle zaszumiało im nad głowami całe stado żórawi, które przeciągały tak nisko, że możnaby niemal kijem do nich dorzucić. Stado leciało z wrzaskiem okrutnym i zamiast zapaść w oczerety, podniosło się niespodziewanie w górę.

— Mkną jakby gonione, rzekł pan Skrzetuski.

— A o! widzisz waść, rzekł pan Longinus, ukazując na białego ptaka, który tnąc powietrze ukośnym lotem, starał się podleciec pod stado.

— Rarog, rarog! przeszkadza im zapaść! wołał namiestnik. Poseł ma rarogi — musiał puścić.

W tej chwili pan Rozwan Ursu nadjechał pędem na czarnym anatolskim dzianecie, a za nim kilku karałaszów służbowych.

— Panie poruczniku, proszę na zabawę rzekł.

— Czy to rarog waszej cześci?

— Tak jest i zacny bardzo, zobaczysz waść...

Popędzili naprzód we trzech, a za nimi wołoch sokolniczy z obręczą, który utkwivszy oczy w ptaki, krzyczał z całych sił, zachęcając raroga do walki.

Dzielny ptak zmusił już tymczasem stado do podniesienia się w górę, potem sam wzbił się jak błyskawica jeszcze wyżej i zawisł nad niem. Żórawie zbiły się w jeden ogromny wir, szumiący jak burza skrzydłami. Groźne wrzaski napępniały powietrze. Ptaki powyciągały szyje, powytykały ku górze dzioby jak włócznie i czekały ataku.

Rarog tymczasem krążył nad niemi. To zniżał się, to podnosił, jak gdyby wahał się runąć na dół, gdzie na pierś jego czekało sto ostrych dziobów. Jego białe pióra oświecone słońcem, błyszczały jak samo słońce na pogodnym błękiecie nieba.

Nagle, zamiast rzucić się na stado, pomknął jak strzała w dal i wkrótce zniknął za kępami drzew i oczeretów.

Pierwszy Skrzetuski ruszył za nim z kopyta. Poseł, sokolnik i pan Longinus, poszli za jego przykładem.

W tem na skrócie drogi, namiestnik wstrzymał konia, gdyż nowy a dziwny widok uderzył jego oczy. W pośrodku gościńca leżała na boku kolaska ze złamaną osią. Odprężone konie trzymało dwóch kozaczków. Woźnicy nie było wcale, widocznie odjechał dla szukania pomocy. Przy kolasce stały dwie niewiasty, jedna ubrana w lisi tołub i takąż czapkę z okrągłym dnem, twarzy surowej, męskiej; druga, była to młoda panna, wzrostu wyniosłego, rysów pańskich i bardzo foremnych. Na ramieniu tej młodej pani, siedział spokojnie raróg i rozstrzępiwszy pióra na piersiach, muskał je dziobem...

Namiestnik osadził konia, aż kopyta wryły się w piasek gościńca i rękę podniósł do czapki zmięszany i nie wiedzący, co ma mówić, czy witać, czy o raroga się dopominać. Zmięszany był jeszcze i dla tego, że z pod kuniego kapturka spojrzały nań takie oczy, jakich jak życie swoje nie widział, czarne, aksamitne, a łzawe, a mieniające się, a ogniste, przy których oczy Anusi Borzobohatej, zgasłyby jak świeczki przy pochodniach. Nad temi oczami, jedwabne ciemne brwi rysowały się dwoma delikatnymi łukami, zarumienione policzki kwitnęły jak kwia-

najpiękniejszy, przez malinowe wargi, trochę otwarte, widniały ząbki jak perły, z pod kapturka spływały bujne czarne warkocze. „Czy Juno we własnej osobie, czy inne jakoweś bóstwo?“ pomyślał namiestnik, widząc ten wzrost strzelisty, pierś wypukłą i tego białego sokoła na ramieniu. Stał tedy nasz porucznik bez czapki i zapatrzył się jak w cudowny obraz, i tylko oczy mu się świeciły, a za serce chwyciło go coś jak ręką. I już miał rozpocząć mowę od słów: „Jeśliś jest śmiertelną istotą a nie bóstwem“... gdy w tej chwili nadjechał poseł i pan Longinus, a z niemi sokolnik z obręczą. Co widząc bogini, nadstawiła rarogowi rękę, na której ten zaraz, zszedłszy z ramienia, usadowił się, przestępując z nogi na nogę. Namiestnik uprzedzając sokolniczego, chciał zdjąć ptaka, gdy nagle stał się dziwny omen. Oto rarog, pozostawiwszy jedną nogę na ręku panny, drugą chwycił się namiestnikowej dłoni i zamiast przesiąść się, począł kwilić radośnie i przyciągać te ręce ku sobie tak silnie, że się musiały zetknąć. Po namiestniku mrowie przeszło, rarog zaś dopiero wtedy dał się przenieść na obręcz, gdy sokolnik nałożył mu kaptur na głowę. A w tem starsza pani, poczęła wyrzekać:

— Rycerze! mówiła, ktokolwiek jesteście, nie odmawiajcie pomocy białogłowom, które zostawszy na drodze bez pomocy, same nie wiedzą co począć. Do domu nam już nie dalej jak trzy mile, ale w kolasce osie popękały, i chyba nam nocować w polu przyjdzie, woźnicę posłałam do synów, by nam choć wóz przysłali, ale nim woźnica dojedzie i wróci, ciemno będzie, a na tem uroczysku strach zostać, bo tu w pobliżu mogiły.

Stara szlachcianka mówiła prędko i głosem tak grubym, że namiestnik aż się zadziwił, wszelako odrzekł grzecznie:

— Nie dopuszczaj-że jejmość tej myśli, byśmy panią i nadobną jej córkę mieli bez pomocy zostawić. Jedziemy do Łubniów, gdyż żołnierzami w służbie J. O. księcia Jeremiego jesteśmy—i podobno nam droga w jedną stronę wypada, a choćby też nie, to zboczymy chętnie, byle się nasza asystencya nie uprzykrzyła. Co zaś do wozów, to ich nie mam, bo z towarzyszami po żołniersku komunikiem idę, ale pan poseł ma, i tuszę, że jako uprzejmy kawaler, chętnie niemi pani i jejmościance służyć będzie.

Poseł uchylił sobolowego kołpaka, gdyż znając mowę polską, zrozumiał o co idzie i zaraz

z pięknym komplementem, jako grzeczny bojar wystąpił, poczem rozkazał sokolniczemu skoczyć po wozy, które były znacznie z tyłu zostały. Przez ten czas namiestnik patrzył na pannę, która pożerczego wzroku jego znieść nie mogąc, opuściła oczy na ziemię, a dama o kozackiem obliczu tak mówiła dalej:

— Niech Bóg zapłaci imć panom za pomoc. A że do Łubniów droga jeszcze daleka, nie pogardzicie moim i moich synów dachem, pod którym radzi wam będziem. My z Rozłogów-Siromachów, ja wdowa po kniaziu Kurcewiczu Bułyże, a to nie jest moja córka, jeno córka po starszym Kurcewiczu, bracie mego męża, któren sierotę swą nam na opiekę oddał. Synowie moi teraz w domu, a ja wracam z Czerkas, gdzie się do ołtarza Świętej-Przeczystej ofiarowała. Aż oto w powrocie spotkał nas ten wypadek, i gdyby nie polityka waszmościów, chybaby na drodze nocować przyszło.

Kniaziowa mówiłaby jeszcze dłużej, ale w tem zdala pokazały się wozy, nadjeżdżające kłusem, wśród gromady karałaszów poselskich i żołnierzy p. Skrzetuskiego.

— To jejmość pani wdowa po kniaziu Wasilu Kurcewiczu? — spytał namiestnik.

— Nie! zaprzeczyła żywo i jakby gniewliwie kniahini. Jam wdowa po Konstantym, a to jest córka Wasila, Helena, rzekła wskazując na pannę.

— O kniaziu Wasilu wiele w Łubniach rozpowiadają. Był-to żołnierz wielki i nieboszczyka księcia Michała zaufany.

— W Łubniach nie byłam, rzekła z pewną wyniosłością Kurcewiczowa, i o jego żołnierstwie nie wiem, a o późniejszych postępkach niema co wspominać, gdyż i tak wszyscy o nich wiedzą.

Słyszając to kniaziówna Helena, zwiesiła głowę na piersi, właśnie jak kwiat podcięty kosą, a namiestnik odparł żywo:

— Tego waćpani nie mów. Książ Wasil, przez straszliwy error sprawiedliwości ludzkiej, skazany na utratę i gardła i mienia musiał się ucieczką salwować, ale później wykryła się jego niewinność, którą też promulgowano i do sławy go, jako cnotliwego męża, przywrócono; a sława tem większą być powinna, im większą była krzywda.

Kniahini spojrzała bystro na namiestnika, a w jej nieprzyjemnem ostrem obliczu gniew odbił się wyraźnie. Ale pan Skrzetuski, choć

człowiek młody, tyle miał w sobie jakowejś powagi rycerskiej i tak jasne wejrzenie, że mu zaoponować nie śmiała, natomiast zwróciła się do kniaziówny Heleny.

— Waćpannie tego słuchać nie przystoi. Idź oto dopilnuj, aby toboły z kolaski były przełożone na wozy, na których z pozwoleniem ichmościów siedzieć będziem.

— Pozwolisz jejmość panna pomódz sobie, rzekł namiestnik.

Poszli oboje ku kolasce, ale skoro tylko stanęli naprzeciw siebie po obu stronach jej drzwi-czek, jedwabne frendzle oczu kniaziówny podniosły się i wzrok jej padł na twarz porucznika, jakoby jasny, ciepły promień słoneczny.

— Jakże mam waszmości panu dziękować— rzekła głosem, któren namiestnikowi wydał się tak słodką muzyką, jak dźwięczenie lutni i fle-tów — jakże mam dziękować, żeś się za sławę ojca mego ujął i za tę krzywdę, która go od najbliższych krewnych spotyka.

— Mościa panno! — odpowiedział namiestnik, a czuł, że serce tak mu taje, jako śnieg na wiosnę.— Tak mi Pan Bóg dopomóż, jakoby dla takiej podzięki w ogień skoczyć gotowy, albo zgoła krew przelać, ale gdy ochota

tak wielka, przeto zasługa mniejsza, dla której małości, nie godzi mi się dziękczynnego żołdu z ust Imé panny przyjmować.

— Jeżeli waszmość pan nim pogardzasz, to jako uboga sierota nie mam jak inaczej wdzięczności mojej okazać.

— Nie pogardzam ja nim, mówił ze wzrastającą siłą namiestnik, ale na tak wielki fawor zarobić długą i wierną służbą pragnę, i o to tylko proszę, abys mnie Imé panna przyjąć na ową służbę raczyła.

Kniaziówna słysząc te słowa, zapłoniła się, zmieszała, potem przybladła nagle i ręce do twarzy podnosząc, odrzekła żałosnym głosem:

— Nieszczęście by chyba waćpanu taka służba przynieść mogła.

A namiestnik przechylił się przez drzwiczki kolaski i tak mówił z cicha a tkliwie:

— Przyniesie co Bóg da, a choćby też i ból, przeciwnie ja do nóg waćpanny upaść i prosić o nią gotowy.

— Nie może to być, rycerzu, abys waćpan dopiero mnie ujrzawszy, tak wielką miał do onej służby ochotę.

— Ledwie cię ujrzał, jużem o sobie zgoła zapomniał i widzę, że wolnemu dotąd żołnie-

rzowi chyba w niewolnika zmienić się przyjdzie, ale taka widać wola Boża. Afekt jest jako strzała, która niespodzianie pierś prze-szywa—i oto czuję jej grot, choć wczoraj sam bym nie wierzył, gdyby mi kto powiadał.

— Jeślibyś waszmość wczoraj nie wierzył jakże ja uwierzyć dzisiaj mogę.

— Czas o tem najlepiej waćpannę przekona, a szczerości choćby zaraz, nietylko w słowach ale i w obliczu, dopatrzeć się możesz.

I znowu jedwabne zasłony oczu kniaziówny podniosły się, a wzrok jej napotkał mężkie i szlachetne oblicze młodego żołnierza i spojrzenie tak pełne zachwytu, że ciemny rumieniec pokrył jej twarz. Ale nie spuszczała już wzroku ku ziemi i przez chwilę on pił słodycz jej cudnych oczu. I tak patrzyli na siebie, jak dwie istoty, które spotkawszy się choćby na gościńcu na stepie, czują że się wybrały odrazu i których dusze poczynają zaraz lecieć wzajemnie ku sobie jak dwa gołębie.

Aż tę chwilę zachwytu przerwał im ostry głos kniahini Konstantowej, wołający na kniaziównę. Wozy nadeszły. Karałasze poczęli przenosić na nie pakunki z kolaski i za chwilę wszystko było gotowe.

Pan Rozwan Ursu, grzeczny bojar, ustąpił obydwom niewiastom własnej kolaski — namiestnik siadł na koń — ruszono w drogę.

Dzień też miał się już ku spoczynkowi. Rozlane wody Kahamliku świeciły złotem od zachodzącego słońca i purpury zorzy. Wysoko na niebie ułożyły się stada lekkich chmurek, które czerwieniejąc stopniowo zsuwały się zwolna ku krańcom widnokregu, jakby zmęczone lataniem po niebie, szły spać gdzieś do nieznannej koleby. Pan Skrzetuski jechał po stronie kniaziówny, ale nie zabawiał jej rozmową, bo tak z nią mówić jak przed chwilą, przy obcych nie mógł, a blahe słowa nie chciały mu się przez usta przecisnąć. W sercu tylko czuł błogość, a w głowie szumiało mu coś, jak wino.

Cała karawana poruszała się rażno naprzód, a ciszę przerywało tylko parskanie koni lub brzęk strzemienia o strzemię. Potem karałasze zaczęli na tylnych wozach smutną pieśń wołoską, wkrótce jednak ustali, a natomiast rozległ się nosowy głos pana Longina, śpiewającego pobożnie: „Jam sprawiła na niebie, aby wschodziła światłość nieustająca i jako mgła — pokryłam wszystką ziemię.“ Tymczasem zciem-

niało. Gwiazdki zamigotały na niebie, a z wilgotnych łąk wstały białe tumany, jako morza bez końca.

Wjechali w las, ale zaledwie ujechali kilka staj, gdy dał się słyszeć tętёт koni i pięciu jeźdźców ukazało się przed karawaną. Byli to młodzi kniaziowie, którzy zawiadomieni przez woźnicę o wypadku, jaki spotkał matkę, śpieszyli na jej spotkanie, prowadząc z sobą wóz zaprzężony w cztery konie.

— Czy to wy, synkowie? — wołała stara kniahini.

Jeźdźcy przybliżyli się do wozów.

— My, matko!

— Przybywajcie. Dzięki tym oto ichmościom, nie potrzebuję już pomocy. To moi synkowie, których polecam łasce MM. panów: Si-meon, Jur, Andrzej i Mikołaj—a to kto piąty? — rzekła przypatrując się pilniej — hej! jeśli stare oczy widzą po ciemku, to Bohun — co?

Kniaziowna cofnęła się nagle w głąb kolaski.

— Czołem wam kniahini i wam kniaziowno Heleno! — rzekł piąty jeździec.

— Bohun!—mówiła stara.— Od pułku przybyłeś sokole? A z teorbanem? Witaj-że, witaj. Hej synkowie! Prosiłam już I. M. panów

na nocleg do Rozłogów, a teraz wy im się pokłońcie! Gość w dom, Bóg w dom! Bądźcież ichmościowie na nasz dom łaskawi.

Bułyhowie uchyłili czapek.

— Prosimy pokornie waszmościów w nizkie progi.

— Już mi też obiecali i jego wysokość pan poseł i Imć pan namiestnik. Zacznych kawalerów będziemy przyjmować, tylko że przywykłym do specyałów na dworach, nie wiem czyli będzie smakowała nasza uboga pasza.

— Na żołnierskim my chlebie, nie na dworskim chowani, rzekł pan Skrzetuski.

A pan Rozwan Ursu dodał:

— Probowałem ja już gościnnego chleba w szlacheckich domach i wiem, że i dworski mu nie wyrówna.

Wozy ruszyły naprzód, a stara kniahini mówiła dalej:

— Dawno to, dawno już minęły lepsze dla nas czasy. Na Wołyniu i na Litwie są jeszcze Kurcewicze, którzy poczty trzymają i wcale po pańsku żyją, ale ci biedniejszych krewnych znać nie chcą, za co niech ich Bóg skarze. U nas prawie kozacza bieda, którą nam waszmościowie musicie wybaczyć i szczerem sercem przy-

jąc to, co szczerze ofiarujemy. Ja i pięciu synów siedzimy na jednej wiosce i kilkunastu słobodach, a z nami i ta jeszcze jejmościanka na opiece.

Namiestnika zdziwiły te słowa, gdyż słyszał w Łubniach, że Rozłogi były niemałą fortuną szlachecką, a powtóre, że należały ongi do kniazia Wasila, ojca Heleny. Nie zdało mu się jednak rzeczą stosowną pytać, jakim sposobem przeszły w ręce Konstantyna i jego wdowy.

— To jejmość pani pięciu masz synów?—zagadnął pan Rozwan Ursu.

— Miałam pięciu, jak lwów — rzecze kniahini, ale najstarszemu Wasilowi poganie w Białogrodzie oczy wykapali pochodniami, od czego mu też i rozum się nadwreżył. Gdy młodzi pójdą na wyprawę, ja sama w domu zostaję, z nim tylko i z jejmościanką, z którą większa bieda jak pociecha.

Pogardliwy ton, z jakim stara kniahini mówiła o swej synowicy, tak był widoczny, że nie uszedł uwagi porucznika. Piersń mu zawrzała gniewem i o mało nie zaklął szpetnie, ale słowa zamarły mu na ustach, gdy spojrzawszy na kniaziównę, ujrzał przy świetle księżyca oczy jej zalane łzami...

— Co waćpannie jest? czego płaczesz? — spytał z cicha.

Kniaziówna milczała.

— Ja nie mogę znieść łez waćpanny, mówił pan Skrzetuski — i pochylił się ku niej, a widząc, że stara kniahini rozprawia z p. Rozwaniem Ursu i nie patrzy w tę stronę, nalegał dalej:

— Na Boga, przemów choć słowo, bo Bóg widzi, że i krew i zdrowie bym oddał, byle ciębie pocieszyć.

Nagle uczuł, że jeden z jeźdźców napiera go tak silnie, że aż konie poczynają się trzeć bokami.

Rozmowa z kniaziówną była przerywana, więc pan Skrzetuski zdziwiony, ale i wściekły, zwrócił się ku śmiałkowi.

Przy świetle księżyca ujrzał dwoje oczu, które patrzyły na niego zuchwale, wyzywająco i szyderczo zarazem.

Straszne te oczy świeciły jak ślepie wilka w ciemnym borze.

— Co u kaduka? pomyślał namiestnik—biesz czy co? — i z kolei zajrzawszy z bliska w te pałające źrenice, spytał:

— A czego to waść tak koniem najeżdżasz i oczyma we mnie wiercisz?

Jeździec nie odpowiedział nic, ale patrzył wciąż równie uporczywie i zuchwale.

— Jeśli ciemno, to mogę ognia skrzesać, a jeśli gościniec za ciasny, to hajda w step! rzekł już podniesionym głosem namiestnik.

— A ty odlataj laszku od kolaski — koły step widzisz, odparł jeździec.

Namiestnik, jako był człowiek do czynu skory, zamiast odpowiedzieć, uderzył tak silnie nogą w brzuch konia napastnika, że rumak jęknął i w jednym szczupaku znalazł się na samym brzegu gościńca.

Jeździec osadził go na miejscu i przez chwilę zdawało się, że pragnie rzucić się na namiestnika, ale wtem zabrzmiał ostry, rozkazujący głos starej kniahini.

— Bohun! szczo z toboju!

Słowa te miały natychmiastowy skutek. Jeździec zwrócił konia młyńcem i przejechał na drugą stronę kolaski do kniahini, która mówiła dalej:

— Szczo z toboju? Ej ty nie w Perejasławiu, ani w Krymie, ale w Rozłogach — bacz na to. A teraz skocz mi naprzód i prowadź

wozy, bo jar zaraz, a w jarze ciemno. Hodi siromacha!

Pan Skrzetuski równie był zdziwiony jak rozgniewany. Ten Bohun widocznie szukał okazji — i byłby ją znalazł, ale dlaczego szukał? z kąd ta niespodziewana napaść?

Przez głowę namiestnika przeleciała myśl, że tu kniaziówna wchodziła do gry, i utwierdził się w tej myśli, gdy spojrzawszy na twarz jej, ujrzał mimo mroków nocnych, że twarz ta była blada jak płótno i że widocznie malowało się na niej przerażenie.

Tymczasem Bohun ruszył z kopyta naprzód wedle rozkazu kniahini, która poglądając za nim, rzekła w pół do siebie w pół do namiestnika:

— To szalona głowa i bies kozaczy.

— Widać nie spełna rozumu, odpowiedział pogardliwie p. Skrzetuski. Czy to kozak w służbie synów imé pani?

Stara kniahini rzuciła się w tył kolaski.

— Co waćpan mówisz. To jest Bohun podpułkownik, przesławny junak, synom moim druh, a mnie jak szósty syn przybrany. Nie może też to być, abyś waszmość o nazwisku jego nie słyszał, bo wszyscy o nim wiedzą.

I rzeczywiście panu Skrzetuskiemu dobrze było znane to nazwisko. Z pośród imion różnych pułkowników i atamanów kozackich, wypłynęło ono na wierzch i było na wszystkich ustach, po obu stronach Dniepru. Ślepcy śpiewali o Bohunie pieśni po jarmarkach i karczmach, na wieczornicach opowiadano dziwy o młodym watażce. Kto on był, z kąd się wziął, nikt nie wiedział. To pewna, że kolebką były mu stepy, Dniepr, Porohy i Czertomelik ze swoim labiryntem cieśnin, zatok, kołbani, wysp, skał, jarów i oczeretów. Od wyrostka zżył się i zespolił z tym dzikim światem.

Czasu [pokoju chodził z innymi „za rybą i zwierzem“, tłukł się po zakrętach dniewnych, brodził po bagniskach i oczeretach wraz z gromadą półnagich towarzyszków — to znów całe miesiące spędzał w głębinach leśnych. Szkołą były mu wycieczki na Dzikie pola po trzody i tabuny tatarskie, zasadzki, bitwy, wyprawy przeciw brzegowym ulusom, do Białogrodu, na Wołoszczyznę lub czajkami na Czarne morze. Innych dni nie znał jak na koniu, innych nocy jak przy ognisku na stepie. Wcześniej stał się ulubieńcem całego Niżu, wcześniej sam zaczął wodzić innych, i wkrótce odwaga

wszystkich przewyższył. Gotów był w sto koni iść choćby do Baczysaraju i samemu chanowi zaświecić w oczy pożogą; palił ulusy i miasteczka, wycinał w pień mieszkańców, schwytanych murzów rozdzierał końmi, spadał jak burza, przechodził jak śmierć. Na morzu rzucał się jak wściekły na galery tureckie. Zapuszczał się w środek Budziaku, wlaził, jak mówiono, w paszczkę lwa. Niektóre jego wyprawy były wprost szalone. Mniej odważni, mniej ryzykowni, konali na palach w Stambule lub gnili przy wiosłach na tureckich galerach — on zawsze wychodził zdrowo i z łupem obfitym. Mówiono, że zebrał skarby ogromne i że trzyma je ukryte po dniewowych komyszach, ale też nieraz go widziano jak deptał zabłocnemi nogami po złotogłowiach i lamach, koniom słał kobierce pod kopyta, albo jak ubrany w adamaszki kąpał się w dziegciu, umyślnie kozaczą pogardę dla onych wspaniałych tkanin i ubiorów okazując. Miejsca długo nigdzie nie zagrzał. Czynami jego powodowała fantazja. Czasem przybywszy do Czelhryna, Czerkas lub Perejasławia hulał na śmierć z innemi zaporoźcami, czasem żył jak mnich, do ludzi nie gadał, w stepy uciekał. To znów otaczał

się ślepcami, których grania i pieśni po całych dniach słuchał, a samych złotem obrzucał. Między szlachtą umiał być dwornym kawalerem, między kozaki najdzikszym kozakiem, między rycerzami rycerzem, między łupieżcami łupieżcą. Niektórzy mieli go za szalonego, bo też i była to dusza nieokiełzana i rozszalała. Dla czego na świecie żył, czego chciał, dokąd dążył, komu służył — sam nie wiedział. Służył stepom, wichrom, wojnie, miłości i własnej fantazyi. Ta właśnie fantazyja wyróżniała go od innych watażków grubijanów i od całej rzeszy rozbójniczej, która tylko grabież miała na celu, i której za jedno było grabić tatarów czy swoich. Bohun brał łup, ale wołał wojnę od zdobyczy, kochał się w niebezpieczeństwach dla własnego ich uroku; złotem za pieśni płacił, za sławą gonił, o resztą nie dbał.

Ze wszystkich watażków, on jeden najlepiej uosabiał kozaka-rycerza, dla tego też pieśń wybrała go sobie na kochanka, a imię jego rozślawiło się na całej Ukrainie.

W ostatnich czasach został podpułkownikiem perejasławskim, ale pułkownikowską władzę sprawował, bo stary Łoboda słabo już trzymał buławę krzepnącą dłonią.

Pan Skrzetuski dobrze tedy wiedział kto był Bohun, a jeśli pytał starej kniahini, czy to kozak w służbie jej synów, to czynił to przez umyślną pogardę, bo przeczuł w nim wroga, a mimo całej sławy watażki, wzburzyła się krew w namiestniku, że kozak poczynił sobie z nim tak zuchwale.

Domyślał się też, że skoro się zaczęło, to się na byle czem nie skończy. Ale cięty to był jak osa człowiek pan Skrzetuski, dufny aż nadto w siebie i również nie cofający się przed niczem, a na niebezpieczeństwa chciwy prawie. Gotów był choćby i zaraz wypuścić konia za Bohunem, ale jechał przy boku kniaziówny. Zresztą wozy minęły już jar i zdala ukazały się światła w Rozłogach.



ROZDZIAŁ IV.

Kurcewicze Bułyhowie, był to stary książęcy ród, który się Kurczem pieczętował, od Koryjata wywodził a podobno istotnie szedł od Ruryka. Z dwóch głównych linii, jedna siedziała na Litwie, druga na Wołyniu, a na Zadnieprze przeniósł się dopiero kniaź Wasil, jeden z licznych potomków linii wołyńskiej, który ubogim będąc, nie chciał wśród możnych krewnych zostawać i wszedł na służbę księcia Michała Wiśniowieckiego, ojca przesławnego Jaremy.“

Okrywszy się sławą w tej służbie i znaczne posługi rycerskie księciu oddawszy, otrzymał od tegoż w dziedzictwo Krasne Rozłogi, które potem dla wielkiej mnogości wilków, Wilczemi Rozłogami przezwano i stale w nich osiadł. W roku 1629 przeszedłszy na obrządek łaciński, ożenił się z Rahożianką, panną z zacnego

domu szlacheckiego, któren się z Wołoszczyzny wywodził. Z małżeństwa tego, w rok później, przysłała na świat córka Helena; matka umarła przy jej urodzeniu, ksiązę Wasil zaś, nie myśląc już o powtórnym ożenku, oddał się całkiem gospodarstwu i wychowaniu jedynaczki. Był to człowiek wielkiego charakteru i niepospolitej cnoty. Dorobiwszy się dość szybko średniej fortuny, pomyślał zaraz o starszym swym bracie Konstantynie, któren na Wołyniu w biedzie został i odepchnięty od możnej rodziny, zmuszony był chodzić po dzierżawach. Tego wraz z żoną i pięcioma synami do Rozłogów sprowadził i każdym kawałkiem chleba się z nimi dzielił. W ten sposób obaj Kurcewice, żyli w spokoju aż do końca 1634 roku, w którym Wasil z królem Władysławem pod Smoleńsk ruszył. Tam to zaszedł ów nieszczęsny wypadek, który zgubę jego spowodował. W obozie królewskim przejęto list pisany do Szelina, podpisany nazwiskiem kniazia i przypieczętowany Kurczem. Tak jawny dowód zdrady, ze strony rycerza, który aż dotąd nieskazitelnej sławy używał, zdumiał i przeraził wszystkich. Napróżno Wasil świadczył się Bogiem, że ni ręką, ni podpis na liście nie są jego—herb Kurcz

na pieczęci usuwał wszelkie wątpliwości, w zgubienie zaś sygnetu, czem się kniaź tłumaczył, nikt wierzyć nie chciał—i ostatecznie nieszczęśliwy kniaź pro crimine perduelionis skazany na utratę czci i gardła, musiał się ucieczką salwować. Przybywszy nocą do Rozłogów, zaklął brata Konstantyna na wszystkie świętości, by jak ojciec opiekował się jego córką — i odjechał na zawsze. Mówiono, że raz jeszcze z Baru pisał list do księcia Jeremiego, z prośbą by nie odejmował kawałka chleba Helenie i spokojnie ją w Rozłogach na opiece Konstantyna zostawił — potem głos o nim zaginął. Były wieści, że zmarł zaraz, to że przystał do cesarskich i zginął na wojnie w Niemczech, ale któż mógł co wiedzieć na pewno? Musiał zginąć, skoro się więcej o córkę nie pytał. Wkrótce przestano o nim mówić, a przypominano go sobie dopiero, gdy wyszła na jaw jego niewinność. Niejaki Kupcewicz, witebszczanin, umierając zeznał, jako on pisał pod Smoleńskiem list do Szehina, i znalezionym w obozie sygnetem go przypieczętował. Wobec takiego świadectwa, żalność i konsternacya ogarnęły wszystkie serca. Wyrok został zmienionym, imię księcia Wasila do sławy przywrócone, ale dla

niego samego nagroda za mękę przyszła za-
późno. Co do Rozłogów, to Jeremi nie myślał
ich zagarniać, bo Wiśniowieccy znając lepiej
Wasila, nigdy o jego winie nie byli zupełnie
przekonani. Mógłby on być nawet zostać
i drwić z wyroku pod ich potężną opieką, i je-
żeli uszedł, to dla tego, że niesławy znieść nie
umiał.

Helena chowała się więc spokojnie w Roz-
łogach, pod czułą opieką stryja — i dopiero po
jego śmierci zaczęły się dla niej ciężkie czasy.
Żona Konstantyna, z rodziny wątpliwego po-
chodzenia, była to kobieta surowa, popędliwa,
a energiczna — którą mąż jeden utrzymać w ry-
zie umiał. Po jego śmierci, zagarnęła w żelaz-
ne ręce rządy w Rozłogach. Służba drżała
przed nią — dworzyszczowi bali się jej jak
ognia, sąsiadom dała się wkrótce we znaki.
W trzecim roku swych rządów, po dwakroć
zbrojno najeżdżała Siwińskich w Browarkach,
sama przebrana po męzku, konno przywodząc
czeladzi i najętym kozakom. Gdy raz pułki
księcia Jeremiego pogromiły watahę tatarów,
swawolącą koło Siedmiu mogił, kniahini na cze-
le swoich ludzi, zniosła, ze szczerem kupę nie-
dobitków, która się aż pod Rozłogi zapędziła.

W Rozłogach też usadowiła się na dobre i poczęła je uważać za swoją i swoich synów własność. Synów tych kochała jak wilczyca młode, ale sama będąc prostytutką, nie pomyślała o przystojnem dla nich wychowaniu. Mnich greckiego obrządku, sprowadzony z Kijowa, wyuczył ich czytać i pisać—na czem też skończyła się edukacya. A przecie niedaleko były Łubnie, a w nich dwór książęcy, na którymby młodzi kniaziowie mogli nabrać poloru, wywić się w kancelaryi — w sprawach publicznych, lub, zaciągnąwszy się pod chorągwie, w szkole rycerskiej. Kniahini miała wszelako swoje powody, dla których nie oddawała ich do Łubinów.

A nużby książę Jeremi przypomniat sobie czyje są Rozłogi i wejrzał w opiekę nad Heleną; albo sam dla pamięci Wasila tę opiekę chciał sprawować? Przyszłoby chyba wówczas wynosić się z Rozłogów—wolała więc kniahini, by w Łubniach zapomniano, że jacy Kurcewicze żyją na świecie. Ale też za to młodzi kniaziowie hodowali się wpół dziko i więcej po kozacku, niż po szlachecku. Pacholećmi jeszcze będąc, brali udział w poswarkach starej kniahini, w zajazdach na Siwińskich, w wyprawach

na kupy tatarskie. Czując wrodzony wstręt do książek i pisma, po całych dniach strzelali z łuków lub wprawiali ręce we władanie kiścieniami, szablą, w rzucanie arkanów. Nie zajmowali się nawet i gospodarstwem, bo go nie popuszczała z rąk matka. I żal było patrzeć na tych potomków znakomitego rodu, w których żyłach płynęła krew książęca, ale których obyczaje były surowe i grube, a umysły i zatwardziałe serca przypominały step nieuprawny. Tymczasem powyrastali jak dęby, wiedząc wszelako to do siebie, iż są prostakami, wstydzili się żyć ze szlachtą, a natomiast miłszem im było towarzystwo dzikich watażków kozackich. Wcześniej też weszli w komitywę z Niżem, gdzie ich za towarzyszków uważano. Czasem po pół roku i więcej siedzieli na Siczy; chodzili na „przemysł“ z kozakami, brali udział w wyprawach na Turków i Tatarów, które w końcu stały się głównem i ulubionem ich zajęciem. Matka nie przeciwiała się temu, bo często przywozili zdobycz obfitą. Wszelako na jednej z takich wypraw, najstarszy Wasil, dostał się w ręce pogańskie. Bracia przy pomocy Bohuna i jego Zaporozców odbili go wprawdzie, ale z wykapanemi oczami. Od tej pory

ten w domu siedzieć musiał, a jako dawniej był najdzikszy, tak potem złagodniał bardzo i w rozmyślaniach a nabożeństwie się zatopił. Młodzi prowadzili dalej wojenne rzemiosło, które w końcu przydomek kniaziów-kozaków im zjednało. Dość też było spojrzeć na Rozłogi-Siromachy, by odgadnąć, jacy w nich ludzie mieszkali. Gdy poseł i pan Skrzetuski zajęchali przez bramę ze swemi wozami, ujrzeli nie dwór, ale raczej obszerną szopę, z ogromnych bierwion dębowych zbitą, z wążkami, podobnemi do strzelnic oknami. Mieszkania dla czeladzi i kozaków, stajnie, śpichlerze i lamusy, przytykały do tego dworu bezpośrednio, tworząc budowę nieforemną, z wielu to wyższych to niższych części złożoną, na zewnątrz tak ubogą i prostacką, że gdyby nie światła w oknach, trudnoby ją za mieszkanie ludzi poczytać. Na majdanie przed domem widać było dwa żórawie studzienne, bliżej bramy słup z kołem na szczycie, na którym siadywał niedźwiedź chowany. Brama potężna, z takichże bierwion dębowych, dawała przejście na majdan, który cały był otoczony rowem i palisadą.

Widocznie było to miejsce obronne, przeciw napadom i zajazdom zabezpieczone. We

wszystkiem też przypominało kresową pałankę kozacką, a lubo większość siedzib szlacheckich na kresach takiego, a nie innego była pokroju, ta przecie bardziej jeszcze od innych wyglądała na jakieś drapieżne gniazdo. Czeladź, która naprzeciw gości wyszła z pochodniami, podobniejsza była do zbójów, niż do ludzi służbowych. Wielkie psy na majdanie, targały za łańcuchy, jakby chciały się urwać i rzucić na przybyłych, ze stajen dobywało się rzenie koni, młodzi Bułhowie wraz z matką poczęli wołać na służbę, rozkazywać i przeklinać. Wśród takiego harmideru, goście weszli do środka domu, ale tu dopiero, pan Rozwan Ursu, który widząc poprzednio dzikość i mizeryję siedliska, prawie żałował, iż się dał zaprosić na nocleg, zdumiał prawdziwie na widok tego, co ujrzały jego oczy. Wnętrze domu zgola nie odpowiadało jego lichym zewnętrznym pozorom. Najprzód weszli do obszernej sieni, której ściany całkiem prawie pokryte były zbroją, orężem i skórami dzikich zwierząt.

W dwóch ogromnych grubach paliły się kłody drzewa, a przy jasnym ich blasku widać było bogate rzędy końskie, błyszczące pancerze, karaceny tureckie, na których tu i owdzie

świeciły drogie kamienie, druciane koszulki ze złożonemi guzami na spięciach, pół-pancerze, nabrzuśniki, ryngrafy, stalowe harnasze wielkiej ceny, hełmy polskie i tureckie, oraz mi-siurki z wierzchami od srebra. Na przeciwle-głej ścianie wisiały tarcze, których już nie używano w wieku ówczesnym, obok nich kopi-je polskie i dziryty wschodnie, siecznego oręża też dosyć od szabli aż do gindżałów i jataga-nów, których głównie migotały różnemi kolo-rami jak gwiazdki w blasku ognia. Po kątach zwieszały się wiązki skór lisich, wilczych, nie-dźwiedzich, kunich i gronostajowych — owoc myślistwa kniaziów.

Niżej, wzdłuż ścian, drzemały na obręczach jastrzębie, sokoły i wielkie berkuty, sprowa-dzane z dalekich stepów wschodnich, a używa-ne do pościgu wilków.

Z sieni owej goście przeszli do wielkiej go-ścińnej komnaty. I tu na kominie z okapem palił się rześisty ogień. W komnacie tej wię-kszy był jeszcze przepych niż w sieni. Gołe belki w ścianach pookrywane były makatami, na podłodze rozścielały się przepyszne wscho-dnie kobierce. W pośrodku stał długi stół na krzyżowych nogach, sklecony z prostych de-

sek, na nim zaś roztruhany całe złożone lub rznięte ze szkła weneckiego. Pod ścianami mniejsze stoły, komody i pulki, na nich sepe-ty, puzdra nabijane bronzem, mosiężne świeczniki i zegary zrabowane czasu swego przez turków wenecyanom, a przez kozaków turkom. Cała komnata założona była mnóstwem przedmiotów zbytkownych, częstokroć niewiadomego dla gospodarzy użycia. Wszędzie przepych mieszał się z największą stopową prostotą. Cenne komody tureckie nabijane bronzem, hebanem, perłową macicą, stały obok nieheblowanych pul-tek, proste drewniane krzesła obok miękkich sof, krytych kobiercami. Poduszki leżące mo-dą wschodnią na sofach, miały pokrowce z al-tembasu lub bławatów, ale rzadko były wypcha-ne kwapiem, częściej sianem lub grochowinami. Kosztowne tkaniny i zbytkowne przedmioty, było to tak zwane „dobro“ tureckie, tatarskie, częścią kupione za byle co od kozaków, częścią zdobyte na licznych wojnach jeszcze przez sta-rego kniazia Wasila, częścią w czasie wypraw z niżowcami przez młodych Bułyhów, którzy woleli puszczać się czajkami na Czarne morze, niż żenić się, lub gospodarstwa pilnować. Wszy-stko to nie dziwiło zgoła pana Skrzetuskiego,

znającego dobrze domy kresowe, ale bojar wołoski zdumiewał się, widząc wśród tego przepychu, Kurcewiczów ubranych w jałowicze buty i w kozuchy nie wiele lepsze od tych, jakie nosiła służba; dziwił się również i pan Longin Podbipięta, przywykły na Litwie do innych porządków.

Tymczasem młodzi kniaziowie podejmowali gości szczerze i z wielką ochotą, lubo mało otarci w świecie, czynili to manierą tak niezgrabną, iż namiestnik zaledwo mógł uśmiech powściągnąć.

Starszy Simeon mówił:

— Radziśmy waszmościom i wdzięczni za łaskę. Dom nasz, dom wasz—tak też i bądźcie jak u siebie. Kłaniamy panom dobrodziejstwu w niskich progach.

I lubo nie znać było w tonie jego mowy żadnej pokory, ani rozumienia jakoby przyjmował wyższych od siebie, przecież kłaniał im się obyczajem kozackim w pas, a za nim kłaniali się i młodszy bracia, sądząc, że tego gościnność wymaga i mówiąc:

— Czołem waszmościom, czołem!...

Tymczasem kniahini szarpnąwszy Bohuna za rękaw, wyprowadziła go do innej komnaty.

— Słysz Bohun, rzekła pospiesznie, nie mam czasu długo gadać. Widziałam, że ty tego młodego szlachcica na ząb wziął i zaczepki z nim szukasz?

— Maty, odpowiedział kozak, całując starą w rękę. Świat szeroki, jemu inna droga, mnie inna. Ani ja go znał, ni o nim słyszał, ale niech mi się nie pochyla do kniaziówny, bo jakem żyw, szablą w oczy zaświecę. *

— Hej oszalał, oszalał! A gdzie głowa, kozacze? Co się z tobą dzieje? Czy ty chcesz zgubić nas i siebie? To jest żołnierz Wiśniowieckiego i namiestnik, człowiek znaczny, bo od księcia do Chana posłował. Niech mu włos z głowy spadnie pod naszym dachem, wiesz co będzie? Oto wojewoda obróci oczy na Rozłogi, jego pomści, nas wygna na cztery wiatry, a Helenę do Łubniów zabierze—i co wówczas? Czy i z nim zadrzesz? czy na Łubnie napadniesz? Spróbuj, jeśli chcesz pała posmakować, kozacze zatracony!... Chyla się szlachcic do dziewczyny, nie chyla, ale jak przyjechał, pojedzie i będzie spokój. Hamuj że ty się, a nie chcesz, to ruszaj skądś przybył, bo nam tu nieszczęścia naprowadzisz!

Kozak gryzł wąż, sapał, ale zrozumiał, że kniahini ma słaszność.

— Oni jutro odjadą, matko, rzekł—a ja się pohamuję, niech jedno czarnobrewa nie wychodzi do nich.

— A tobie co? Żeby myśleli, że ją więzę. Otóż wyjdzie, bo ja tego chcę. Ty mi tu w domu nie przewodź, boś nie gospodarz.

— Nie gniewajcie się, kniahini. Skoro inaczej nie można—to będę im jako tureckie bakalie słodki. Zębem nie zgrzytnę, do głowni nie sięgnę, choćby mnie gniew i pożarł, choćby dusza jęczyć miała. Niechże będzie wasza wola.

— A to tak gadaj sokole, teorban weź, zagraj, zaśpiewaj, to ci i na duszy lżej się zrobi. A teraz chodź do gości.

Wrócili do gościnnej komnaty, w której kniaziowie, nie wiedząc jak gości bawić, wciąż ich zapraszali, by byli sobie radzi i kłaniali im się w pas. Tu zaraz pan Skrzetuski spojrzał ostro a dumnie w oczy Bohunowi, ale nie znalazł w nich ni zaczepki, ni wyzwania. Twarz młodego watażki jaśniała uprzejmą wesołością, tak dobrze symulowaną, że mogłaby omylić najwprawniejsze oko. Namiestnik przyglądał mu się bacznie, gdyż poprzednio w ciemności nie

mógł dojrzeć jego rysów. Teraz ujrzał mołojca smukłego jak topola, z obliczem smagłym, zdobnem w bujny czarny wąs, zwieszający się ku dołowi. Wesołość na tej twarzy przebijała przez ukraińską zadumę, jako słońce przez mgłę. Czoło miał watażka wysokie, na które spadała czarna czupryna, w postaci grzywki, ułożonej w pojedyncze kosmyki, obcięte równo nad silną brwią. Nos orli, rozdęte nozdrza— i białe zęby, połyskujące przy każdym uśmiechu, nadawały tej twarzy wyraz trochę drapieżny, ale w ogóle był to typ piękności ukraińskiej, bujnej, barwnej i zawadyackiej. Nad podziw świetny ubiór wyróżniał także stepowego mołojca od przybranych w kozuchy kniaziów. Bohun miał na sobie żupan z cienkiej lamy srebrnej, i czerwony kontusz, którą to barwę nosili wszyscy kozacy perejasławscy. Biodra otaczał mu pas krepowy, od którego bogata szabla zwieszała się na jedwabnych rapciach; ale i szabla i ubiór gasły przy bogactwie tureckiego gindżału, zatknętego za pas, którego głownia tak była nasadzona kamieniami, że aż skry sypały się od niej. Tak przybranego, każdyby snadnie poczytał raczej za jakie paniątko wysokiego rodu, niż za kozaka, zwłaszcza

że i jego swoboda, jego wielkopańskie maniery, nie zdradzały niskiego pochodzenia. Zbliżywszy się do pana Longina, wysłuchał historyi o przodku Stowejce i o ścięciu trzech krzyżaków a potem zwrócił się do namiestnika i jak gdyby nie pomiędzy niemi nie zaszło, spytał z całą swobodą:

— Wasza mość, słyszę, z Krymu powracasz?

— Z Krymu, odparł sucho namiestnik.

— Byłem tam i ja, a chociażem się do Bachczysaraju nie zapędzał, przecie mniemam, że i tam będę, jeśli się one pomyslnie wieści sprawdzą.

— O jakich wieściach waść mówisz?

— Są głosy, że jeśli król miłościwy wojnę z tureczynem zacznie, to księżę wojewoda Krym ogniem i mieczem nawiedzi—od których wieści wielka jest radość na całej Ukrainie i na Niżu, bo jeśli pod takim wodzem nie pohulamy w Bachczysaraju, tedy pod żadnym.

— Pohulamy, jako Bóg w niebie!—ozwali się Kurcewicz.

Porucznika ujął respekt z jakim watażka odzywał się o księciu, przeto uśmiechnął się i rzekł łagodniejszym już tonem:

— Waści, widzę, nie dość wypraw z Niżowcami, które cię przecie sławą okryły.

— Mała wojna, mała sława; wielka wojna, wielka sława. Konaszewicz Sahajdaczny nie na czajkach, ale pod Chocimem jej nabył.

W tej chwili drzwi się otworzyły i do komnaty wszedł zwolna Wasil, najstarszy z Kurcewiczów, prowadzony za rękę przez Helenę. Był to człowiek dojrzałych lat, wybladły i wychudły, z twarzą ascetyczną i smętną, przypominającą bizantyjskie obrazy świętych. Długie włosy, posiwiałe przedwcześnie od nieszczęść i bólu, spadały mu aż na ramiona, a zamiast oczu miał dwie czerwone jamy, w ręku trzymał krzyż mosiężny, którym począł żegnać komnatę i wszystkich obecnych.

— W imię Boga Ojca, w imię Spasa i Świętej, Przczystej, mówił, jeśli apostołami jesteście i dobre nowiny niesiecie, witajcie w pro-gach chrześcijańskich. Amen!

— Wybaczcie waszmościowie, mruknęła kniahini, on ma rozum pomięszany.

Wasil zaś żegnał wciąż krzyżem i mówił dalej:

— Jako stoi w „Biesiadach apostołskich“ „którzy przeleją krew za wiarę, zbawieni będą;

którzy polegną dla dóbr ziemskich, dla zysku lub zdobyczy—mają być potępieni..“ Módlmy się! gorze wam bracia! gorze mnie, bośmy dla zdobyczy wojnę czynili! Boże, bądź miłościw nam grzesznym! .Boże, bądź miłościw... A wy mężowie, którzy przybyliście zdaleka, jakie nowiny niesiecie? jesteścież apostołami?

Umilkł i zdawał się czekać na odpowiedź, więc namiestnik odpowiedział po chwili :

— Daleko nam od tak wysokiej szarży.Żołnierzami tylko jesteśmy, gotowemi poledz za wiarę.

— Tedy będziecie zbawieni — rzekł ślepy — ale dla nas nie nadeszła jeszcze godzina wyzwolenia... Gorze wam, bracia! gorze mnie!

Ostatnie słowa wymówił prawie jęcząc i taka niezmierna rozpacz malowała się na jego twarzy, że goście nie wiedzieli co mają począć. Tymczasem Helena posadziła go na krześle, sama zaś wybiegłszy do sieni, wróciła po chwili z lutnią w ręku.

Ciche dźwięki ozwały się w komnacie, a do wtóru im kniaziówna poczęła śpiewać pieśń pobożną.

I w noc i w dzień wołam do cię panie!

Pofołguj męce i łzom żałośliwym,

Badź mnie grzesznemu ojcem miłościwym,

Usłysz wołanie.

Niewidomy przechylił w tył głowę i słuchał słów pieśni, które zdawały się działać jak balsam kojący, bo z twarzy znikwały mu stopniowo ból i przerażenie; наконец głowa spadła mu na piersi i tak pozostał jakby w półśnie, pół odrętwieniu.

— Byle nie przerywać śpiewania, już on się całkiem uspokoi, rzekła z cicha kniahini. Wiedzicie waszmościowie, waryacya jego polega na tem, że ciągle czeka apostołów i byle kto do domu przyjechał, zaraz wychodzi pytać, czy nie apostołowie...

Tymczasem Helena śpiewała dalej:

Wskaż-że mi drogę o Panie nad Pany,
Bom jako pątnik na pustyn bezdrożu,
Lub jak wśród fali na niezmiernem morzu,
Korab, zbłąkany.

Słodki głos jej brzmiał coraz silniej i z tą lutnią w ręku, z oczyma wzniesionemi do góry, była tak cudna, że namiestnik oczu nie mógł od niej oderwać. Zapatrzył się w nią, utonął w niej — o świecie zapomniał.

Z zachwyty rozbudziły go dopiero słowa starej kniahini:

— Dosyć tego! Już on się teraz nieprędko rozbudzi. A tymczasem proszę ichmościów na wieczerzę.

— Prosimy na chleb i sól! — ozwali się za matką młodzi Bułyhowie.

Pan Rozwan, jako kawaler wielkich manier, podał ramię kniahini, co widząc pan Skrzetuski sunął zaraz do kniaziówny Heleny. Serce zmiękło w nim jak воск, gdy czuł jej rękę na swojej, z oczu aż skry poszły — i rzekł:

— Snać już chyba i anieli w niebie cudniej nie śpiewają od waćpanny.

— Grzeszysz rycerzu, przyrównywając moje śpiewanie do anielskiego, odpowiedziała Helena.

— Nie wiem czy grzeszę, ale to pewno, że chętnie dałbym sobie oczy wykapać, byle twego śpiewania do śmierci słuchać. Ale cóż mówię! Ślepym będąc, nie mógłbym ciebie widzieć, co również byłoby męką nieznośną.

— Nie mów tego waszmość, gdyż wyjechawszy ztąd jutro, jutro zapomnisz.

— O nie stanie się to, gdyż takem się w waćpannie rozkochał, iż po wiek żywota mego innego afektu znać nie chcę, a tego nigdy niezapomnę.

Na to szkarłatny rumieniec oblał twarz kniaziówny, pierś poczęła falować mocniej.

Ciciąła odpowiedzieć, ale tylko wargi jej drżały — więc pan Skrzetuski mówił dalej:

— Waćpanna raczej zapomnisz o mnie przy owym kraśnym watażce, który twemu śpiewaniu na bałabajce przygrywać będzie.

— Nigdy, nigdy! — szepnęła dziewczyna. — Ale waćpan się jego strzeż, to straszny człowiek.

— Co mi tam jeden kozak znaczy, a choćby też i cała Sicz z nim [trzymała, jam się dla ciebie na wszystko ważyć gotowy. Tyś mi jest właśnie jako klejnot bez ceny, tyś mój świat, jeno niech wiem, żeś mi jest wzajemną.

Ciche „tak“ zadźwięczało jak rajska muzyka w uszach pana Skrzetuskiego, i zaraz wydało mu się, że w nim przynajmniej dziesięć serc bije; w oczach mu pojaśniało wszystko, jakoby promienie słoneczne na świat padły; uczuł w sobie jakieś moce nieznane, jakieś skrzydła u ramion. Przy wieczerzy mignęła mu kilkakroć twarz Bohuna, która była zmieniona bardzo i blada, ale namiestnik, mając wzajemność Heleny, nie dbał o tego współzawodnika. „Jechał go sęk! — myślał sobie — niechże mi w drogę nie włązi, bo go zetnę.“ Zresztą myśli jego szły w inną stronę.

Czuł oto, że Helena siedzi przy nim tak blisko, iż prawie ramieniem dotyka jej ramienia, widział rumieńce nie schodzące z jej twarzy, od których bił żar; widział pierś falującą i oczy, to skromnie spuszczone i rzęsami nakryte, to błyszczące jako dwie gwiazdy. Bo też Helena, choć zahukana przez Kurcewiczową, choć żyjąca w sieroctwie, smutku i obawie, była przecie ukraińką o krwi ognistej. Gdy tylko padły na nią ciepłe promienie miłości, zaraz zakwitła jak róża i do nowego nieznanego rozbudziła się życia. W jej twarzy zabłysło szczęście, odwaga, a te porywy, walcząc ze wstydem dziewczycym, umalowały jej policzki w śliczne kolory różane. Więc pan Skrzetuski mało ze skóry nie wyskoczył. Pił na umor, ale miód nie działał na niego, bo już był pijany miłością. Nie widział nikogo więcej przy stole, tylko swoją dziewczynę. Nie widział, że Bohun bladł coraz bardziej i coraz to macał głowni swego gindżału; nie słyszał jak pan Longin opowiadał po raz trzeci o przodku Stowejce, a Kurcewicz o swoich wyprawach po „dobro tureckie“. Pili wszyscy prócz Bohuna, a najlepszy przykład dawała stara kniahini, wznosząc kusztyki, to za zdrowie gości, to za zdrowie miłościwego księcia

pana, to wreszcie hospodara Lupuła. Była też mowa o ślepym Wasilu, o jego dawniejszych przewagach rycerskich, o nieszczęsnej wyprawie i terazniejszej waryacyi, którą najstarszy Simeon tak tłumaczył:

— Zważcie waszmościowie, iż gdy najmniej: sze zdźbło w oku patrzeć przeszkadza, jakże tedy znaczne kawały smoły, dostawszy się do rozumu, nie miały go o pomieszanie przyprawić?

— Bardzo to jest delikatne instrumentum, zauważył na to pan Longin.

W tem stara kniahini spostrzegła zmienioną twarz Bohuna.

— Co tobie, sokole?

— Dusza boli, maty — rzekł posępnie — ale kozacze słowo nie dym, więc zdzierzę.

— Terpy synku, mohorycz bude.

Wieczera była skończona — ale miodu dolewano ciągle do kuszyków. Przyszli też kozaczekowie wezwani do tańcowania na tem większą ochotę. Zadźwiewały bałabajki i bębenek, przy których odgłosach zaspiane pacholeta musiały płaść. Później i młodzi Bułyhowie poszli w prysiudy. Stara kniahini, wzięwszy się pod boki, poczęła dreptać w miejscu,

a podrygiwać, a podśpiewywać, co widząc pan Skrzetuski, sunął z Heleną do tańca. Gdy ją objął rękoma, zdawało mu się, iż kawał nieba przyciska do piersi. W zawrotach tańca, długie jej warkocze omotały mu szyję, jakby dziewczyna chciała go przywiązać do siebie na zawsze. Nie wytrzymał tedy szlachcic, ale gdy rozumiał, że nikt nie patrzy, pochylił się i z całej mocy pocałował jej słodkie usta.

Późno w noc znalazłszy się sam na sam z panem Longinem w izbie, w której posłano im do spania, porucznik zamiast iść spać, siadł na tapeczanie i rzekł:

— Z innym to już człowiekiem jutro waćpan do Łubniów pojedziesz!

Podbipięta, który dopiero co właśnie ukończył pacierze, otworzył szeroko oczy i spytał:

— Tak, bo cóż? czy waszmość tu zostanie?

— Nie ja zostanę, ale serce zostanie, a jedno dulcis recordatio ze mną pojedzie. Widzisz mnie waćpan w wielkiej alteracyi, gdyż od żądz tkliwych ledwie że tchu oribus mogę złapać.

— To waćpan zakochał się w kniaziównie?

— Nie inaczej, jako żyw tu przed waćpanem siedzę. Sen ucieka mnie od powiek i jeno do

wzdychania mam ochotę, — od którego chyba cały w parę się rozpłynę — co waćpanu powiadam dla tego, że mając serce czułe i afektów głodne, snadnie mękę moją zrozumiesz.

Pan Longin sam wzdychać począł, na znak, że męczarnie miłości rozumie, po chwili zaś spytał żałośnie:

— A może waćpan takż czystość ślubował?

— Pytanie waćcine jest nie rzeczy, bo gdyby wszyscy podobne śluby czynili, tedyby genus humanum zaginać musiał.

Wejście sługi przerwało dalszą rozmowę. Był to stary tatar, o bystrych czarnych oczach i pomarszczonej jak suszone jabłko twarzy. Wszedłszy, rzucił znaczące spojrzenie na Skrzetuskiego i spytał:

— A czy nie trzeba czego waszmościom? może miodu po kunsztyczku do poduszki?

— Nie trzeba.

Tatar zbliżył się do Skrzetuskiego i mruknął:

— Mam dla W. pana słówko od panny.

— Bądź-że mi Pandarem! zawołał radośnie namiestnik. Możesz też mówić przy tym kawalerze, bom się przed nim spuścił z sekretu.

Tatar wydobył z za rękawa kawałek wstążki:

— Panna przysłała W. panu tę szarfę i to kazała powiedzieć, że miłuje go z całej duszy.

Porucznik porwał szarfę i począł ją z uniesieniem całować i do piersi przyciskać, a dopiero ochłonawszy nieco spytał:

— Co ci zleciła powiedzieć?

— Że miłuje waszmość pana z całej duszy.

— Naści-że talera za musztuluk. Rzekła tedy, że mnie miłuje?

— Tak jest!

— Naści-że jeszcze talera. Niechże ją Bóg błogosławi, boć i ona mi najmiłsza. Powiedźże jej... albo czekaj: sam do niej pisać będę; przynieś mi jeno inkaustu, piór i papieru.

— Czego? — spytał tatar.

— Inkaustu, piór i papieru.

— Tego u nas w domu niema. Za kniazia Wasila było — i potem, jak się młodzi kniazio-
wie pisać od czerńca uczyli — ale to już dawno.

Pan Skrzetuski klasnął palcami.

— Mości Podbipięto, nie masz wasze inkaustu i piór?

Litwin rozłożył ręce i wzniósł oczy do góry.

— Tfy do licha! — rzecze porucznik — o tom jest w kłopotcie!

Tymczasem tatar usiadł w kuczki przed ogniem.

— Po co pisać, rzekł, grzebiąc w węglach. Panna spać poszła. A co masz wasza miłość jej napisać, to jutro powiedzieć można.

— Kiedy tak, to co innego. Wiernyś, jak widzę, sługa kniaziówny. Naści-że trzeciego talera.— Dawno służysz?

— Ho! ho! czterdzieście lat temu, jako mnie kniaź Wasil w jassyr wziął — i od tej pory służyłem mu wiernie, a gdy onej nocy odjeżdżał na przepadłe imie, to dziecko Konstantynu zostawił, a do mnie rzekł: Czechły! i ty nie odstąpisz dziewczyny i będziesz jej strzegł jak oka w głowie. Łacha ił Ałła!

— Tak też i czynisz?

— Tak też i czynię, i patrzę.

— Mów co widzisz? Jak tu kniaziównie?

— Źle tu myślą o niej, bo ją chcą oddać Bohunowi, któren jest pies potępiony.

— O! nie będzie z tego nic! znajdzie się komu za nią ująć!

— Tak! rzekł stary, potrząsając palące się głównie. Oni ją chcą dać Bohunowi, by ją wziął i poniósł jako wilk jagnię, a ich w Rozłogach zostawił — bo Rozłogi jej, nie ich — po kniaziu

Wasilu. On też Bohun to uczynić gotów, bo po komyszach więcej ma złota i srebra, niżeli piasku w Rozłogach — ale ona ma go w nienawiści od pory, jak przy niej człowieka czekaniem rozszczerpił. Krew padła między nich i nienawiść wyrosła. Bóg jest jeden!

Namiestnik tej nocy usnąć nie mógł. Chodził po izbie, patrzył w księżyc, i w myśli różne wazył postanowienia. Zrozumiał teraz grę Bułyhów. Gdyby kniaziównę szlachcic jakiś okoliczny pojął, toby się upomniął o Rozłogi i miałyby słusność, bo się jej należały; a może zażądałby jeszcze rachunków z opieki. Dla tej to przyczyny, i tak już skozaczeni Bułyhowie, postanowili dać dziewczynę kozakowi. O czem myśląc, pan Skrzetuski pięście ścisnął i miecza szukał wędle siebie. Postanowił też rozbić te machinacje i czuł się na siłach to uczynić. Przecie opieka nad Heleną należała i do księcia Jeremiego, raz że Rozłogi były puszczone od Wiśniowieckich staremu Wasilowi, powtóre, że sam Wasil z Baru pisał list do księcia, prosząc o opiekę. Tylko nawał spraw publicznych, wojny i wielkie przedsięwzięcia mogły sprawić, że wojewoda dotąd w opiekę nie wejrzał. Ale dość będzie słowem mu przypomnieć, a sprawiedliwość uczyni.

Szaro już robiło się na świecie, gdy pan Skrzetuski rzucił się na posłanie. Spał twardo i nazajutrz zbudził się z gotowem postanowieniem. Ubrali się tedy z panem Longinem spiesznie, ile że i wozy stały już w gotowości, a żołnierze pana Skrzetuskiego siedzieli na koniach gotowi do odjazdu. W gościnnej izbie poseł pokrzepiał się polewką w towarzystwie Kurcewiczów i starej kniahini; Bohuna tylko nie było; niewiadomo spał jeszcze, czy odjechał.

Posiliwszy się, Skrzetuski rzekł:

— Mościa pani! Tempus fugit, za chwilę na koń nam siadać trzeba, nim więc podziękujemy wdzięcznem sercem za gościnę, mam ja tu ważną sprawę, o którejbym chciał z jejmością panią i z ichmością jej synami kilka słów na osobności pomówić.

Na twarzy kniahini odmalowało się zdziwienie, spojrzała na synów, na posła i na pana Longina, jakby pragnąc z ich twarzy odgadnąć o co idzie, i z pewnym niepokojem w głosie rzekła:

— Służę waszmości.

Poseł chciał wstawać, ale mu nie dozwoliła, natomiast przeszli do owej sieni, pokrytej zbroją i orężem. Młodzi kniaziowie ustawili się

szeregiem za matką, która stanawszy naprzeciw Skrzetuskiego, spytała:

— O jakiejże sprawie Waćpan chcesz mówić?

Namiestnik utkwiał w niej wzrok bystry, surowy prawie i rzekł:

— Wybacz Jejmość i wy młodzi kniaziowie, że przeciw zwyczajowi postępując, zamiast przez zacnych posłów mówić, sam w sprawie mej rzecznikiem będę. Ale nie może być inaczej, a gdy z musen nikt walczyć nie zdoła, przeto bez dłuższego kunktatorstwa przedstawiam Jejmość pani i ichmościom, jako opiekunom, moją pokorną prośbę, byście mi księżniczkę Helenę za żonę oddać raczyli.

Gdyby w tej chwili, w czasie zimy, piorun runął na majdan w Rozłogach, mniejszeby sprawił wrażenie na kniahini i jej synach, jak owe słowa namiestnika. Przez chwilę spoglądali ze zdumieniem na mówiącego, który stał przed nimi wyprostowany, spokojny i dziwnie dumny, jakby nie prosić, ale rozkazywać zamierzał i nie umieli znaleźć słowa odpowiedzi — a natomiast kniahini pytać zaczęła:

— Jakto? waść? o Helenę?

— Ja, mościu pani — i to jest niewzruszony mój zamiar.

Nastała chwila milczenia.

— Czekam odpowiedzi Imość pani.

— Wybacz waćpan — odrzekła ochłonawszy kniahini, a głos jej stał się suchy i ostry — zaszczyt to dla nas nie mały prośba takiego kawalera, ale nie może z niej nic być, gdyż Helenę obiecałam już komu innemu.

— Zważ wszelako waćpani, jako troskliwa opiekunka, czy to nie było przeciw woli kniaziówny i czym nie lepszy niżli ten, komu ją waćpani obiecałaś.

— Mości panie! Kto lepszy mnie sądzić. Możesz być i najlepszy — wszystko nam jedno, bo cię nie znamy.

Na to namiestnik wyprostował się jeszcze dumniej, a spojrzenia jego stały się jako noże ostre, choć zimne.

— Ale ja was znam — zdrajcy! — huknął. — Chcecie krewniaczkę chłopu oddać, by was tylko w zagarniętej nieprawnie włości zostawił...

— Sam zdrajco! — krzyknęła kniahini. — Tak to za gościnę płacisz, taką to wdzięczność w sercu żywiesz? O zmijo! Coś za jeden? skądś się wziął?

Młodzi Kurcewicze poczęli w palce trzaskać i po ścianach za bronią się oglądać, namiestnik zaś wołał:

— Poganiel zagarnęliście włosć sierocą, ale nic z tego. Za dzień, książę już o tem wiedzieć będzie.

Usłyszawszy to kniahini, rzuciła się w tył izby i chwyciwszy rohatynę, szła z nią do namiestnika. Kniaziowie też porwawszy co który mógł, ten szablę, ten kiścień, ten nóż, otoczyli go półkolem, dysząc jak stado wilków wściekłych.

— Do księcia pójdziesz? wołała kniahini — a wieszli, czy żyw ztąd wyjdiesz? czy to nie ostatnia twoja godzina?

Skrzetuski skrzyżował ręce na piersiach i okiem nie mrugnął.

— Jako książęcy poseł z Krymu wracam — rzekł — niech tu jedną kroplę krwi uronię, a w trzy dni i popiołu z tego miejsca nie zostanie, wy zaś pognijecie w lochach łubniańskich. Jest-li na świecie moc, coby was uchronić zdołała? Nie groźcie, bo was się nie boję!

— Zginiemy, ale ty pierwszej zginiesz.

— Tedy uderzaj — oto pierś moja.

Kniaziowie z matką na czele, trzymali wciąż ostrza skierowane ku piersi namiestnika, ale rzekłbyś jakieś niewidzialne łańcuchy skrepywały im ręce. Sapiąc i zgrzytając zębami, szarpali się w bezsilnej wściekłości—wszelako nie uderzał żaden. Ubezwładniło ich straszliwe imię Wiśniowieckiego.

Namiestnik był panem położenia.

Bezsilny gniew kniahini wylał się tylko potokiem obelg:

— Przehéro! szaraku! hołyszu! kniaziowej krwi ci się zachciało—ale nie z tego! Każdemu oddamy, byle nie tobie, czego nam i sam książę nakazać nie jest w stanie.

Na to pan Skrzetuski:

— Nie pora mi się z mego szlachectwa wywodzić, ale tak myślę, że wasze księstwo mogłoby snadnie za niem mieczyk i tarczę nosić. Zresztą skoro chłop był wam dobry — to jam lepszy. Co do fortuny mojej i ta wejść może z waszą w paragon, a że mówicie, iż mnie Heleny nie dacie—toć słuchajcie co powiem: i ja ostawię was przy Rozłogach, rachunków z opieki nie żądając.

— Nie darowywuj tego, co nie twoje.

— Nie darowuję, jeno obietnicę na przyszłość daję i rycerskiem słowem ją poręczam. Tedy wybierajcie: albo rachunki księciu z opieki złożyć i z Rozłogów ustąpić, albo li mnie dziewczkę oddać, a włosć zatrzymać...

Rohatyna wysuwała się zwolna z rąk kniazihi. Po chwili upadła z brzękiem na podłogę.

— Wybierajcie, powtórzył pan Skrzetuski: aut pacem aut bellum!

— Szczęście to, rzekła już łagodniej Kurcewiczowa, że Bohun z sokoły pojechał, nie chcąc na waszmości patrzeć, bo on już wczora podejrzewał. Inaczej, nie byłoby tu bez krwi rozlania.

— Mościa pani, i ja szablę nie po to noszę, by mi pasa obciągała.

— Uważ jednak waszmość, czy to politycznie ze strony takiego kawalera, wszedłszy po dobremu w dom, tak na ludzi nastawać i dziewczkę impetem brać, tak właśnie jakby z niewoli tureckiej?

— Godzi się, gdy po niewoli miała być chłopu zaprzędana.

— Tego waść o Bohunie nie mów, bo on choć rodziców nieświadom, przecie wojownik jest zawołany i rycerz sławny, a nam od dziec-

ka znajomy, w domu jakoby krewny. Któremu zajedno, czyby mu tę dziewczkę odjąć, czyby go nożem pchnąć.

— Mościa pani, a mnie czas w drogę, wybaczcie więc, że raz jeszcze powtórzę: wybierajcie!

Kniahini zwróciła się do synów:

— A co synkowie mówicie na tak pokorną prośbę tego kawalera?

Bułyhowie spoglądali po sobie, trącali się łokciami i milczeli.

Nakoniec Symeon mruknął:

— Każesz bić maty, to będziem — każesz dać dziewczkę, to damy.

— Bić źle i dać źle.

Potem zwracając się do Skrzetuskiego:

— Przycisnąłeś nas wać tak do ściany, że choć łopnąć. Bohun jest człowiek szalony, gotów się ważyć na wszystko. Kto nas przed jego zemstą osłoni? Sam zginie od księcia, ale nas pierwej zgubi. Co nam począć?

— Wasza głowa.

Kniahini milczała przez chwilę:

— Słuchajże, mości kawalerze. Musi to wszystko w tajemnicy zostać. Bohuna wyprawiem do Perejasławia, sami z Heleną do Łu-

bniów zjedziem, a waść uprosisz księcia, by nam prezydyum do Rozłogów przysłał. Bohun ma w pobliżu półtorasta semenów, z których część tu jest. Nie możesz Heleny zaraz brać, bo ją odbije. Inaczej to nie może być. Jedź-że więc, nikomu sekretu nie powiadając i czekaj nas.

— Byście mnie zdradzili?

— Byśmy tylko mogli!—ale nie możemy, sam to widzisz. Daj słowo, że sekret do czasu utrzymasz!

— Daje—a wy dajecie dziewczkę?

— Bo nie możemy nie dać — choć nam Bohuna żal..

— Tfy! tfy! mości panowie, rzekł nagle namiestnik zwracając się do kniaziów — czterech was jak dębów i jednego kozaka się bojąc, zdradą go brać chcecie. Chociem wam winien dziękować, jednakże powiem: nie przystoi to zacnej szlachcie!

— Waść się w to nie mieszaj, zakrzyknęła kniahini. Nie twoja to rzecz. Co nam począc? Ilu waść masz żołnierzów na jego półtorasta semenów? Ośłonisz-że nas? ośłonisz-że samą Helenę, którą on gwałtem porwać gotów? To nie waścina rzecz. — Jedź-że sobie do Łu-

bniów, a co my poczniemy, to nam wiedzieć, byleśmy Helenę ci przywieźli.

— Czyńcie co chcecie: jedno wam tylko jeszcze powiem. Gdyby się tu krzywda kniaziównie działa—tedy biada wam!

— Nie poczynaj-że sobie tak z nami, byś nas do desperacyi nie przywiódł.

— Boście jej gwałt uczynić chcieli, a i teraz, sprzedając ją za Rozłogi, do głowy wam nie przyszło spytać: zali będzie jej po myśli moja persona?

— Zaczem pytamy jej wobec ciebie! rzekła kniahini, tłumiąc gniew, który na nowo poczynął wrzeć w jej piersi, czuła bowiem doskonale pogardę w słowach namiestnika. Symeon poszedł po Helenę i po chwili ukazał się wraz z nią w sieni.

Wśród tych gniewów i groźb, które zdawały się huczyć jeszcze w powietrzu, jak odgłosy przemijającej nawałnicy; wśród tych zmarszczonych brwi, srogich spojrzeń i surowych twarzy, jej śliczne oblicze zabłysło jakoby słońce po burzy.

— Mościa panno! rzekła ponuro kniahini—ukazując na Skrzetuskiego, jeśli masz wolę po temu, to to jest twój przyszły mąż.

Helena zbladła jak ściana, i krzyknąwszy, zakryła oczy rękoma, nagle wyciągnęła je ku Skrzetuskiemu.

— Prawda li to?—szeptała w upojeniu.

~~~~~  
W godzinę później, orszak posła i namiestnikowy posuwał się zwolna, leśnym gościńcem, w stronę Łubniów. Skrzetuski z panem Longinem Podbipiętą jechali na czele—za nimi wozy poselskie wyciągnęły się długim pasem. Namiestnik cały był pogrążony w zadumie i tęsknocie, gdy w tem z owej zadumy zbudziły go urwane słowa pieśni...

„Tużu, tużu, serce bołyt“...

W głębi lasu, na wąskiej wyjeźdźonej przez chłopów drożynie, ukazał się Bohun. Koń jego całkiem był pokryty pianą i błotem.

Widocznie kozak, wedle swego obyczaju, puścił się był na stepy i lasy, by się wiatrem spić, zgubić w dali i zapamiętać — i to co duszę bolało—przeboleć.

Teraz wracał właśnie do Rozłogów.

Patrząc na tę przepyszną, istic rycerską postać, która mignęła tylko i znikła, pan Skrzetuski mimowoli pomyślał sobie, a nawet mruknął pod nosem:

— Wszelako to szczęście, że on człowieka przy niej nie rozszczepił.

Nagle jakiś żal ścisnął mu serce. Żal mu było jakoby i Bohuna, ale więcej jeszcze tego, że związawszy się słowem kniahini, nie mógł, ot teraz, popędzić za nim konia i rzec:

— Kochamy jedną, więc jednemu z nas nie żyć na świecie. Dobądź kozacze szerpenty!



## ROZDZIAŁ V.

Przybywszy do Łubniów, nie zastał pan Skrzetuski w domu księcia, który był do pana Suffczyńskiego, dawniejszego swego dworzani-  
na, do Sieńczy na chrzciny pojechał, a z nim księżna, dwie panny Zbaraskie i wiele osób ze dworu. Dano tedy znać do Sieńczy i o powro-  
cie z Krymu namiestnika, i o przybyciu posta tymczasem znajomi i towarzysze witali rado-  
śnie, po długiej podróży Skrzetuskiego, a zwła-  
szcza pan Wołodyjowski, który po ostatnim pojedynku, był najbliższym naszemu namiestni-  
kowi przyjacielem. Odznaczał się ten kawaler-  
tem, iż ustawicznie był zakochany. Przeko-  
nawszy się o nieszczerości Anusi Borzobohatej,  
zwrócił był czułe serce ku Anieli Leńskiej,  
pannie również z fraucymeru, a gdy i ta, przed  
miesiącem właśnie, zaślubiła pana Staniszew-  
skiego, wówczas Wołodyjowski dla pociechy

jął wzdychać do starszej księżniczki Zbarskiej Anny, synowicy księcia Wiśniowieckiego.

Wszelako sam rozumiał, iż podniósłszy tak wysoko oczy, nie mógł choćby najmniejszą pokrzepiać się nadzieją, tembardziej, że i po księżniczkę zgłosili się już dziewosłbowie, pan Bodzyński i pan Lassota, w imieniu pana Przyjemskiego, wojewodzica Łęczyckiego. Opowiadał więc nieszczęsny Wołodyjowski te nowe strapienia naszemu namiestnikowi, wcielając go we wszystkie sprawy i tajemnice dworskie, których ten pół uchem słuchał, mając umysł i serce czem innem zajęte. Gdyby nie owe duszne niepokoje, które z miłością, choćby wzajemną, zawsze w parze chodzić zwykły, byłby się czuł pan Skrzetuski szczęśliwym, wróciwszy po długiej nieobecności do Łubniów, gdzie otoczyły go twarze życzliwe i ów gwar życia żołnierskiego, z którem od dawna był zżyły. Albowiem Łubnie, jakkolwiek jako zamczysta rezydencya pańska, mogły pod względem wspańiałości porównać się ze wszystkimi siedzibami „królewiał“, tem się wszelako od nich różniły, iż życie w nich było surowe, prawdziwie obozowe. Kto nie znał tamtejszych zwyczajów i ordynku, ten przyjechawszy, choćby

w porze najspokojniejszej, mógł sądzić, że się tam jaka wyprawa wojenna gotuje. Żołnierz przeważał tam nad dworzaninem, żelazo nad złotem, dźwięk trąb obozowych nad gwarem uczt i zabaw. Wszędy panował wzorowy ład i nieznana gdzieindziej dyscyplina; wszędy roiło się od rycerstwa z pod różnych chorągwi: pancernych, dragańskich, kozackich, tatarskich i wołoskich, pod któremi służyło nie tylko całe Zadnieprze, ale ochocza szlachta ze wszystkich okolic Rzplitej. Kto się chciał w prawdziwej rycerskiej szkole wyćwiczyć, ten ciągnął do Łubniów; nie brakło więc tam obok rusinów, ani mazurów, ani litwy, ani małopolan, ba nawet i prusaków. Piesze regimenta i artylerya, czyli tak zwany „lud ognisty“, złożony był przeważnie z wyborowych niemców, najętych za żołd wysoki — w draganach służyli głównie miejscowi — litwa w tatarskich chorągwiach, małopolanie garnęli się najchętniej pod znaki pancerne. Książę nie pozwalał też gnuśnieć i rycerstwu, dla tego w obozie panował ruch ustawiczny. Jedne pułki wychodziły na zmianę do stanic i polanek, drugie wchodziły do stolicy, — po całych dniach odbywały się musztry i ćwiczenia. Czasem też, chociaż i spo-

kojnie było od tatar, książę przedsiębrał dalekie wyprawy w głuche stepy i pustynie, by żołnierzy do pochodów przynaczyć, dotrzeć tam, gdzie nikt nie dotarł i roznieść sławę swego imienia. Tak zeszłej jesieni zapuścił się lewym brzegiem Dniepru do Kudaku, gdzie go pan Grodzicki trzymający prezydium, jak monarchę udzielnego przyjmował; potem pociągnął obok Porohów aż do Chortycy, i na uroczyszczu Kuczkasów kazał mogiłę wielką z kamieni usypać na pamiątkę i na znak, że tamtą stroną żaden jeszcze pan nie bywał tak daleko \*).

Pan Bogusław Maskiewicz, żołnierz dobry, choć młody, a zarazem człowiek uczony, który tę wyprawę, również jak i inne pochody książęce opisał, cuda o niej opowiadał Skrzetuskiemu, co pan Wołodyjowski zaraz potwierdzał, gdyż i on brał udział w wyprawie. Widzieli tedy Porohy i dziwili im się, a zwłaszcza strasznemu Nienasytowi, który rok rocznie, jak ongi Scylla i Charybda, po kilkadziesiąt ludzi pożerał. Potem puścili się na wschód, na spalone stepy, gdzie od niedogarków jazda postę-

---

\*) Są to słowa Maskiewicza, który mógł nie wiedzieć o bytności Samuela Zborowskiego na Siczy.

pować nie mogła i aż musieli koniom nogi skórami obwijać. Spotkali tam także mnóstwo gadzin, padalców i olbrzymie węże położy, na dziesięć łokci długie, a grube jak ramię męża. Po drodze na samotnych dębach ryli *pro aeternae rei memoria* herby książęce, nakoniec zaszli w tak głucho stepy, gdzie już i śladów człowieka nie było można dopatrzeć.

— Myślałem, mówił uczony pan Maskiewicz, że nam w końcu na wzór Ulisessa i do Chadu zstąpić przyjdzie.

Na to pan Wołodyjowski:

— Przysięgali też ludzie z pod chorągwi pana strażnika Zamoyskiego, która szła na przodku, jako już widzieli owe fines, na których orbis terrarum się kończy.

Namiestnik opowiadał wzajemnie towarzyszom o Krymie, gdzie prawie pół roku spędził, czekając na respons chana jegomości; o tamtejszych miastach, pozostałych z dawnych czasów, o tatarach i potędze ich wojennej, a nakoniec o postrachu, w jakim żyli, usłyszawszy o walnej na Krym wyprawie, w której wszystkie siły Rzeczypospolitej miały wziąć udział.

Tak gwarząc co wieczór, oczekiwali powrotu księcia—tymczasem namiestnik przedstawiał

co bliższym towarzyszom pana Longina Podbi-  
piętę, który jako człek słodki, odrazu pozyskał  
serca, a okazawszy przy próbach z mieczem  
olbrzymią swą siłę, powszechny sobie zjedny-  
wał szacunek. Opowiedział on już temu i owe-  
mu o przodku Stowejce i o ściętych trzech gło-  
wach, zamilczał tylko o swoim ślubie, nie chcąc  
się na żarty narażać. Szczególniej podobali  
się sobie z Wołodyjowskim, a to dla zobopól-  
nej serc czułości; po kilku też dniach chodzili  
razem wzdychać na wały, jeden do gwiazdki  
za wysoko świecącej, by ją mógł dostać, alias  
do księżniczki Anny; drugi do nieznanej, od  
której go trzy ślubowane głowy oddzielały.

Ciągnął nawet Wołodyjowski pana Longina  
do draganów, ale litwin postanowił sobie ko-  
niecznie zapisać się pod znak pancerny, by pod  
Skrzetuskim służyć, o którym z rozkoszą do-  
wiedział się w Łubniach, że wszyscy mają go  
za rycerza pierwszej wody i jednego z najlep-  
szych oficerów książęcych. A właśnie w cho-  
rągwi, w której pan Skrzetuski porucznikował,  
otwierał się wakans po panu Zakrzewskim,  
przezwiskiem „miserere mei“, który od dwóch  
tygodni obłożnie chorował i był bez nadziei  
zycia, bo mu się wszystkie rany od wilgoci po-

otwierały. Do trosk miłosnych namiestnika dołączył się jeszcze i smutek z grożącej straty starego towarzysza i doświadczonego przyjaciela; nie odstępował też po kilka godzin dziennie ani piędźią od jego wezgłowia, pocieszając go jak umiał i krzepiąc nadzieją, że jeszcze niejedną wyprawę razem odbędą.

Ale starzec nie potrzebował pociechy. Konał sobie wesoło na twardem łożu rycerskiem, obciągniętem końską skórą i z uśmiechem, prawie dziecinnym, spoglądał na krucyfiks zawieszony nad łożem. Skrzetuskiemu zaś odpowiadał:

— Miserere mei, mości poruczniku! już ja sobie idę po swoją łafę niebieską. Ciało na mnie takie od ran dziurawe, że o to się tylko boję, czy Święty Piotr, który jest marszałkiem bożym i ochędóstwa w niebie doglądać musi, puści mnie do raju w tak podziurawionej sukni. Ale mu powiem: Święty Pietruńku! zaklinam cię na ucho Malchusowe, nie czynźe mi wstrętu, boć to poganie tak mi popsowali szatki cielesne... miserere mei! a będzie jaka wyprawa Św. Michała na potencję piekielną, to się stary Zakrzewski przyda jeszcze.

Więc porucznik, choć jako żołnierz, tyle razy śmierć oglądał i sam ją zadawał, nie mógł leż wstrzymać słuchając tego starca, którego zgon do pogodnego zachodu słońca był podobny.

Aż jednego ranka zabrzmiały dzwony we wszystkich kościołach i cerkwiach łubniańskich, zwiastujące śmierć pana Zakrzewskiego. Tegoż dnia książę z Sieńczy przyjechał, a z nim panowie Bodzyński i Lassota, oraz cały dwór i dużo szlachty w kilkudziesięciu kolaskach, bo zjazd u pana Suffczyńskiego był niezmierny. Książę wyprawił wspaniały pogrzeb, chcąc uczcić zasługi zmarłego i okazać, jak się w ludziach rycerskich kocha. Assystowały więc w pochodzie żałobnym wszystkie regimenty stojące w Łubniach, na wałach bito z hako-wnic i rusznic. Kawalerya szła od zamku aż do kościoła farnego w mieście bojowym ordynkiem, ale ze zwiniętymi banderyami; za nią piesze regimenta z kolbami do góry. Sam książę przybrany w żałobę, jechał za trumną w pozłocistej karecie, zaprzężonej w ośm białych jak mleko koni, mających grzywy i ogony po-farbowane na ponsowo i kiście strusich piór czarnej barwy na głowach. Przed kolaską postępował oddział janczarów, stanowiących przy-

boczną straż książęcą, tuż za kolaską paziowie przybrani z hiszpańska na dzielnych koniach, dalej wysocy urzędnicy dworscy, dworzanie rękodajni, pokojowcy, nakoniec hajducy i pajucy. Kondukt zatrzymał się naprzód u drzwi kościoła, gdzie ksiądz Jaskólski powitał trumnę mową poczynającą się od słów: „Gdzie tak śpieszysz, mości Zakrzewski?“ Potem przemawiało jeszcze kilku z towarzystwa, a między nimi i pan Skrzetuski, jako zwierzchnik i przyjaciel zmarłego. Następnie wniesiono ciało do kościoła i tu dopiero zabrał głos najwymowniejszy z wymownych: ksiądz jezuita Muchowiecki, który mówił tak górnio i ozdobnie, że sam książę zapłakał. Był to bowiem pan nadzwyczaj tkliwego serca i dla żołnierzów ojciec prawdziwy. Dyscypliny przestrzegał żelaznej, ale pod względem hojności, łaskawego traktowania ludzi i opieki, jaką otaczał nie tylko ich samych, ale ich dzieci i żony, nikt się z nim nie mógł porównać. Dla buntów straszny i niemiłosierny, był jednak prawdziwym dobrodziejem nie tylko szlachty, ale i całego swego ludu. Gdy w czterdziestym szóstym roku szarańcza zniszczyła plony, to czynszownikom za cały rok czynsz odpuścił, poddanym

kazał wydawać zboże ze śpichlerzów—a po pożarze w Chorolu wszystkich mieszczan przez dwa miesiące swoim kosztem żywił. Dzierżawcy i podstarościowie w ekonomjach drżeli, by do uszu księcia wieść o jakowych nadużyciach lub krzywdach ludowi czynionych nie doszła. Sierotom taka była opieka zapewniona, że przeżywano je na Zadnieprzu „książęcemi detynami“. Czuwała nad tem sama księżna Gryzelda, przy pomocy ojca Muchowieckiego. Ład tedy panował we wszystkich ziemiach książęcych, dostatek, sprawiedliwość, spokój, ale i strach, bo w razie najmniejszego oporu nie znał książę miary w gniewie i karaniu, tak w jego naturze łączyła się wspaniałomyślność ze srogością. Ale w owych czasach i w owych krainach, tylko ta srogość pozwalała się krzewić i plenić ludzkiemu życiu i pracy, jej tylko dzięki powstawały miasta i wsie, rolnik wziął górę nad hajdamaką, kupiec spokojnie towar swój prowadził, dzwony spokojnie wzywały wiernych na modlitwę, wróg nie śmiał granicy przestąpić, kupy łotrów ginęły na palach, lub zmieniały się w rządnych żołnierzy, a kraj pustyнный rozkwitał.

Dzikiej krainie i dzikim mieszkańcom takiej potrzeba było ręki, na Zadnieprze bowiem szły najniespokojniejsze z Ukrainy żywioły, ciągnęli osadnicy nęceni rolą i żyznością ziemi, zbiegli chłopci ze wszystkich ziem Rzeczypospolitej, przestępcy uciekający z więzień, słowem, jakoby rzekł Livius: „*pastorum convenarumque plebs transfuga ex suis populis*“. Utrzymać ich w ryzie, zmienić w spokojnych osadników i wtłoczyć w karby osiadłego życia, mógł tylko taki lew, na którego ryk drżało wszystko.

Pan Longinus Podbipięta pierwszy raz w życiu księcia na pogrzebie ujrzawszy, własnym oczom uwierzyć nie mógł. Słyszając bowiem tyle o sławie jego, wyobrażał sobie, że musi to być jakiś olbrzym o głowę rodzaj ludzki przewyższający, a tymczasem książę był wzrostu prawie małego i dość szczupły. Młody był jeszcze, liczył dopiero trzydziesty szósty rok życia, ale na twarzy jego widne już były trudy wojenne. O ile bowiem w Łubniach żył jak król prawdziwy, o tyle w czasie licznych wypraw i pochodów dzielił niewczasy prostego towarzysza, jadał czarny chleb i sypiał na ziemi na wojułoku, a że większa część życia schodziła mu na pracach obozowych — więc odbiły

się one na jego twarzy. Wszelako oblicze to na pierwszy rzut oka zdradzało nadzwyczajnego człowieka. Malowała się w niem żelazna, nieugięta wola i majestat, przed którym każdy mimowoli musiał uchylić głowy. Widać było, że ten człowiek zna swoją potęgę i wielkość— i gdyby mu jutro włożyć koronę na głowę, nie czułby się ani zdziwionym, ani przygniecionym jej ciężarem. Oczy miał duże, spokojne, prawie słodkie, jednakże gromy zdawały się być w nich uśpione, i czuleś, że biada temu, ktoby je rozbudził. Nikt też znieść nie mógł spokojnego blasku tego spojrzenia i widywano posłów, wytrawnych dworaków, którzy stanąwszy przed Jeremim, mieszały się i nie umieli zacząć dyskursu. Było zresztą na swoim Zanieprzu król prawdziwy. Z kancelaryi jego wychodziły przywileje i nadania: „My po bożej myłosti kniaź i hospodyn etc.“ Nie wielu też i panów za równych sobie poczytywał. Kniaziowie z krwi dawnych władców bywali u niego marszałkami. Takim był w swoim czasie i ojciec Heleny, Wasil Bułyha Kurcewicz, któren to ród przecie, jak się wyżej wspomniało, wyprowadzał się od Koryata, a w samej rzeczy od Rurykowiczów pochodził.

Było w księciu Jeremim coś, co mimo wrodzonej mu łaskawości, trzymało ludzi w oddaleniu. Kochając żołnierzków, on sam poufalił się z niemi—z nim nikt nie śmiał się poufalić. A jednakże rycerstwo, gdyby mu kazał konno w przepaście dniewprowe skoczyć, uczyniłoby to bez wahania.

Po matce wołoszce odziedziczył on cerę białą, tą białością rozpalonego żelaza, od której żar bije i czarny jak skrzydło kruka włos, który na całej głowie podgolony, z przodu tylko spadał bujniej i obcięty nad brwiami, zasłaniał mu połowę czoła. — Nosił się po polsku, o ubior nie zbyt dbał i tylko na wielkie uroczystości nakładał szaty kosztowne, ale wówczas świecił cały od złota i kamieni. Pan Longin w kilka dni później był obecny na takiej uroczystości, gdy książę dawał posłuchanie p. Rozwanowi Ursu. Audyencye posłów odbywały się zawsze w sali tak zwanej niebieskiej, gdyż na jej suficie firmament niebieski wraz z gwiazdami, pendzlem gdańszczanina Helma był wyobrażony. Zasiadał tedy książę pod baldachimem z aksamitu i gronostajów, na wyniosłym krześle, do tronu podobnym, którego podnózek był blachą pozłocistą obity, za księciem zaś stał ksiądz Mucho-

wiecki, sekretarz, marszałek kniaź Woronicz, pan Bogusław Maskiewicz, dalej paziowie i dwunastu trabantów z halabardami, przybranych po hiszpańsku; głębokie sali przepełnione były rycerstwem w świetnych strojach i ubiorach. Pan Rozwan prosił w imieniu hospodara, by książę swym wpływem i grozą imienia wyrobił u Chana zakaz татарom budziackim wpadania do Wołoszczyzny, w której corocznie straszliwe szkody i spustoszenia czynili, na co książę odpowiedział piękną łaciną, że Budziaccy nie bardzo samemu Chanowi byli posłuszni, że jednakże, gdy na kwiecień spodziewa się Czausa murzy, posła chanowego u siebie, będzie przez niego upominał się u chana o krzywdy wołoskie. Pan Skrzetuski poprzednio już zdał relację ze swego poselstwa i podróży, oraz ze wszystkiego, co słyszał o Chmielnickim i jego na Sicz ucieczce. Książę postanowił posunąć kilka pułków ku Kudakowi, ale nie przywiązywał wielkiej do tej sprawy wagi. Tak więc, gdy nie zdawało się zagrażać spokojowi i potędze zadnieprskiego państwa, rozpoczęły się w Łubniach uroczystości i zabawy, tak z powodu bytności posła Rozwana, jak i dla tego, że panowie Bodzyński i Lassota oświadczyli się wreszcie uroczy-

ście, w imieniu wojewodzica Przyjemskiego, o rękę starszej księżniczki Anny, na którą prośbę otrzymali i od księcia i od księżnej Gryzeldy odpowiedź pomyślną.

Jeden tylko mały Wołodyjowski cierpiał nad tem niemało, a gdy Skrzetuski próbował wlać mu otuchę w serce, odpowiadał:

— Dobrze tobie, bo gdy jeno zechcesz, Anusia Borzobohata cię nie minie. Już tu ona o tobie bardzo wdzięcznie przez cały czas wspominała; rozumiałem z początku, iż w tej myśli, by zazdrość w Bychowcu *excitare*, ale widzę, że chciała go na hak przywieść i chyba dla ciebie jednego czulszy w sercu żywi sentyment.

— Co tam Anusia! Wróćże sobie do niej — *non prohibeo*. Ale o księżniczce Annie przestań myśleć, gdyż to jest to samo, jakbyś chciał feniksa czapką na gnieździe przykryć.

— Wiem ci to, że ona jest feniksem i dla tego z żalu po niej pewnie umrzeć mi przyjdzie.

— Żyw będziesz i wraz się zakochasz — byle jeno nie w księżniczce Barbarze, bo ci ją drugi wojewodzie z przed nosa sprzątnie.

— Zali serce jest pachółkiem, któremu rozkazać można? zali oczom zabronisz patrzeć na tak cudną istotę, jak księżniczka Barbara, której widok dzikie nawet bestye poruszyć byłby zdolny?

— Masz dyable kubrak!—wykrzyknął pan Skrzetuski. Widzę, że się bez mojej pomocy pocieszysz, aleć to powtarzam: wróć do Anusi, bo z mojej strony żadnych impedimentów mieć nie będziesz.

Anusia jednak ani myślała rzeczywiście o Wołodyjowskim. Natomiast drażniła ją, zaciekawiała i gniewała obojętność pana Skrzetuskiego, który wróciwszy po tak długiej nieobecności, prawie na nią nie spojrział. Wieczorami tedy, gdy książę z co przedniejszemi oficerami i dworzany przychodził do bawialnej komnaty księżnej, by zabawić się rozmową, Anusia wyglądając z za pleców swej pani (bo księżna była wysoka a Anusia niska) świdrowała swemi czarnemi oczkami w twarzy namiestnika, chcąc mieć rozwiązanie tej zagadki. Ale oczy Skrzetuskiego, również jak myśl, błądziły gdzieindziej—a gdy wzrok jego padał na dziewczynę, to taki zamysłony i szklanny,

jak gdyby nie na tę patrzył, do której śpiewał niegdyś:

„Jak tatarska orda,  
„Bierzesz w jassy cordal...

— Co mu się stało?—pytała sama siebie rozpieszczona faworytka całego dworu i tupiąc drobną nóżką, czyniła postanowienie rzecz tę zbadać. Nie kochała się ona wprowadzić w Skrzetuskim, ale przyzwyczajwszy się do hołdów, nie mogła znieść, by na nią nie zważano i gotowa była ze złości sama się rozkochać w zuchwalcu.

Razu tedy jednego, biegnąc z motkami dla księżnej, spotkała pana Skrzetuskiego, wychodzącego z przyległej sypialnej komnaty księżnej. Naleciała na niego jak burza, prawie go potrąciła piersią i cofnąwszy się nagle, rzekła:

— Ach! jakem się przestraszyła! Dzień dobry waćpanu!

— Dzień dobry pannie Annie! Czyliż takowe monstrum ze mnie, bym aż miał pannę Annę przestraszać?

Dziewczyna stała ze spuszczonei oczkami, kręcąc w palcach końce warkoczów, przestę-

pując z nóżki na nóżkę i niby zmieszana, odpowiedziała z uśmiechem:

— E nie! to, to nie... wcale nie... jak matkę kocham!

Nagle spojrzała na porucznika i znów zaraz spuściła oczy.

— Czy się waćpan gniewasz na mnie?

— Ja? Alboż panna Anna dba o mój gniew?

— Co prawda, to nie. Miałabym też o co dbać. Może waćpan myślisz, że zaraz będę płakać. Pan Bychowiec grzeczniejszy...

— Jeśli tak, to nie pozostaje mnie nic innego, jak, ustąpiwszy pola panu Bychowcowi, zejść z oczu panny Anny.

— A czy ja trzymam?

To rzekłszy, Anusia zastąpiła mu drogę.

— To waćpan z Krymu powraca?—spytała.

— Z Krymu.

— A co waćpan z Krymu przywiózł?

— Przywiozłem pana Podbipiętę. Wszakże go panna Anna już widziała? Bardzo to miły i stateczny kawaler.

— Pewnie, że miłszy od waćpana. A po co on tu przyjechał?

— By panna Anna miała na kim swojej mocy poprobować. Aleć radzę ostro się brać,

bo wiem jeden sekret o tym kawalerze, dla którego jest on niewyciężony... i nawet panna Anna z nim nic nie wskóra.

— Dla czegoż to on jest niewyciężony?

— Bo się nie może żenić.

— A co mnie to obchodzi! Czemuż to on nie może się żenić?

Skrzetuski pochylił się do ucha dziewczyny, ale rzekł bardzo głośno i dobitnie:

— Bo czystość ślubował.

— Nie mądryś waćpan!—zawołała prędko Anusia i w tejże chwili furknęła jak ptak spłoszony.

Tego wieczora jednak popatrzyła pierwszy raz uważniej na pana Longina. Gości dnia tego było niemało, bo ksiązę wyprawiał pożegnalną ucztę dla pana Bodzyńskiego. Nasz litwin przybrany starannie w biały atlasowy żupan i ciemno-niebieski aksamitny kontusz, wyglądał bardzo okazale, tembardziej, że przy boku zamiast katowskiego zerwikaptura, zwieszała mu się lekka, krzywa szabla, w pozłocistej pochwie.

Oczka Anusi strzelały na pana Longina po trochu umyślnie, na złość panu Skrzetuskiemu. Byłby tego jednakże namiestnik nie za-

uważył, gdyby nie Wołodyjowski, który trąciwszy go łokciem, rzekł:

— Niechże mnie jassyr spotka, jeśli Anusia nie wdzięczy się do tej chmielowej tyczki litewskiej.

— Powiedz-że to jemu samemu.

— Pewnie, że powiem. Dobrana będzie z nich para.

— Będzie ją mógł nosić zamiast spinki u żupana, taka właśnie jest między niemi porcja.

— Albo zamiast kitki na czapce.

Wołodyjowski podszedł do litwina:

— Mospanie, rzekł, niedawno jakeś tu przybył, ale frant widzę z waści nie lada.

— A to czemu, brateńku dobrodzieju? a to czemu?

— Boś nam tu najgładszą dziewczkę z frau-cymeru już zbałamucił.

— Dobrodzieju! rzekł Podbipięta składając ręce—co waćpan mówisz najlepszego?

— Spójrzyj waszmość na pannę Annę Borzobohatą, w której się tu wszyscy kochamy, jak to ona na waści dziś oczkiem strzyże. Pilnuj się jeno, żeby z waści dudka nie wystrzygła, jako z nas powystrzygała.

To rzekłszy Wołodyjowski, zakręcił się na pięcie i odszedł, pozostawiając pana Longina w zdumieniu. Nieśmiało on nawet zrazu spojrzeć w stronę Anusi i po niejakiem dopiero czasie rzucił znieścacka okiem—ale aż zadrżał. Z poza ramienia księżnej Gryzeldy, dwoje jarzących ślepków patrzyło na niego istotnie z ciekawością i uporem. „Apaga satanas!” pomyślał litwin i oblawszy się jak żaczek rumieńcem, uciekł w drugi kąt sali.

Jednakże pokusa była ciężka. Ten szatanek wyglądający z za pleców księżnej tyle miał ponęt, te oczki tak świeciły jasno, że pana Longina aż ciągnęło coś, by w nie choć jeszcze raz tylko spojrzeć. Ale w tem wspomniął na swój ślub, w oczach stanął mu Zerwikaptur, przodek Stowejko-Podbipięta, trzy ścięte głowy i strach go zdjął. Przeżegnał się i tego wieczora nie spojrział więcej.

Natomiast rankiem nazajutrz przyszedł na kwaterę Skrzetuskiego.

— Panie namiestniku, a prędko pociągniemy! Co też tam waszmość słyszał o wojnie?

— Przypiliło waści. Bądź-że cierpliwy, póki się pod znak nie zaciągniesz.

Pan Podbipięta bowiem nie był jeszcze zapisany na miejsce zmarłego Zakrzewskiego. Musiał czekać z tem aż ćwierć wyjdzie, co miało nastąpić dopiero pierwszego kwietnia.

Ale było mu rzeczywiście pilno, dla tego pytał namiestnika w dalszym ciągu:

— A nic-że J. O. Książę w tej materji nie mówił?

— Nic. Król pono do śmierci nie przestanie o wojnie myśleć, ale Rzplita jej nie chce.

— A mówili w Czehrynie, że rebelia kozacka zagraża?

— Znać, że waści mocno ślub dolega. Co do rebelii, wiedz-że, iż jej przed wiosną nie będzie, bo choć to zima lekka, aleć zima zimą. Mamy dopiero 15 Februarii, lada dzień mrozy jeszcze mogą nastać, a kozak w pole nie rusza, póki się nie może okopać, bo oni za wałem biją się okrutnie, w polu zaś nie umieją dotrzymać.

— Tak i trzeba czekać nawet na kozaków?

— Zważ waćpan i to, że choćbyś w czasie rebelii swoje trzy głowy znalazł—to nie wiadomo, czy od ślubu wolnym będziesz, boć co innego krzyżacy lub turcy, a co innego swoi—jakoby rzec, dzieci ejusdem matris.

— O wielki Boże! O toś mi waćpan sęka w głowę zadał. Ot desperacya! Niechże mnie ksiądz Muchowiecki te wątpliwości rozstrzygnie, bo inaczej nie będę miał i chwili spokoju.

— Pewnie, że rozstrzygnie, gdyż jest człek uczony i pobożny, ale pewnie nie powie nic innego. *Bellum civile*, to wojna braci.

— A gdyby rebelizantom obca potęga na pomoc przysła?

— Tedy miałbyś pole. Ale teraz jedno mogę waści zalecić: czekaj i bądź cierpliwy.

Jednakże pan Skrzetuśki sam nie umiał pójść za tą radą. Ogarniała go tęskność coraz większa, nudziły go uroczystości dworskie i te twarze, na które dawniej tak mile spoglądał. Panowie Bodzyński, Lassota i pan Rozwan Ursu wyjechali wreszcie, a po ich wyjeździe nastał spokój głęboki. Życie zaczęło płynąć jednostajnie. Książę zajęty był lustracyami dóbr ogromnych i co rano zamykał się z komisarzami, nadjeżdżającymi z całej Rusi i z Sandomierskiego — więc nawet i ćwiczenia wojskowe rzadko tylko mogły się odbywać. Gwarne uczty oficerskie, na których rozprawiano o przyszłych wojnach, nużyły niewymownie Skrzetuskiego, więc z guldynką na ra-

mieniu uciekał nad Sołonicę, gdzie ongi Żółkiewski tak strasznie Nalewajkę, Łobodę i Krępskiego pogromił. Ślady owej bitwy już się były zatarły i w pamięci ludzkiej, i na polowisku. Czasem tylko jeszcze ziemia wyrzucała z łona zbielełe kości, i za wodą sterczał nasyp kozacki, z poza którego bronili się tak rozpaczliwie zaporożcy Łobody i nalewajkowa wolnica. Ale już i na nasypie puścił się gęsto gaj zarośli. Tam to Skrzetuski chronił się przed gwarem dworskim, i zamiast strzelać do ptaków, rozpamiętywał; tam to przed oczyma jego duszy stawała przywoływana pamięcią i sercem postać kochanej dziewczyny; tam wśród mgły, szumu oczeretów i melancholii owych miejsc, doznawał ulgi we własnej tęsknocie.

Ale później jęły padać obfite, zapowiadające wiosnę, deszcze. Sołonica zamieniła się w topielisko, głowy z pod dachu trudno było wychylić, więc namiestnik i tej pociechy, jaką znajdował w błakaniu się samotnem, został pozbawiony. A tymczasem wzrastał jego niepokój—i słusznie. Miał on z początku nadzieję, że Kurcewiczowa z Heleną, jeśli tylko kniaźni potrafi wyprawić Bohuna, zjadą zaraz do

Łubniów, a teraz i ta nadzieja zgasła. Słota zepsuła drogi, step na kilka mil, po obu brzegach Suły, stał się ogromnem bagniskiem, na przebycie którego trzeba było czekać, póki wiosenne gorące słońce nie wyssie zbytku wód i wilgoci. Przez cały ten czas Helena miała pozostawać pod opieką, której Skrzetuski nie ufał, w prawdziwym wilczem gnieździe, wśród ludzi nieokrzesanych, dzikich, a Skrzetuskiemu niechętnych. Wprawdzie dla własnego dobra powinni mu byli słowa dotrzymać — i prawie nie mieli innej drogi — ale któż mógł odgadnąć, co wymyślą, na co się odważą, zwłaszcza gdy ciążył nad nimi straszliwy watażka, którego widocznie i kochali, i bali się jednocześnie. Łatwoby mu przyszło i zmusić ich do oddania mu dziewczyny, bo nierzadkie były i podobne wypadki. Tak samo swego czasu towarzysz nieszczęsnego Nalewajki, Łoboda, zmusił p. Poplińską, by mu oddała za żonę swą wychowankę, choć dziewczyna była szlachcianką dobrego rodu i chociaż z całej duszy nienawidziła watażki. A jeśli było prawdą, co mówiono o niezmiernych bogactwach Bohuna, to przecie mógł im i dziewczynę i utratę Rozłogów zapłacić. A potem co? Potem — myślał p. Skrze-

tuski—doniosą mi szyderczo, że jest „po harapie“, a sami umkną gdzieś w puszcze litewskie lub mazowieckie, gdzie ich nawet książęca potężna ręka nie dosięgnie. Pan Skrzetuski trząsał się jak w febrze na tę myśl, targał się jak wilk na łańcuchu, żałował swego rycerskiego słowa danego kniahini—i nie wiedział, co ma począć. A był to człowiek, który nierad pozwalał się ciągnąć za brodę wypadkom. W jego naturze leżała wielka przedsiębiorczość i energia. Nie czekał on na to, co mu los zdarzy; wołał los brać za kark i zmuszać, by zdarzał fortunnie—dlatego trudniej mu było, niż komu innemu, siedzieć z założonemi rękoma w Łubniach.

Postanowił więc działać. Miał on pacholika Rzędziana, szlacheica chodackowego z Podlasia, lat szesnastu, ale franta kutego na cztery nogi, z którym niejednen stary wyga nie mógł iść o lepsze, i tego postanowił wysłać do Heleny, oraz na przeszpiegi. Skończył się też już był luty; deszcze przestały lać, marzec zapowiadał się dość pogodnie, i drogi musiały się nieco poprawić. Wybierał się więc Rzędzian w drogę. P. Skrzetuski zaopatrzył go w list, papier, pióra i flaszkę inkaustu,

której kazał mu jak oka w głowie pilnować, bo pamiętał, że tych rzeczy niemasz w Rozłogach. Miał także chłopak polecone, by nie powiadał od kogo jest, by udawał, że do Czehryna jedzie i pilne na wszystko zwracał oko, a zwłaszcza wywiedział się dobrze o Bohunie, gdzie jest i co porabia. Rzędzian nie dał sobie dwa razy instrukcyi powtarzać, czapkę na bakier nasunął, nahajem świsnął i pojechał.

Dla pana Skrzetuskiego rozpoczęły się ciężkie dni oczekiwania, Dla zabicia czasu ścinał się w palcaty z panem Wołodyjowskim, wielkim mistrzem w tej sztuce, lub dzirytem do pierścienia rzucał. Zdarzył się też w Łubniach wypadek, którego namiestnik o mało zdrowiem nie przypłacił. Pewnego dnia niedźwiedź zerwawszy się z łańcucha, na podwórzu zamkowym poszczerbił dwóch masztalerzy, popłoszył konie pana Chlebowskiego i nakoniec rzucił się na namiestnika, któren szedł właśnie z cekhauzu do księcia, bez szabli przy boku, mając w ręku tylko lekki nadziak z mosieżną główką. Namiestnik byłby zginął niezawodnie, gdyby nie pan Longin, który ujrawszy z cekhauzu co się dzieje, porwał za swój Zerwikaptur i przybiegł na ratunek. Pan

Longin okazał się w zupełności godnym potomkiem przodka Stowejki, gdyż w oczach całego dworu powalił jednym zamachem łeb niedźwiedziowi wraz z łapą, któren to dowód nadzwyczajnej siły podziwiał z okna sam książę, i wprowadził następnie pana Longina do pokojów księżnej, gdzie Anusia Borzobohata tak wabiła go oczkiem, że nazajutrz musiał iść do spowiedzi i następnie przez trzy dni nie pokazywał się w zamku, póki żarliwą modlitwą wszelkich pokus nie odpędził.

Tymczasem upłynęło dni dziesięć, a Rzędziana nie było widać z powrotem. Nasz pan Jan schudł z oczekiwania i tak wymizerniał, że aż Anusia poczęła się wypytywać przez posły, co mu jest—a Petrucelli, doktor książęcy, zapisał mu jakąś dryakiew na melancholię. Ale innej on dryakwi potrzebował, gdyż dniem i nocą o swojej kniaziównie rozmyślał—i czuł coraz mocniej, że to nie żadne płóche uczucie zagnieździło się w jego sercu, ale miłość wielka, która musi być zaspokojona, bo inaczej pierś ludzką, jak słabe naczynie, rozsadzić gotowa.

Łatwo więc sobie wyobrazić radość pana Jana, gdy pewnego dnia o świcie wszedł do

jego kwatery Rzędzian zabłocony, zmęczony, wymizerowany, ale wesół i z dobrą wieścią, wypisaną na czole. Namiestnik, jak się zerwał wprost z łoża, tak przybiegłszy do niego, chwycił go za ramiona i zakrzyknął:

— Listy masz?

— Mam panie. Oto są.

Namiestnik porwał i zaczął czytać. Długo czas wątpił, czy mu nawet w razie najpomyślniejszym Rzędzian list przywiezie, gdyż nie był pewny, czy Helena pisać umie. Kresowe niewiasty nie bywały uczone, a Helena chowała się do tego między prostytutkami. Jednakże, widocznie ojciec nauczył ją jeszcze tej sztuki, gdyż skreśliła długi list na cztery strony papieru. Biedaczka nie umiała wprawdzie wyrażać się ozdobnie, retorycznie, ale wprost od serca pisała co następuje:

— „Już ja waćpana nigdy nie zapomnę, waćpan mnie przedzej, bo słyszę, że są i płosi między wami. Ale gdyś pacholika umyślnie tyle mił drogi przystał, to widać, że ci miła, jak i ty mnie, za co sercem wdzięcznem dziękuję. Nie myśl też waćpan, aby to nie było przeciw skromności mojej,

*tak ci o tem kochaniu pisać, ale snać lepiej już prawdę powiedzieć, niż zelgać, albo ją ukrywać, gdy zgoła co innego jest w sercu. Wypytywałam też Imię Rzędziana co w Łubniach porabiasz i jakie są wielkiego dworu obyczaje, a gdy mnie o urodzie i gładkości tamtejszych panien powiadał, prawie że łzami od wielkiego smutku się zalałam...”*

Tu namiestnik przerwał czytanie i spytał Rzędziana:

— Coś ty tam kpie powiadał?

— Wszystko dobrze, panie! — odpowiedział Rzędzian.

Namiestnik czytał dalej:

*„...Bo jakże mnie prosiłacze porównywać się z niemi. Ale powiedział mi pachotek, iż waćpan na żadną i patrzeć nie chcesz...”*

— Toś dobrze powiedział! — rzekł namiestnik.

Rzędzian nie wiedział wprawdzie o co idzie, bo namiestnik czytał list po cichu, ale zrobił mądrą minę i chrząknął znacząco, Skrzetuski zaś czytał dalej:

*„...I zaraz pocieszyłam się, prosząc Boga, by cię nadał w takowej dla mnie życzliwości utrzymał i obojgu nam błogosławił—amen. Jużem się też tak za waćpanem stęskniła, jako właśnie za matką, bo mnie sierocie smutno na świecie, ale nie przy waćpanu... Bóg patrzy na moje serce, że jest czyste, a co innego jest prostactwo, które mnie wybaczyć musisz“...*

W dalszym ciągu donosiła śliczna kniaziówna, że do Łubniów ze stryjenką wyjadą, jak tylko drogi będą lepsze, i że sama kniahini chce wyjazd przyspieszyć, gdyż z Czehryna dochodzą wieści o jakichś niespokojnościach kozackich, czeka więc tylko na powrót młodych kniaziów, którzy do Bogusławia, na jarmark koński, pojechali.

*„Prawdziwy z waćpana czarownik—pisała dalej Helena—żeś sobie i stryjnę zjednać umiał.“*

Tu namiestnik uśmiechnął się, przypomniał sobie bowiem, jakimi to sposoby musiał tę stryjnę zjednywać. List kończył się zapewnieniami stałej, a pocziwej miłości, jaką właśnie przyszła żona mężowi winna. Wogóle

zaś przeglądało z niego istotnie serce czyste, dlatego też namiestnik odczytywał ten list serdeczny po kilkanaście razy od początku do końca, powtarzając sobie w duszy: „moja wdzięczna dziewczko! niechże mnie Bóg opuści, jeśli cię kiedy zaniecham.“

Potem zaś począł wypytywać o wszystko Rzędziana.

Sprytny pacholek zdał mu dokładnie sprawę z całej podróży. Przyjęto go uczciwie. Stara kniahini wybadywała go o namiestnika, a dowiedziawszy się, że był rycerzem znakomitym i księcia poufnym, a przytem człowiekiem zamożnym, rada była.

— Pytała mnie też,—rzekł Rzędzian,—czy jegomość, jak co obiecnie, zawsze słowo zdzierży, a ja jej na to: Moja mościa pani! gdyby ten wołoszynek, na którym przyjechałem, był mnie obiecany, wiedziałbym, że już mnie nie minie...

— Frant z ciebie—rzecze namiestnik—ale kiedyś tak za mnie zaręczył, to go już trzymaj. Nie symulowałeś tedy nic, powiedziałaś, że ja cię przysłałem?

— Powiedziałem, bom obaczył, że można, i zaraz jeszcze wdzięczniej mnie przyjęli,

a szczególnie panna, która jest tak cudna, jak drugiej na świecie nie znaleźć. A dowiedziawszy się, że od jegomości jadę, już też nie wiedziała gdzie mnie posadzić i gdyby nie post, opływałbym we wszystko, jako w niebie. Czytając list jegomości, łzami go oblewała od radości.

Namiestnik zamilkł również od radości i po chwili dopiero, spytał znowu:

— A o onym Bohunie niceś się nie dowiedział?

— Nie zdawało mi się panny albo pani o to pytać, alem wszedł w konfidencję ze starym tatem Czechły, któren choć poganin, jest wiernym panienki sługą. Ten mnie powiadał, że z początku mruczeli oni wszyscy na jegomości bardzo, ale potem się ustatkowali, a to gdy stało im się wiadomo, iż co prawią o skarbach tego Bohuna, to bajka.

— Jakim-że sposobem o tem się przekonali?

— A to, widzi jegomość, było tak: Mieli oni dyferencję z Siwińskimi, którą potem obowiązali się spłacić. Jak przyszedł termin, tak do Bohuna: Pożycz! A on na to: Dobra tureckiego, powiada, trochę mam, ale skarbów żadnych, bo com miał, tom, powiada, rozrzucił.

Jak to usłyszeli, zaraz im był tańszy — i do jegomości afekt zwrócili.

— Niema co mówić, dobrześ się o wszystkim wywiedział.

— Mój jegomość, gdybym ja się jednego wywiedział, a drugiego nie, tedyby jegomość mógł do mnie rzec: konia mi darowałeś a terlicyś nie dał. Coby jegomości było po koniu bez terlicy?

— No, no! to weź-że i terlicę.

— Dziękuję pokornie jegomości. Oni też Bohuna do Perejaśławia zaraz wyprawili, więc jakem się o tem dowiedział, tak sobie myślę: czemubym i ja nie miał do Perejaśławia dotrzeć. Będzie ze mnie pan kontent, to mnie barwa prędzej dojdzie...

— Dojdzie cię na nową ćwierć. To byłeś i w Perejaśławiu?

— Byłem. Alem Bohuna tam nie znalazł. Stary pułkownik Łoboda chory. Mówią że rychło po nim Bohun pułkownikiem zostanie... Ale tam się dzieje coś dziwnego. Semenów le-dwie garść przy chorągwi została—reszta, mówią, za Bohunem pociągnęła, czy też na Sicz zbiegła, i to jest, mój jegomość, ważna rzecz, bo tam się podobno jakaś rebelja knuje. Chcia-

łem się koniecznie czegoś dowiedzieć o Bohunie, aleć tylko tyle mi powiedziano, że się na ruski brzeg (\*) przeprawił; a no! myślę sobie, kiedy tak, to nasza panienka od niego bezpieczna — i wróciłem.

— Dobrześ się sprawił. A przygody jakiej w podróży nie miałeś?

— Nie, mój jegomość, jeno mi się jeść okrutnie chce.

Rzędzian wyszedł, a namiestnik zostawszy sam, zaczął na nowo odczytywać list Heleny i do ust przyciskać te literki, nie tak kształtne jak ręka, która je kreśliła. Ufność wstąpiła mu w serce—i myślał sobie: „Nie długo drogi podeschną, byle Bóg dał pogodę. Kurcewicz też dowiedziawszy się, że Bohun holysz, pewnie mnie już nie zdradzą. Puszczę im Rozłogi i jeszcze swego dołożę, byle onej kochanej gwiazdki dostać...”

I przybrawszy się, z jaśniejącą twarzą, z pełną od szczęścia piersią, szedł do kaplicy, by Bogu naprzód za dobrą nowinę pokornie podziękować.

---

(\*) Prawy brzeg Dniepru nazywano: ruskim, lewy: tatarskim.



## ROZDZIAŁ VI.

Na całej Ukrainie i Zadnieprzu poczęły zrywać się jakieś szумы, jakoby zwiastuny burzy blizkiej; jakieś dziwne wieści przelatywały od sioła do sioła, od futoru do futoru, nakształt owych roślin, które jesienią wiatr po stepach niesie, a które lud perekotypolem zowie. W miastach szeptano sobie o jakiejś wielkiej wojnie, lubo nikt nie wiedział: kto i przeciwko komu ma wojować. Coś zapowiadało się wszelako. Twarze ludzkie stały się niespokojne. Rolnik niechętnie z pługiem na pole wychodził, chociaż wiosna przyszła wczesna, cicha, ciepła, a nad stepami dzwoniły oddawna skowronki. Wieczorami, ludzie po siołach gromadzili się w kupy i stojąc na drodze, gwarzyli półgłosem o rzeczach strasznych. Ślepców, krążących z teorbanami i pieśnią, wypytywano o nowiny. Niektórym zdało się, że

nocami widzą jakieś odblaski na niebie i że księżyc czerwienią się niż zwykle podnosi się z za borów. Wróżono klęski lub śmierć królewską—a wszystko to było tem dziwniejsze, że do ziem onych, przywykłych z dawna do niepokojów, walk, najazdów, strach niełatwy miał przystęp; musiały więc jakieś wyjątkowo złowrogie wichry grać w powietrzu, skoro niepokój stał się powszechnym.

Tem ciężej, tem duszniej było, że nikt nie umiał niebezpieczeństwa wskazać. Wszelako między oznakami złej wróżby, dwie szczególnie zdawały się wskazywać, że istotnie coś zagraża. Oto naprzód, niesłychane mnóstwo dziadów lirników pojawiło się po wszystkich wsiach i miastach, a były między nimi jakieś postacie obce, nikomu nieznane, o których szepotano sobie, że to są dziady fałszywe. Ci włączając się wszędzie, zapowiadali tajemniczo, iż dzień sądu i gniewu Bożego się zbliża. Potwóre, niżowcy poczęli pić na umor.

Druga oznaka była jeszcze niebezpieczniejszą. Sicz, w zbyt szczupłych granicach objęta, nie mogła wszystkich swych ludzi wyżywić, wyprawy nie zawsze się zdarzały, przeto ste-

py nie dawały chleba kozakom, mnóstwo więc niżowców rozpraszało się rok rocznie, w spokojnych czasach, po okolicach zamieszkałych. Pełno ich było na Ukrainie, ba nawet na całej Rusi. Jedni zaciągali się do pocztów starościńskich, inni szynkowali wódkę po drogach, inni trudnili się po wsiach i miastach handlem i rzemiosłami. W każdej prawie wsi stała opodal od innych chata, w której mieszkał zaporoziec. Niektórzy mieli w takich chatach żony i gospodarstwo. A zaporoziec taki, jako człek zwykle kuty i bity, był poniekąd dobrodziejstwem wsi, w której mieszkał. Nie było nad nich lepszych kowali, kołodziejów, garbarzy, woskoboistów, rybitwów i myśliwych. Kozak wszystko umiał, wszystko zrobił, dom postawił i siodło uszył. Powszechnie jednak nie byli to osadnicy spokojni, bo żyli życiem tymczasowem. Kto chciał wyrok zbrojny wyegzekwować, na sąsiada najazd zrobić lub się od spodziewanego obronić, potrzebował tylko krzyknąć, a wnet mołojcy zlatywali się jak krucy na żer gotowi. Używała ich też szlachta, używali panowie, wiecznie spory ze sobą wiodący, gdy jednak i takich wypraw brakło, to siedzieli cicho po wsiach, pracując

do upadłego i w pocie czoła zdobywając chleb powszedni.

I trwało tak czasem rok, dwa, aż nagle przychodziła wieść o jakowejś walnej wyprawie, czy to jakiego atamana na tatarów, czy na „lachiw“, czy wreszcie paniąt polskich na Wołoszczyznę;—i wnet ci kołodzieje, kowale, garbarze, woskoboje, porzucali spokojne zajęcie, i przedewszystkiem, poczynali pić na śmierć we wszystkich szynkach ukraińskich.

Przepiwszy wszystko, pili dalej na borg, „ne na to szczo je, ale na to, szczo bude.“ Przyszłe łupy miały zapłacić hulatykę.

Zjawisko owo powtarzało się tak stale, że później doświadczeni ludzie ukraińscy zwykli mawiać: „oho! trzęsą się szynki od niżowców —w Ukrainie coś się gotuje.“

I starostowie wzmacniali zaraz załogi w zamkach, pilne dając na wszystko baczenie, panowie ściągali pocztę — szlachta wysyłała żony i dzieci do miast.

Owóz wiosny tej, kozacy poczęli pić jak nigdy, trwonić na ślepo wszelkie zapracowane dobro i to nie w jednym powiecie, nie w jednym województwie, ale na całej Rusi, jak długa i szeroka.

Coś się więc gotowało naprawdę, chociaż sami niżowcy nie wiedzieli zgoła co takiego. Zaczęto mówić o Chmielnickim, o jego na Sicz ucieczce, i o grodowych z Czerkas, Bogusławia, Korsunia i innych miast, zbiegłych za nim — ale powiadano też i co innego. Od lat całych krążyły już wieści o wielkiej wojnie z pogany, której król chciał, by dobrym mołojcom łupu przysporzyć, ale lachy nie chcieli — a teraz te wszystkie wieści pomieszały się ze sobą i zrodziły w głowach ludzkich niepokój i oczekiwanie czegoś nadzwyczajnego.

Niepokój ów przedarł się i za mury łubniańskie. Na te wszystkie oznaki niepodobna było oczu zamykać, a zwłaszcza, nie miał tego zwyczaju książę Jeremi. W jego państwie niepokój nie przeszedł wprawdzie we wrzenie — strach trzymał w ryzie wszystkich, ale po jakimś czasie z Ukrainy zaczęły dolatywać słuchy, że i tu i owdzie chłopci zaczynają dawać opór szlachcie, że chcą się gwałtem zaciągać do rejestru na wojnę z pogany, i że liczba zbiegów na Sicz coraz się powiększa.

Porozysłał więc książę posłańców: do pana Krakowskiego, do p. Kalinowskiego, do Łoby w Perejasławiu,—a sam ścigał stada ze ste-

pów i wojsko z pałanek. Tymczasem przyszły wieści uspokajające. Pan hetman wielki donosił wszystko co wiedział o Chmielnickim, nie uważał jednak aby jaka zawierucha mogła z tej sprawy wyniknąć; p. hetman polny pisał że „hultajstwo zwykle jako roje burzy się na wiosnę.“ Jeden stary chorąży Zaćwilicbowski przesłał list zaklinający księcia, żeby niczego nie lekceważyć, bo wielka burza idzie od Dzikich pól. O Chmielnickim donosił, że z Siczy do Krymu pognął, by chana o pomoc prosić. „A jako mnie z Siczy przyjaciele donoszą, pisał, iż tam koszowy ze wszystkich łągów i rzeczek piesze i konne wojsko ściaga, nie mówiąc nikomu dlaczego to czyni, mniemam przeto, iż ta burza na nas się zwali, co jeżeli z pomocą tatarską się stanie, daj Boże, by zguby wszystkim ziemiom Ruskim nie przyniosło.“

Książę ufał Zaćwilichowskiemu więcej niż samym hetmanom, bo wiedział, iż nikt na całej Rusi nie zna tak kozaków i ich fortelów, postanowił więc jak najwięcej wojsk ściągnąć, a jednocześnie do gruntu prawdy dotrzeć.

Pewnego więc rana, kazał przywołać do siebie pana Bychowca, porucznika chorągwi wołoskiej, i rzekł mu:

— Pojedziesz waść odemnie w poselstwie na Sicz, do pana atamana Koszowego i oddasz mu ten list z moją hospodyńską pieczęcią. Ale żebyś wiedział, czego się trzymać, to ci powiem tak: list jest pozor, a zaś waga cała poselstwa w waszmościny rozumie spoczywa, abyś na wszystko patrzył, co się tam dzieje, ile wojska zwołali i czy jeszcze zwołują. To szczególnie polecam, byś sobie jakich ludzi skaptował i o Chmielnickim mi się wszystkiego dobrze wywiedziało, gdzie jest, i jeżeli prawda, że do Krymu pojechał tatarów o pomoc prosić. Rozumiesz waść?

— Jakoby mi kto na dłoni wypisał.

— Pojedziesz na Czehryn, po drodze nie wytchniesz dłużej jak noc jedną. Przybywszy, udasz się do chorążego Zaćwilichowskiego, by cię w listy do swoich przyjaciół w Siczy opatrzył, które sekretnie im oddasz. Owi wszystko ci opowiedzą. Z Czehryna ruszysz bajdakiem do Kudadu, pokłonisz się odemnie panu Grodzickiemu i to pismo mu wręczysz. On cię przez Porohy każe przeprowadzić i przewoźników potrzebnych dostarczy. W Siczy też nie baw, patrz, słuchaj i wracaj, jeśli żyw będziesz, bo to ekspedycja nie łatwa.

— Wasza książęca mość jest szafarzem krwi mojej. Ludzi siła mam wziąć?

— Weźmiesz czterdziestu pocztowych. Ruszysz dziś pod wieczór, a przed wieczorem przyjdiesz jeszcze po instrukcye. Ważną to misyę waszmości powierzam.

Pan Bychowiec wyszedł uradowany; w przedpokoju spotkał Skrzetuskiego z kilkoma oficerami z artylerji.

— A co tam? — spytali go.

— Dziś ruszam w drogę.

— Gdzie, gdzie?

— Do Czehryna, a ztamtąd dalej.

— To chodź-że ze mną, rzekł Skrzetuski.

I zaprowadziwszy go do kwatery, nuż molestować, by mu tę funkcyę odstąpił:

— Jakeś przyjaciel, rzecze, żądaj czego chcesz, konia tureckiego, dzianeta, dam, niczego nie będę żałował, bym jeno mógł jechać, bo się we mnie dusza w tamtą stronę rwie. Chcesz pieniędzy, pozwolę, byleś ustąpił. Sławy-é to nie przyniesie, bo tu pierwaj wojna, jeśli ma być, to się rozpocznie—a zginać możesz. Wiem także, że ci Anusia miła, jako i innym—pojedziesz, to ci ją zbałamucą.

Ten ostatni argument lepiej od innych trafił do myśli pana Bychowca, ale jednak opierał się. Coby ksiązę powiedział, gdyby ustąpił; czyby mu nie miał za złe? Toć to jest fawor książęcy, taka funkcyja.

Usłyszawszy to Skrzetuski, poleciał do księcia i natychmiast kazał się przez pazia meldować.

Po chwili paż wrócił z oznajmieniem, iż ksiązę wejść pozwala.

Namiestnikowi biło serce jak młotem z obawy, że usłyszy krótkie: „nie!“, po którym nie zostawało nic innego, jak wszystkiego poniechać.

— A co powiesz?—rzekł książe, ujrzawszy namiestnika.

Skrzetuski schylił mu się do nóg.

— Mości ksiązę, przyszedłem błagać najpokorniej, by mnie ekspedycya na Sicz była powierzona. Bychowiec możeby ustąpił, bo mi jest przyjacielem, a mnie tak właśnie na niej, jako na samem życiu zależy — boi się tylko Bychowiec, czy Wasza Książęca Mość krzyw za to na niego nie będziesz.

— Na Boga!—rzekł książe, toż jabym niko go innego jak ciebie nie wysyłał, ale rozumia-

łem, że niechętnie ruszysz, niedawno taką długą drogę odbywszy.

— Mości książę, choćbym też i codzień był wysyłany, zawsze libenter w tamtą stronę jeździć będę.

Książę popatrzył na niego przeciągle swemi czarnemi oczyma i po chwili spytał:

— Co ty tam masz?

Namiestnik stał zmięszany jak winowajca, nie mogąc znieść badawczego spojrzenia.

— Już widzę, że muszę prawdę mówić, rzekł, gdyż przed rozumem W. Ks. Mości, żadne arcana ostać się nie mogą, jedno nie wiem, znajdzie-li łaskę w uszach W. Ks. Mości.

I tu zaczął opowiadać, jak poznał córkę kniazia Wasila, jak się w niej rozkochał i jak pragnąłby teraz ją odwiedzić, a za powrotem z Siczy do Łubniów ją sprowadzić, by przed zawieruchą kozacką i natarczywością Bohuna ją uchronić. Zamileczał tylko o machinacyach starej kniahini, gdyż w tem był słowem związany. Natomiast tak począł błagać księcia, iżby mu funkcję Bychowca powierzył, iż książę rzekł:

— Jaby ci i tak jechać pozwolił i ludzi dał, ale gdyś tak wszystko mądrze ułożył, by

własny afekt z oną funkcją pogodzić, — tedy muszę już to dla ciebie uczynić.

To rzekłszy w ręce klasnął i kazał paziowi przywołać pana Bychowca.

Namiestnik ucałował z radością rękę księcia, ten zaś za głowę go ścisnął i spokojnym być rozkazał. Lubił on niezmiernie Skrzetuskiego, jako dzielnego żołnierza i oficera, na którego we wszystkim można się było spuścić. Prócz tego był między nimi ten związek, jaki wytwarza się między podwładnym, uwielbiającym z całej duszy zwierzchnika, a zwierzchnikiem, który to czuje dobrze. Około księcia kręciło się niemało dworaków, służących i schlebających dla własnej korzyści, ale orli umysł Jeremiego wiedział dobrze, co o kim trzymać. Wiedział, że Skrzetuski był człowiek jak łąza — cenił go więc i był mu wdzięczny za uczucie.

Z radością dowiedział się także, że jego ulubieniec pokochał córkę Wasila Kurcewicza, starego sługi Wiśniowieckich, którego pamięć była tem droższą księciu, im była żałośniejszą.

— Nie z niewdzięczności to przeciw kniaziowi — rzekł — nie dowiadywałem się o dziewczynę, ale, gdy opiekunowie nie zaglądali do Łubniów, i żadnych skarg na nich nie odbie-

rałem,—sądziłem, iż są poczciwi. Skoroś mi jednak teraz ją przypomniał, będę o niej, jak o rodzonej pamiętał.

Skrzetuski słysząc to, nie mógł się nadziwić dobroci tego pana, któren zdawał się sobie samemu robić wyrzuty, że wobec nawału spraw rozlicznych, nie zajął się losami dziecka dawnego żołnierza i dworzanina.

Tymczasem nadszedł pan Bychowiec.

— Mosanie, rzekł mu książę—słowo się rzekło: jeśli zechcesz, pojedziesz, aleć proszę, uczyni to dla mnie i ustąpi funkcyi Skrzetuskiemu. Ma on swoje szczególne, słuszne racye, by jej pożądać, a ja o innej pomyślę dla waści rekompensie.

— Mości książę, odparł Bychowiec, łaska to wysoka W. Ks. Mości, że mogąc rozkazać, na moją wolę to zdajesz, której łaski nie byłbym godzien, nie przyjmując jej najwdzięczniejszym sercem.

— Podziękuj-że przyjacielowi, rzekł książę, zwracając się do Skrzetuskiego, i idź gotować się do drogi.

Skrzetuski istotnie dziękował gorąco Bychowcowi, a w kilka godzin potem był gotów. W Łubniach od dawna trudno już mu było

wysiedzieć, a ta ekspedycja dogadzała wszelkim jego życzeniom. Naprzód miał zobaczyć Helenę—a potem—prawda, że trzeba było się od niej na dłuższy czas oddalić, ale właśnie taki czas był potrzebny, by drogi po niezmiernych deszczach stały się dla kół możliwe do przebycia. Prędzej kniahini z Heleną nie mogły zjechać do Łubniów—musiałby więc Skrzetuski albo w Łubniach czekać, albo w Rozłogach przesiadywać, co byłoby przeciw układowi z kniahinią—i co więcej—obudziłoby podejrzenia Bohuna. Helena prawdziwie bezpieczną przeciw jego zamachom mogła być dopiero w Łubniach, gdy więc musiała koniecznie jeszcze dość długo w Rozłogach pozostawać, najlepiej wypadało Skrzetuskiemu odjechać, a za to z powrotem, już pod zastoną siły wojskowej książęcej ją zabrać. Tak obrachowawszy, kwapił się namiestnik z wyjazdem i ułatwiwszy wszystko, wzięwszy listy i instrukcye od księcia, a pieniądze na ekspedycyą od skarbnika, dobrze jeszcze przed nocą puścił się w drogę, mając ze sobą Rzędziana i czterdziestu semenów z kozackiej książęcej chorągwi.



## ROZDZIAŁ VII.

Było to już w drugiej połowie marca. Trawy puściły się bujno; perekotypola zakwitły, step zawrzał życiem. Rankiem namiestnik jadąc na czele swych ludzi, jechał jakby morzem, którego falą ruchliwą była kołysana wiatrem trawa. A wszędy pełno wesołości i głosów wiosennych, krzyków, świergotu, pogwizdywań, klaskañ, trzepotania skrzydeł, radosnego brzęczenia owadów; step brzmiący jak lira, na której gra ręka boża. Nad głowami jeźdźców jastrzębie tkwiące nieruchomie w błękicie, nakszałt pozawieszanych krzyżyków, trójkąty dzikich gęsi, sznury żórawiane; na ziemi gony żdziczałych tabunów: ot, leci stado koni stepowych! widać je jak porą trawy pierśią, idą jak burza i stają jak wryte, otaczając jeźdźców półkolem; grzywy ich rozwiane, chrapy rozdęte, oczy żdziwione! Rzekłbyś, chcą roztratować

nieproszonych gości. Ale chwila jeszcze — i pierzchają nagle i nikną równie szybko jak przybiegły — jeno trawy szumią, jeno kwiaty migocą! Tętet ucichł, znowu słyszeć tylko granie ptastwa. Niby wesoło, a jakiś smutek wśród tej radości, niby gwarno a pusto—o! a szeroko, a przestronno! Koniem nie zgonić, myślą nie zgonić... chyba te smutki, tę pustoszą, te stepy pokochać i tęskną duszą krążyć nad niemi, na ich mogiłach spoczywać, głosu ich słyszeć i odpowiadać.

Ranek był. Wielkie krople błyszczały na bylicach i burzanach, rzeźwe powiewy wiatru suszyły ziemię, na której po deszczach stały szerokie kałuże, jakoby jeziorka rozlane, w słońcu świecące. Poczet namiestnikowy posuwał się zwolna, bo trudno było pośpieszyć, gdy konie zapadały czasem po kolana w miękkiej ziemi. Ale namiestnik mało im dawał wytchnienia po wzgórkach mogilnych, bo spieszył zarazem witać i żegnać. Jakoż drugiego dnia o południu, przejechawszy szmat lasu, dojrzał już wiatraki w Rozłogach, rozrzucone po wzgórzach i pobliskich mogiłach. Serce mu biło jak młotem. Nikt go się tam nie spodziewa, nikt nie wie, że przyjedzie; co też ona powie, gdy

go ujrzy? O oto już i chaty podsusiedków, poukrywane w młodych sadach wiśniowych—dalej wieś rozrzucona dworzyszczowych a jeszcze dalej widnieje i zóraw studzienny na dworskim majdanie. Namiestnik wspiął konia i kopnął się cwałem, a za nim pocztowi; lecieli tak przez wieś z brzękiem i gwarem. Tu i owdzie chłop wypadł z chaty, popatrzył, przeżegnał się: czorty, nie czorty? tatarzy nie tatarzy? Błoto tak pryska z pod kopyt, że i nie poznasz, kto leci. A oni tymczasem dolecieli do majdanu i stanęli przed bramą zawartą.

— Hej tam! kto żyw, otwieraj!

Gwar, stukanie i ujadania psów, wywołały ludzi ze dworu. Przypadli tedy do bramy wystraszeni, myśląc, że chyba najazd.

— Kto jedzie?

— Otwieraj!

— Kniaziów niema w domu!

— Otwieraj-że pogański synu! My od księcia z Łubniów.

Czeladź poznała wreszcie Skrzetuskiego.

— A to wasza miłość! Zaraz! zaraz.

Otworzono bramę, a w tem i sama kniahi-  
ni wyszła przed sień i przykrywszy oczy ręką,  
patrzyła na przybyłych.

Skrzetuski zeskoczył z konia i zbliżywszy się do niej, rzekł:

— Jejmość nie poznajesz mnie?

— Ach! to waszmość, panie namiestniku. Rozumiałam, że napad tatarski. Kłaniam i proszę do komnat.

— Dziwisz się zapewne waćpani, — rzekł Skrzetuski, gdy weszli już do środka, — widząc mnie w Rozłogach, a przecież słowa nie zła-mał, gdyż to sam ksiązę do Czehryna i dalej mnie posyła. Kazał mi przytem w Rozłogach się zatrzymać i o wasze zdrowie zapytać.

— Wdzięcznam jego książęcej mości, jako łaskawemu panu i dobrodziejowi. Prędkoż nas myśli z Rozłogów rugować?

— Nie myśli on o tem wcale, gdyż nie wie, że trzeba was rugować, a ja com powiedział, to będzie. Zostaniecie w Rozłogach; mam ja swego chleba dosyć.

Usłyszawszy to kniahini, zaraz rozpogodziła się i rzekła:

— Siadaj-że waszmość i bądź sobie rad, jakom ja ci rada.

— A kniaziówna zdrowa! gdzie jest?

— Wiem ci ja, żeś nie do mnie przyjechał, mój kawalerze. Zdrowa ona, zdrowa; jeszcze

dziewka od tych amorów potłuściła. Ale wraz ci jej zawołam, a i sama się trochę ogarnę, bo mi wstyd tak gości przyjmować.

Jakoż kniahini miała na sobie suknię ze spłowiałego cycu, kozuch na wierzchu i jałowi-cze buty na nogach.

W tej chwili jednak Helena, choć i nie wolana, wbiegła do komnaty, bo się od tatara Czechły dowiedziała, kto przyjechał. Wbiegłszy zdyszana i kraśna jak wiśnia, tchu prawie złapać nie mogła i tylko oczy śmiały się jej szczęściem i weselem. Skrzetuski skoczył jej ręce całować, a gdy kniahini dyskretnie wyszła, całował i usta, bo był człowiek porywczy. Ona też nie broniła się bardzo, czując, że niemoc opanowywa ją ze zbytku szczęścia i radości.

— A ja się waćpana nie spodziewałam, szeptała mrużąc swe śliczne oczy, ale już tak nie całuj, bo nie przystoi.

— Jak nie mam całować, odpowiedział rycerz, gdy mi miód nie tak słodki, jako usta twoje. Myślałem też, że już mi uschnąć przyjdzie bez ciebie, aż mnie sam książę tu wyprowadził.

— To książę wie?

— Powiedziałem mu wszystko. A on jeszcze rad był, na kniazia Wasila wspomniawszy. Ej, chybaś ty mi co zadała, dziewczyno, że już i świata za tobą nie widzę.

— Łaska to boża takie zaślepienie twoje.

— A pamiętasz jeno ten omen, który róg uczynił, gdy nam ręce ku sobie ciągnął. Znać było już przeznaczenie.

— Pamiętam...

— Jakem też od tęskności chodził w Łubniach na Sołonicę, tom cię tak prawie jako żywą widywał, a com wyciągnął ręce, toś nikła. Ale mi więcej nie umkniesz, gdyż tak myślę, że nic nam już nie stanie na wstręcie.

— Jeśli co stanie, to nie wola moja.

— Powiedz-że mi jeszcze raz, że mnie miłujesz.

Helena spuściła oczy, ale odrzekła z powagą i wyraźnie:

— Jako nikogo w świecie.

— Żeby mnie kto złotem i dostojenstwem obsypał, wolałbym takie słowa twoje, bo czuję, że prawdę mówisz, choć sam nie wiem, czem na takowe dobrodziejstwo od ciebie zarobić mogłem.

— Boś miał litość dla mnie, boś mnie przygarnął i ujmował się za mną i takimi słowy do mnie mówił, jakich wprzód nigdy nie słyszałam.

Helena zamilkła ze wzruszenia, a porucznik począł na nowo całować jej rękę.

— Panią mi będziesz, nie żoną—rzekł.

I przez chwilę milczeli, tylko on wzroku z niej nie spuszczał, chcąc sobie długie niewiedzenie nagrodzić. Wydała mu się jeszcze piękniejszą, niż dawniej. Jakoż w tej ciemnawej świetlicy, w grze promieni słonecznych rozłamujących się w tęczę na szklanych gomółkach okien, wyglądała jak owe obrazy świętych dziewic w mrocznych kościelnych kaplicach. A jednocześnie było od niej takie ciepło i życie, tyle rozkosznych niewieścich ponęt i uroków malowało się w twarzy i całej postaci, że można było głowę stracić, rozkochać się na śmierć, a kochać na wieczność.

— Od twojej gładkości, chyba mi oślepnąć przyjdzie!—rzekł namiestnik.

Białe ząbki kniaziówny wesoło błysnęły w uśmiechu.

— Pewnie panna Anna Borzobohata ode mnie stokroć gładsza!

— Tak jej do ciebie, jako właśnie cynowej misie do miesiąca.

— A mnie Imé Rzędzian co innego powiedział.

— Imé Rzędzian jest kiep, który wart w gębę. Co mnie tam po ónej pannie! niech inne pszczoły z tego kwiatu miód biorą, a jest ich tam nie mało.

Dalszą rozmowę przerwało wejście starego Czechły, któren przyszedł witać namiestnika. Uważał go on już za swego przyszłego pana, więc kłaniał mu się od proga, oddając mu wschodnim obyczajem salamy.

— No, stary Czechły, wezmę i ciebie z pannenką. Już też jej służ do śmierci.

— Nie długo jej czekać, wasza miłość, ale póki życia, póty służby. Bóg jeden!

— Za jaki miesiąc, gdy z Siczy wrócę, ruszymy do Łubniów, rzekł namiestnik zwracając się do Heleny, a tam ksiądz Muchowiecki ze stułą czeka.

Helena przestraszyła się:

— To ty na Sicz jedziesz?

— Książę posyła z listami. Aleć się nie bój. Osoba posła i u pogan święta. Ciebie zaś z kniahinią wyprawiłbym choć zaraz do Łu-

bniów, jeno drogi straszne. Sam widziałem—  
i koniem niebardzo przejedzie.

— A długo w Rozłogach zostaniesz?

— Dziś jeszcze na wieczór do Czehryna  
ruszam. Prędzej pożegnám, prędzej powitam.  
Zresztą służba książęca! nie mój czas, nie mo-  
ja wola.

— Proszę na posiłek, jeśli amorów i gru-  
chania dosyć, rzekła wchodząc kniahini. — Ho!  
ho! policzki ma dziewczyna czerwone, snąć nie  
próżnowałeś, panie kawalerze! No, ale się wam  
nie dziwię.

To rzekłszy poklepała łaskawie Helenę po  
ramieniu i poszli na obiad. Kniahini była w do-  
skonaleym humorze. Bohuna odżałowała już da-  
wno, a teraz wszystko składało się tak, dzięki  
hojności namiestnika, że Rozłogi „cum boris,  
lasis, graniciebus et coloniis“ mogła już uwa-  
żać za swoje i swoich synów.

A były to przecie dobra nie małe.

Namiestnik wypytywał o kniaziów czy pręd-  
ko wróćą.

— Łada dzień się już ich spodziewam.  
Gniewno im było z początku na waćpana, ale  
potem, zważywszy twoje postęпки, bardzo cię,  
jako przyszłego krewniaka polubili, bo prawią,

że takiej fantazyi kawalera trudno już w dzisiejszych miękkich czasach znaleźć.

Po skończonym obiedzie namiestnik z Heleną wyszli do sadu wiśniowego, który tuż do fosi za majdanem przytykał. Sad był jako śniegiem wczesnem kwieciem obsypany, za sadem czerniała dąbrowa, w której kukała kukła.

— Na szczęśliwą to nam wróżbę, rzekł pan Skrzetuski, ale trzeba się popytać.

I zwróciwszy się ku dąbrowie pytał:

— Zazulu nieboże, a ile lat będziem żyć w stadle z tą oto panną?

Kukła poczęła kukać i kukać. Naliczyli pięćdziesiąt i więcej.

— Dajże tak Boże!

— Zazule zawsze prawdę mówią, zauważyła Helena.

— A kiedy tak, to jeszcze będę pytał! — rzekł rozochocony namiestnik.

I pytał:

— Zazulu nieboże, a siła mieć będziem chłopczysków?

Kukła, jakby zamówiona, zaraz poczęła odpowiadać i wykukala ni mniej ni więcej, jak dwanaście.

Pan Skrzetuski nie posiadał się z radości.

— Ot, starostą zostanę, jak mnie Bóg miły!  
Słyszałaś waćpanna? he?

— Zgoła nie słyszałam, odpowiedziała czerwona jak wiśnia Helena, nawet nie wiem, o coś pytał.

— To może powtórzyć?

— I tego nie trzeba.

Na takich rozmowach i zabawach zeszedł im dzień jak sen. Wieczorem nadeszła chwila czułego, długiego pożegnania—i namiestnik ruszył ku Czehrynowi.



## ROZDZIAŁ VIII.

W Czehrynie zastał pan Skrzetuski starego Zaćwilichowskiego w wielkiem wzruszeniu i gorączce; wyglądał on niecierpliwie książęcego posłańca, bo z Siczy coraz groźniejsze dochodziły wieści. Nie ulegało już wątpliwości, że Chmielnicki gotował się zbrojną ręką swoich krzywd i dawnych kozackich przywilejów dochodzić. Zaćwilichowski miał o nim wiadomości, iż w Krymie bawił u chana, żebrząc pomocy tatarskiej, z którą już lada dzień był w Siczy spodziewany. Gotowała się tedy walczyć z Niżu do Rzeczypospolitej wyprawa, która przy pomocy tatarskiej mogła być zgubną. Burza rysowała się coraz bliżej, wyraźniej, straszniej. Już nie głuche, nieokreślone trwogi przebiegały Ukrainę, ale poprostu pewność rzezi i wojny. Hetman wielki, który z początku niewiele sobie z całej sprawy robił,

przysunął się teraz z wojskiem do Czerkas; wysunięte placówki wojsk koronnych dochodziły aż do Czehryna, a to głównie, by zbiegostwo powstrzymać, kozacy bowiem grodowi i czerń masami poczęli na Sicz uciekać. Szlachta kupiła się po miastach. Mówiono, że pospolite ruszenie ma być w południowych województwach ogłoszone. Niektórzy też i nie czekając na wici, odsyłali żony i dzieci do zamków, a sami ciągnęli pod Czerkasy. Nieszczęsna Ukraina rozdzieliła się na dwie połowy; jedna spieszyła na Sicz, druga do obozu koronnego; jedna opowiadała się przy istniejącym porządku rzeczy, druga przy dzikiej swobodzie; jedna pragnęła zachować to, co było owocem wiekowej pracy, druga pragnęła jej owo dobro odjąć. Obie wkrótce miały bratnie ręce we własnych wnętrznościach ubroczyć. Straszliwy zatarg, zanim wyszukał sobie hasła religijnych, które dla Niżu obce były zupełnie, zrywał się jako wojna socyalna.

Ale jakkolwiek czarne chmury skłębiły się na widnokręgu ukraińskim, jakkolwiek padała od nich noc złowroga, jakkolwiek we wnętrzu ich kłębiło się i huczało, a grzmoty przewalały się z końca w koniec, ludzie nie zdawali sobie

jeszcze sprawy, do jakiego stopnia burza się rozpęta. Może nie zdawał sobie z tego sprawy i sam Chmielnicki, który tymczasem słał listy do pana Krakowskiego, do komisarza kozackiego i do chorążego koronnego, pełne skarg i biadań, a zarazem zaklęć wierności dla Władysława IV i Rzplitej. Chciał li zyskać na czasie, czy też przypuszczał, że jaki układ może jeszcze koniec zatargowi położyć? różni różnie sądźli—dwóch tylko ludzi nie łudziło się ani przez jedną godzinę.

Ludźmi tymi byli Zaćwilichowski i stary Barabasza.

Stary pułkownik odebrał również list od Chmielnickiego. List był szyderczy, groźny i pełen obelg. „Zacznijmy z całym wojskiem zaporozkiem—pisał Chmielnicki—gorąco prosić i apelować, by stało się zadość onym przywilejom, które wasza miłość u siebie taiłeś. A żeś je taił dla własnych korzyści i pożytków, przeto całe wojsko zaporozkie czyni cię godnym pułkownikować owcom, albo świniom, nie ludziom. Ja zaś proszę o przebaczenie waszej miłości, jeżeli w czem mu nie wygodziłem w ubogim domu moim w Czehrynie, na prazni-

ku Św. Mikołaja—i żem odjechał na Zaporozie bez wiadomości i pozwolenia“.

— Patrzenie waszmościowie, mówił do Zaćwilichowskiego i Skrzetuskiego Barabasza, jak to naigrawa się ze mnie, a przecież jam to go wojny uczył i prawie ojcem mu byłem.

— Zapowiada tedy, że z całym wojskiem zaporozkiem upominać się o przywileje będzie —rzekł Zaćwilichowski. Wojna to jest poprostu domowa, od wszystkich wojen straszniejsza.

Na to Strzetuski:

— Widzę, że mi się trzeba spieszyć, dajcie mi waszmościowie listy do tych, z którymi w komitywę wejść mi przyjdzie.

— Do atamana koszowego masz wać?

— Mam od samego księcia.

— Dam ci tedy do jednego Kurzeniowego, a Imć Barabasz ma tam też krewniaka Barabasza; od nich dowiesz się wszystkiego. Ale kto wie, czy to już nie zapóźno na takową ekspedycję. Chce książę wiedzieć, co tam naprawdę słyhać? — krótka odpowiedź — źle słyhać! a chce wiedzieć czego się trzymać? — krótka rada: zebrać jaknajwięcej wojska i z hełmami się połączyć.

— To pchnijcie do księcia gońca z odpowiedzią i radą, rzekł pan Skrzetuski. Ja muszę jechać, bom tam posłan i decyzji książęcej zmieniać nie mogę.

— A czy wiesz waść, że to okrutnie niebezpieczna wyprawa, rzekł Zaćwilichowski. Tu już lud tak wzburzony, że osiedzieć się trudno. Gdyby nie bliskość koronnego wojska, czerń rzuciłaby się na nas. A cóż dopiero tam! Ieziesz jakoby smokowi w gardło.

— Mości chorąży! Jonasz był już w brzuchu wielorybim, nie w gardle, a za pomocą Bożą wylazł zdrowo.

— Jedź tedy. Chwałę twoję rezolucyę. Do Kudaku możesz wać dojechać bezpiecznie, tam się rozpatrzysz, co ci dalej czynić przystoi. Grodzicki stary żołnierz, on najlepsze da ci instrukcyę. A do księcia, ja sam pewnie ruszę; — jeśli się mam bić na swoje stare lata, to wolę pod nim, niż pod kim innym. Tymczasem bajdak albo dombazę i przewoźników dla waci przygotuję, którzy cię do Kudaku zawiozą.

Skrzetuski wyszedł i udał się prosto do swojej kwatery na rynek, do domu księcia, by ostatecznie do odjazdu poczynić przygotowania.

Mimo niebezpieczeństw tej podróży, o których mu prawił Zaćwilichowski, namiestnik nie bez pewnego ukontentowania myślał o niej. Miał zobaczyć Dniepr w całej niemal długości, aż do Niżu — i porohy, a była to dla ówczesnego rycerstwa zienia jakby zaczarowana, tajemnicza, do której ciągnął wszelki duch przygód chciwy. Niejeden całe życie na Ukrainie strawił, a nie mógł się pochwalić, by Sicz widział — chyba żeby chciał zapisać się do bractwa, a do tego mniej już między szlachtą było ochotników. Czasy Samka Zborowskiego przeszły i nie miały wrócić więcej. Rozbrat między Siczą a Rzeczpospolitą, który powstał za czasów Nalewajki i Pawluka, nie tylko nie ustawał, ale zwiększał się coraz bardziej i napływ na Sicz herbowego ludu, nie tylko polskiego ale i ruskiego, nie różniącego się od niżowców ni mową ni wiarą, znacznie był mniejszy. Tacy Bułhowie, Kurcewicze, nie wielu znajdowali naśladowców; wogóle na Niż, do bractwa, gnało teraz szlachtę chyba nieszczęście, banicya, słowem winy do odpokutowania niepodobne.

To też jakaś tajemnica nieprzenikniona jako mgły dnieprowe otoczyła drapieżną niżową Rzeczpospolitą. Opowiadano o niej cuda, które

pan Skrzetuski własnymi oczyma ciekaw był oglądać.

Nie spodziewał się też, co prawda, ztamtąd nie wrócić. Co poseł, to poseł, zwłaszcza od księcia Jeremiego.

Tak rozmyślając, wyglądał przez okno ze swej kwatery na rynek. Tymczasem upłynęła jedna godzina i druga, gdy nagle Skrzetuskiemu wydało się, że spostrzega dwie jakieś znane postaci, zmierzające ku Dzwonieckiemu kątowi, gdzie był sklep wołocha Dopuły.

Przypatrzył się pilniej: było pan Zagłoba z Bohunem.

Szli, trzymając się pod ręce i wkrótce znikli w ciemnych drzwiach, nad którymi sterczała wiecha, oznaczająca szynk i winiarnię.

Namiestnika zdziwiła i bytność Bohuna w Czehrynie i przyjaźń jego z panem Zagłobą.

— Rzędzian! sam tu!—zawołał na pachółka.

Pachólek ukazał się we drzwiach przyległej izby.

— Słuchaj-no, Rzędzian, pójdiesz do winiarni, ot, tam pod wiechę; znajdziesz tam grubego szlacheica z dziurą w czele i powiesz mu, że ktoś, co ma pilną do niego sprawę, chce go widzieć. A jeśli pytał kto, nie mów.

Rzędzian skoczył i po niejakiem czasie namiestnik ujrzał go wracającego w towarzystwie pana Zagłoby.

— Witaj waszmość, rzekł pan Skrzetuski, gdy szlachcic ukazał się we drzwiach izby— czy mnie sobie przypominasz?

— Czy sobie przypominam? Niechże mnie tatarzy na łój przetopią i świece ze mnie do meczetów porobią, jeśli zapomniał. Waś to kilka miesięcy temu otworzyłeś drzwi u Dopuła Czaplińskim, co mnie szczególnie do smaku przypadło, gdyż takim samym sposobem uwolniłem się raz z więzienia w Stambule. A co porabia pan Powsinoga herbu Zerwipludry, razem ze swoją innocencyą i mieczem? Czy zawsze mu wróble na głowie siadają, biorąc go za uszkie drzewo?

— Pan Podbipięta zdrów i kazał się kłaniać waszmości.

— Wielce to jest bogaty szlachcic, ale srodze głupi. Jeśli zetnie takie trzy głowy jak jego własna, to mu to uczyni dopiero półtorej, bo zetnie trzech półgłówków. Tfu! jakie gorąco, choć to dopiero marzec. Język w gardle zasycha.

— Mam ja trojniak bardzo przedni, może waść kusztyczek pozwoli?

— Kiep odmawia, gdy nie kiep prosi. Właśnie mi cyrulik miód pić zalecił, żeby mi melankolję od głowy odciągnęło. Ciężkie bo to czasy na szlachtę się zbliżają: *dies irae et calamitatis*. Czapliński zdechł ze strachu, do Dopuła nie chodzi, bo tam starszyczna kozacka pije. Ja jeden stawiam mężnie czoło niebezpieczeństwom i dotrzymuję onym pułkownikom kompanii, choć ich pułkownictwo dziegiem śmierdzi. Dobry miód! istotnie bardzo przedni! Zkąd go waść masz?

— Z Łubniów. To dużo starszyczny tu jest?

— Kogo tu niema? Fedor Jakubowicz jest, stary Filon Dziedziała jest, Daniel Neczaj jest, a z niemi ich oczko w głowie: Bohun, który stał mi się przyjacielem od czasu, jakem go przepił i obiecałem go adoptować. Wszyscy oni śmierdzą teraz w Czelrynie i patrzą w którą stronę się obrócić, bo nie śmia jeszcze otwarcie przy Chmielnickim się opowiedzieć. Ale jeśli się nie opowiedzą, to będzie moja zasługa.

— A to jakim sposobem?

— Bo pijąc z niemi, dla Rzeczypospolitej ich kaptuję i do wierności namawiam. Jeśli król nie da mi nie za to starostwa, to wierząc waćpan, niema justycyi w tej Rzeczypospolitej ani rekompensy dla zasług i lepiej pono kury sadzać, niż głowę *pro publico bono* narażać.

— Lepiejbyś waćpan narażał bijąc się z niemi, ale widzi mi się, że pieniądze tylko próżno wyrzucasz na traktamenty, bo tą drogą ich nie skaptujesz.

— Ja pieniądze wyrzucam? Za kogo mi nie waszmość masz? To niedość, że pospolituję się z chamami, żebym jeszcze za nich miał płacić? Za fawor to uważam, że im pozwalam płacić za siebie.

— A ów-że Bohun, co tu porabia?

— On? Nadstawia ucha, co od Siczy słychać, jak i inni. Po to tu przybył? To kochanek wszystkich kozaków. Wdzięczą się oni do niego nakształt małpów, bo to jest pewna, że Perejasławski pułk za nim, nie za Łobodą pójdzie. A kto wie także, za kim rejestrowi Krzczowskiego pociągną? Brat Bohun niżowcem, jak trzeba iść na turka lub tatara, ale teraz bardzo kalkuluje, bo mi po pijanemu

wyznał, iż się w szlachciance kocha i chce się z nią żenić, przeto nie wypada mu w wigilją ślubu z chłopcy się bratać. Toć on chce, bym go adoptował i do herbu przypuścił. Bardzo przedni ten waszmościów trojniak!

— Wypij-że waść jeszcze.

— Wipiję, wypiję. Nie pod wiechami to taki trojniak przedają.

— Nie pytałeś się też wasze, jak się nazywa owa szlachcianka, z którą Bohun chce się żenić?

— Mospanie, a co mnie obchodzi jej nazwisko? Wiem tylko, że jak Bohunowi rogi przypawię—to się będzie nazywać: pani jeleniowa.

Namiestnik uczuł nagle wielką ochotę trzepnąć w ucho pana Zagłobę, ten zaś nie spostrzegłszy się na niczem, mówił dalej:

— Za młodych lat był ze mnie gładysz nielada. Żebym tylko waści opowiedział za co palmę w Galacie otrzymałem! Widzisz tę dziurę na moim czele? Dość gdy ci powiem, że mi ją rzezańcy w seraju tamecznego baszy wybili.

— A mówiłeś, że kula rozbójnicka?

— Mówilem? Tom dobrze mówił! każdy turczyn rozbójnik—tak mnie panie Boże dopomóż!

Dalszą rozmowę przerwało wejście Zaćwili-chowskiego.

— No, mości namiestniku, rzekł stary chorąży—bajdaki gotowe—przewoźników masz ludzi pewnych; ruszaj-że w imię Boże, choćby i zaraz. A oto listy.

— To każę ludziom zaraz ruszać na brzeg.

— A gdzie waść się wybierasz? — spytał pan Zagłoba.

— Do Kudaku.

— Gorąco tam ci będzie.

Ale namiestnik nie słyszał już przepowiedni, bo wyszedł z izby na podwórzec, gdzie przy koniach stali semenowie, prawie już gotowi do podróży.

— Na koń i na brzeg!—zakomenderował pan Skrzetuski. Konie powprowadzać na statki i czekać na mnie!

Tymczasem w izbie, stary chorąży rzekł do Zagłoby:

— Słyszałem, że podobno waść teraz pułkownikom dworujesz i z niemi pijesz.

— *Pro publico bono!* mości chorąży.

— Obrotny masz waść dowcip — i podobno od wstydu większy. Chcesz sobie kozaków in

*poculis* skonwikować, by przyjaciółmi ci byli w razie zwycięstwa.

— Choćbym też będąc męczennikiem tureckim, nie chciał zostać i kozackim, nie byłoby nic dziwnego, bo dwa grzyby mogą najlepszy barszcz popsować. A co do wstydu, nikogo nie zapraszam, by go pił ze mną—sam go wypiję, i da Bóg, że mi nie będzie gorzej od tego miodu smakował. Zasluga, jako olej, musi na wierzch wypłynąć.

W tej chwili wrócił Skrzetuski.

— Ludzie już ruszają—rzekł.

Zaćwilichowski nalał miarkę:

— Za szczęśliwą podróż!

— I zdrowy powrót!—dodał pan Zagłoba.

— Będzie się wam dobrze jechało, bo woda ogromna.

— Siadajcie waszmościowie, wypijem resztę. Niewielki to antałek.

Siedli i pili.

— Ciekawy kraj waść zobaczysz, mówił Zaćwilichowski. A kłaniaj się panu Grodziekiemu w Kudaku! Ej, żołnierz to, żołnierz! Na końcu świata siedzi, daleko od hetmańskich oczu, a porządek u niego taki, że daj Boże w całej Rzeczypospolitej podobny. Znam ja do

brze Kudak i porohy. Za dawnych lat częściej się tam jeździło—i aż duszy smutno, gdy się pomyśli, że to przeszło, minęło, a teraz...

Tu chorąży wsparł mleczną głowę na rękę i zadumał się głęboko. Nastąpiła chwila ciszy, słyszeć było tylko tupot koński w bramie—bo ostatek ludzi p. Skrzetuskiego wyjeżdżał na brzeg ku bajdakom.

— Mój Boże, mówił ocknąwszy się z zadumy Zaćwilichowski, a jednak dawniej, choć i wśród rozterek, lepsze bywały czasy. Ot pamiętam, jak dziś, pod Chocimem,—dwadzieścia siedem lat temu! Gdy husarya szła pod Lubomirskim do ataku na janczarów, to żołdacy w swoim okopie rzucali czapki w górę i krzyczeli aż ziemia drżała do Sahajdacznego: „puskaj bat’ku z lachami umiraty!“ A dziś co? Dziś Niż, który winien być przedmurzem chrześcijaństwa, puszcza tatarów w granice Rzeczypospolitej, by się na nich rzucić dopiero wtedy, gdy z łupem będą wracać. Dziś gorzej: bo oto Chmielnicki łączy się wprost z tatarzy, z którymi chrześcijan będzie do kompanii mordował...

— Wypijmy na ten smutek!—przerwał Zagłoba. Co to za trojniak!

— Dajże Boże jak najprędzej mogiłę, by na wojnę domową nie patrzeć — mówił dalej stary Chorąży. Wspólne winy mają się we krwi obmywać, aleć nie będzie to krew odkupienia, boć tu i brat brata będzie mordował. Kto na Niżu? ukraińcy, a kto w wojsku księcia Jaremy? Kto w pocztach pańskich? ukraińcy. A małoż ich w obozie koronnym? A ja sam kto taki? Hej, nieszczęsna Ukraino! krymscy poganie włożą ci łańcuch na szyję i na galerach tureckich wiosłować będziesz!

— Nie biadajcież tak, mości Chorąży! — rzecze pan Skrzetuski, bo już chyba śluzę z oczu nam pójdą. Może też jeszcze pogodne słońce nam zaświeci!

Ale słońce zachodziło właśnie, a ostatnie jego promienie padały czerwonym blaskiem na białe włosy chorążego.

W mieście dzwoniono na anioł pański i na pochwalnię.

Wyszli. Pan Skrzetuski poszedł do kościoła, pan Zaćwilichowski do cerkwi, a pan Zagłoba do Dopusy w Dzwoniecki kąt.

Ciemno już było, gdy się znowu zeszli nad brzegiem taśminowej przystani. Ludzie pana

Skrzetuskiego siedzieli już w bajdakach. Przewoźnicy wnosili jeszcze ładunki. Zimny wiatr ciągnął od pobliskiego ujścia do Dniepru i noc obiecywała być nie zbyt pogodna. Przy świetle ognia, palącego się nad brzegiem, woda rzeki połyskiwała krwawo i zdawała się z niezmierną chyżością uciekać gdzieś w nieznana ciemność.

— No, szczęśliwej drogi!—mówił chorąży ściskając serdecznie dłoń młodzieńca. A pilnuj się waś!

— Nie zaniecham niczego. Bóg da, że nie długo się zobaczymy.

— Chyba w Łubniach, albo w obozie księżęcym.

— To waszmość już koniecznie do księcia?

Zaćwilichowski podniósł ramiona w górę:

— A co mnie! kiedy wojna, to wojna!

— Zostawajże waszmość w dobrem zdrowiu, mości Chorąży.

— Niechże cię Bóg strzeże!

— *Vive, valeque!*—wołał Zagłoba. A jeśli woda aż do Stambułu waści zaniesie, to kłaniaj się sułtanowi. Albo też: jechał go sęk!

Bardzo to zacny był trojniak! Brr! jak tu zimno!

— Do widziska! ;

— Do obaczyska!

— Niech Bóg prowadzi.

Zaskrzypiały wiosła i plusnęły o wodę,— bajdaki popłynęły. Ogień palący się na brzegu począł oddalać się szybko. Przez długi czas Skrzetuski widział jeszcze sędziwą postać Chorążego oświeconą płomieniem stosu i jakiś smutek ścisnął mu nagle serce. Niesie go ta woda, niesie, ale oddala od serc życzliwych i od ukochanej, od krain znanych; niesie go nieubłaganie, jak przeznaczenie, ale w dzikie strony, w ciemność...

Wypłynęli z ujścia taśminowego na Dniepr.

Wiatr świstał, wiosła wydawały plusk jednostajny, a smutny. Przewoźnicy poczęli śpiewać:

„Oj to te pili, pilili,  
„Ne tamany ustawali.

Skrzetuski obwinał się w burkę i położył na pościeli, które umościli dla niego żołnierze. Począł myśleć o Helenie, o tem, że ona dotąd nie w Łubniach, że Bohun został, a on odjeżdża. Obawa, złe przeczucia, troski, obsiadły

go jak kruki. Począł mocować się z niemi, aż się znużył, myśli mu się mąciły, zmieszały ja-koś dziwnie z poświstem wiatru, z pluskiem wioseł, z pieśniami rybaków—i usnął.



## ROZDZIAŁ IX.

Nazajutrz zbudził się świeży, zdrów i z weselszą myślą. Pogoda była cudna. Szeroko rozlane wody marszczyły się w drobne zmarszczki od lekkiego i ciepłego powiewu.

Brzegi były w tumanie i zlewały się z płaszczyną wód w jedną nieprzejrzaną równinę. Rzędzian zbudziwszy się i przetarłszy oczy, aż się przestraszył. Spojrzał zdziwionemi oczyma dookoła, a nie widząc nigdzie brzegu, rzekł:

— O dla Boga! mój jegomość! to my już chyba na morzu jesteśmy...

— Rzeka to tak potężna, nie morze, odpowiedział Skrzetuski, a brzegi zobaczysz, gdy mgła opadnie.

— Myślę, że nie długo już nam i na tu-recczyznę wędrować przyjdzie.

— Powędrujemy, jeśli nam każą; widzisz zresztą, że nie sami płyniemy.

Jakoż w promieniu oka widać było kilkanaście bajdaków, dombaz czyli tumbasów — i wązkich czarnych czółen kozackich, obszytych sitowiem, a zwanych pospolicie czajkami. Jedne z tych statków płynęły z wodą, unoszone bystrym prądem, drugie pięły się pracowicie w górę rzeki, wspomagane wiosłami i żaglem. Wiozły one rybę, воск, sól i suszone wiśnie do miast brzegowych, lub też wracały z okolic zamieszkałych obładowane zapasami żywności dla Kudaku i towarem, który chętny znajdował pokup na Kramnym bazarze w Siczy. Brzegi dniewprowe były już od ujścia Pszoły zupełną pustynią, na której gdzieniegdzie tylko bieleły kozackie zimowniki, ale rzeka stanowiła gościniec, łączący Sicz z resztą świata, więc też i ruch bywał na niej dość znaczny, zwłaszcza, gdy przybór wody ułatwiał żeglugę i gdy nawet Porohy, prócz Nienasytca, stawały się dla statków, idących w dół rzeki, możliwe do przebycia.

Namiestnik przypatrywał się z ciekawością temu życiu rzecznemu, a tymczasem bajdaki jego mknęły szybko ku Kudakowi. Mgła opa-

dła, brzegi zarysowały się wyraźnie. Nad głowami płynących ulatywały miliony ptactwa wodnego, pelikanów, dzikich gęsi, żórawi, kaczek i czajek, kulonów i rybitew; w oczere-tach przybrzeżnych słysząc było taki gwar, takie kotłowanie się wody i szum skrzydeł, że rzekłbyś, iż odbywają się tam sejmy lub wojny ptasie.

Brzegi za Krzemieńczugiem stały się niższe i otwarte.

— Patrz-no jegomość! — wykrzyknął nagle Rzędzian, — dyć to niby to słońce piecze, a śnieg leży na polach.

Skrzetuski spojrział: istotnie jak okiem sięgnął, jakiś biały pokład błyszczał w promieniach słońca po obu stronach rzeki.

— Hej starszy? a co to się tam bieli? spytał rotmana.

— Wiszni, pane!—odpowiedział starszy.

Były to istotnie lasy wiśniowe złożone z karłowatych drzew, któremi oba brzegi szeroko były za ujściem Pszoły porośnięte. Owoc ich słodki i wielki dostarczał jesienią pożywienia ptactwu, zwierzętom i ludziom zbłąkanym w pustyni, a zarazem stanowił przedmiot handlu, który wożono bajdakami aż do Kijowa

i dalej. Teraz lasy osypane były kwieciami. Gdy zbliżyli się do brzegu, by ludziom wioślnym dać wypoczynek, namiestnik z Rzędzianem wysiedli, chcąc się bliżej owym gajom przypatrzeć. Ogarnął ich tak upajający zapach, iż zaledwie mogli oddychać. Mnóstwo płatków leżało już na ziemi. Miejscami drzewka stanowiły gąszcz nieprzenikniony. Między wiśniami rosły także obficie dzikie karłowate migdały, okryte kwieciami różowem, wydającym jeszcze silniejszy zapach. Miljony trzmiełków, pszczoł i barwnych motylów unosiły się nad owym pstrem morzem kwiatów, którego końca nie można było dojrzeć.

— Cuda to panie, cuda, mówił Rzędzian. I czemu tu ludzie nie mieszkają? Zwierza tu także widzę dostatek.

Jakoż między krzakami wiśniowemi smykały zające szare, białe i niezliczone stada wielkich błękitnonogich przepiórek, których kilka Rzędzian z guldynki ustrzelił, ale ku wielkiemu umartwieniu dowiedział się potem od starszego, że mięso ich jest trucizną.

Na miękkiej ziemi widać też było ślady jeleni i suhaków, a zdala dochodziły odgłosy podobne do rechrania dzikich świń.

Podróżnicy napatrzywszy się i odpocząwszy, ruszyli dalej. Brzegi, to wznosiły się, to stawały się płaskie, odkrywając widok na śliczne dąbrowy, lasy, uroczyśka, mogiły i rozłożyste stepy. Okolica wydawała się tak przepyszną, że Skrzetuski mimowoli powtarzał sobie pytanie Rzędziana: czemu tu ludzie nie mieszkają? Ale na to trzeba było, by jaki drugi Jeremi Wiśniowiecki objął te pustynie, urządził i brocił od napadów tatarów i niżowych. Miejscami rzeka tworzyła łąchy, zakręty, zalewała jary, biła spienioną falą o skały brzeżne i wypełniała wodą ciemne jaskinie skalne. W takich to jaskiniach i zakrętach bywały kryjówki i schowania kozacze. Ujścia rzek, pokryte lasem sitowia, oczeretów i szuwarów, aż czerniły się od mnogości ptactwa, słowem: świat dziki, przepaścisty, miejscami zapadły a pusty i tajemniczy, roztoczył się przed oczyma naszych wędrowców.

Żegluga stała się przykrą, bo z powodu ciepłego dnia pokazały się roje zjadliwych komarów i rozmaitych nieznanych na suchym stepie insektów, a niektóre z nich na palec grube, ciurkiem krew po ukąszeniu puszczały.

Wieczorem przybyli do wyspy Romanówki, której ognie zdaleka było widać i zatrzymali się na nocleg. Rybacy, którzy przybiegli popatrzeć na poczet namiestnika, mieli koszule, twarz i ręce całkiem pomazane dziegciem, dla obrony od ukąszeń. Byli to ludzie grubych obyczajów i dzicy: na wiosnę zjeżdżali się tu tłumnie dla połowu i wędzenia ryb, które potem rozwozili do Czehryna, Czerkas, Perejasławia i Kijowa. Rzemiosło ich było trudne, ale zyskowne z powodu obfitości ryb, które latem stawały się nawet klęską tych okolic, zdychając bowiem dla braku wody po łąkach i tak zwanych „cichych kątach“, zarażały zgnilizną powietrze.

Dowiedział się od rybaków namiestnik, że wszyscy niżowcy, którzy również zajmowali się tu połowem, od kilku dni opuścili wyspę i udali się na Niż, wezwani przez atamana koszowego. Co noc też widywano z wyspy ognie, które palili na stepie zbiegowie na Sicz podążający. Rybacy wiedzieli, że gotuje się wyprawa „na lachiw“ i wcale nie ukrywali się z tem przed namiestnikiem. Widział tedy pan Skrzetuski, że jego ekspedycja może istotnie jest spóźnioną, może nim dojedzie do Si-

czy, pułki mołojców ruszą już na północ, ale kazano mu jechać, więc jako prawy żołnierz nie rozumował i postanowił dotrzeć choćby w środek zaporozkiego obozu.

Nazajutrz rano wyruszyli w dalszą drogę. Pominęli cudny Tareński róg, Suchą górę i Koński ostrog, sławny ze swoich bagien i mnóstwa gadzin, które go niezdatnym do mieszkania czyniły. Wszystko tu już, i dzikość okolicy i zwiększony pęd wód, zwiastowało bliskość porohów. Aż wreszcie wieża Kudacka zarysowała się na widnokręgu — pierwsza część podróży była skończona.

Namiestnik jednak nie dostał się tego wieczora do zamku, bo pan Grodzicki zaprowadził taki porządek, że gdy przed zachodem słońca wybito hasło—nie wpuszczano nikogo z zamku i do zamku, i gdyby nawet sam król przyjechał, musiałby nocować w Słobódce, stojącej pod wałami fortecy.

Tak też uczynił i namiestnik. Nocleg to był niezbyt wygodny, bo chaty w Słobódce których znajdowało się ze sześćdziesiąt, ulepione z gliny, tak były szczupłe, iż do niektórych okrakiem trzeba było wlażyć. Innych też nie opłacało się budować, bo je forteca za ka-

żdym napadem tatarskim w perzynę obracała, a to dla tego, by nie dawały napastnikom zasłony i bezpiecznego do wałów przystępu. Mieszkali w onej Słobódce ludzie „zachozi“, to jest przybłędowie z Polski, Rusi, Krymu i Wołoszy. Każdy tu był niemal innej wiary, ale tam o to nikt nie pytał. Gruntów nie wyrabiali dla niebezpieczeństwa od Ordy, żywili się rybą i zbożem dostawianem z Ukainy, pili palankę z prosa, a trudnili się rzemiosłami, dla których w zamku ich ceniono.

Namiestnik oka prawie zmrużyć nie mógł dla nieznośnego zapachu końskich skór, z których rzemienie w Słobódce wyprawiano. Nazajutrz, świtaniem, jak tylko wydzwoniono i na trąbach wygrano „rozbudzenie,“ dał znać do zamku, iż poseł książęcy przybył i prosi o przyjęcie. Grodzicki, który świeżo miał w pamięci wizytę książęcą, sam na jego spotkanie wyszedł. Byłto człowiek pięćdziesięcioletni, jednooki jak cyklop, posępny, bo siedząc w pustyni na końcu świata i nie widując ludzi, zdziczał, a sprawując nieograniczoną władzę, nabrał powagi i surowości. Twarz mu przytem zeszpeciła ospa a ozdobiły nacięcia szabel i blizny

od strzał tatarskich, podobne do białych piętn na ciemnej skórze. Był to jednak żołnierz szczery, czujny jak żóraw, który ustawicznie oczy miał w stronę tatarów i kozaków wyteżone. Pijał tylko wodę, nie sypiał jak siedm godzin na dobę, częstokroć zrywał się w nocy, by obaczyć, czy strażę dobrze wałów pilnują, i za najmniejsze niedbalstwo porywał na śmierć żołnierzy. Dla kozaków wyrozumiały choć groźny, zyskał sobie ich szacunek. Gdy zimą głodno bywało na Siczy, zbożem ich wspomagał. Był to rusin, pokroju tych, którzy swego czasu z Przecławem Lanckorońskim i Samkiem Zborowskim w stepy chodzili.

— To tedy waszmość na Sicz jedziesz? — pytał Skrzetuskiego, wprowadziwszy go poprzednio do zamku i uczęstowawszy gościnnie.

— Na Sicz. Jakie waszmość, mości komendancie, masz ztamtąd nowiny?

— Wojna! Ataman koszowy ze wszystkich ługów, rzeczek i wysp ściąga kozaków. Zbiegi z Ukrainy idą, którym przeszkadzam jak mogę. Wojska tam już jest na trzydzieści tysięcy, albo i więcej. Gdy na Ukrainę ruszą, gdy się z niemi grodowi kozacy i czerń połączą, będzie ich sto tysięcy.

— A Chmielnicki?

— Lada dzień z Krymu z tatarami spodziewany. Może już jest; prawdę rzec, niepotrzebnie waszmość do Siczy chcesz jechać, bo wkrótce tu się ich doczekasz; że zaś Kudaku nie miną, ani go za sobą nie zostawią, to pewno.

— A obronisz się waszmość?

Grodzicki popatrzył na namiestnika posępnie i odrzekł dobitnym spokojnym głosem:

— A ja się nie obronię...

— Jakto?

— Bo prochów nie mam. Mało dwadzieścia czołen posłałem, by mi choć trochę przysłano — i nie przysłano. Nie wiem li: przejęto gońców — czy sami nie mają — wiem, że dotąd nie przysłano. Mam na dwa tygodnie — na dłużej nie. Gdybym miał dosyć, pierwiejbym Kudak i siebie w powietrze wysadził, nim by tu noga kozacza postąpiła. Kazano mi tu leżyc — leżę, kazano czuwać — czuwam, kazano zęby wyszczerzać — wyszczerzam, a gdy zginać przyjdzie — raz maty rodyła — i to potrafię.

— A samże waszmość nie możesz prochów robić?

— Od dwóch już miesięcy zaporozcy saletry mi nie puszczają, którą od Czarnego morza przywozić trzeba. Wszystko jedno. Zginę!

— Uczyć się nam od was starych żołnierów. A gdybyś sam waszmość po prochy ruszył?

— Mosanie, ja Kudaku nie zostawię i zostawić nie mogę; tu mi było życie, tu niech śmierć będzie. Waś nie myśl także, że na bankiety i wspaniałe recepcye jedziesz, jakimi gdzieindziej posłów witają, albo że cię tam godność poselska osłoni. Toż oni własnych atamanów mordują, i od czasu jak tu siedzę, nie pamiętam, by który zczezł swoją śmiercią. Zginiesz i ty.

Skrzetuski milczał.

— Widzę, że duch w waćpanu gaśnie. To lepiej nie jedź.

— Mój mości komendancie, — rzekł na to z gniewem namietnik — wymyśl-że co lepszego, by mnie przestraszyć, bo to, co mi powiadasz, jużem słyszał z dziesięć razy, a kiedy mi radzisz nie jechać, to widzę, sambyś na mojem miejscu nie jechał — zważ przeto, czy ci nietylko prochów, ale i fantazyi do obrony Kudaku nie zbraknie.

Grodzicki zamiast się rozgniewać, spojrzał jaśniej na namiestnika.

— Zubastaja szczuka! — mruknął po rusińsku. — Przebacz mi waszmość. Z odpowiedzi twojej miarkuję, że potrafisz dignitatem księcia i stanu szlacheckiego utrzymać. Dam ci tedy parę czajek, bo bajdakami porohów nie przejedziesz.

— O to też przybyłem prosić waszmości.

— Koło Nienasytea każesz je ładem ciągnąć, bo choć woda duża, ale tam nigdy przejechać nie można. Ledwie się jakie małe czółenko przemknie. A gdy już będziesz na niskich wodach, tedy się pilnuj, by cię nie zaskoczono, i pamiętaj, że żelazo a ołów od słów wymowniejsze. Tam tylko śmiałych ludzi cenia. Czajki będą na jutro gotowe, każę tylko drugie rudle poprzyprawiać, bo jednego na porohach mało.

To rzekłszy, Grodzicki wyprowadził z izby namiestnika, by mu zamek i jego porządki pokazać. Wszędy panował wzorowy ład i karność. Straże dniem i nocą gęsto czuwały na wałach, które jeńcy tatarscy musieli bez przestanku wzmacniać i poprawiać.

— Co rok na łokieć wyżej wału sypię — rzekł pan Grodzicki—to też tak już urosł, że gdybym miał prochów dostatek i we sto tysięcy nicby mi nie zrobili; ale bez strzelby nie obronię, gdy przemoc przyjdzie.

Forteca była istotnie nie do zdobycia, bo prócz armat broniły jej dniewrowe przepaście i niedostępne skały pionowo zeskakujące w wodę; nie potrzebowała nawet wielkiej załogi. To też w zamku nie stało więcej nad sześćset ludzi, ale za to co najprzebrańszego żołnierza, uzbrojonego w muszkiety i samopały. Dniepr płynąc w tem miejscu ściśniętem korytem, tak był wązki, że rzucona z wałów strzała przelatywała daleko na drugi brzeg. Działa zamkowe panowały nad oboma brzegami i nad całą okolicą. Prócz tego o pół mili od zamku stała wysoka wieża, z której ośm mil w około widać było, a w niej stu żołnierzy, do których pan Grodzicki każdego dnia zaglądał. Ci spostrzegłszy w okolicy lud jaki, dawali natychmiast znać do zamku, a wówczas bito w dzwony i cała załoga wnet stawiała pod bronią.

— Prawie tygodnia niema—mówił pan Grodzicki—bez jakowegoś alarmu, bo tatarzy jak

wilki stadami, często po kilka tysięcy tu się włóczą, których z dział strychujemy jak można, a częstokroć tabuny dzikich koni strażę biorą za tatarów.

— I nie przykrzy się waszmości siedzieć na takim bezludziu? — pytał pan Skrzetuski.

— Choćby mi też na pokojach królewskich miejsce dano, tobym tu wolał. Więcej ja ztąd świata widzę, niżeli król ze swego okna w Warszawie.

Jakoż istotnie z wałów widać było niezmierną przestrzeń stepów, które teraz wydawały się jednym morzem zieloności; na północ ujście Samary, a na południe cały bieg dniewy, skały, przepaście, lasy, aż do pian drugiego porohu, Surskiego.

Pod wieczór zwiedzili jeszcze wieżę, gdyż Skrzetuski, pierwszy raz widząc tę zaginioną w stepach fortecę, wszystkiego był ciekawy. Tymczasem przygotowywano dla niego w Słobódce czajki, które opatrzone rudlami po obu końcach, stawały się zwrotniejsze. Nazajutrz rankiem miał wyruszyć. Ale przez noc nie kładł się prawie wcale spać, rozmyślając, co mu czynić przystoi wobec niechybnej zguby, którą mu groziło posłowanie do straszliwej Si-

czy. Życie uśmiechało mu się wprawdzie, bo był młody i kochał, i miał żyć obok ukochanej: wszelako od życia więcej honor i sławę kochał. Ale przyszło mu do głowy, że wojna bliska, że Helena czekając na niego w Rozłogach może być ogarnięta najokropniejszym pożarem, wystawiona na zapędy nietylko Bohuna, ale rozpętanej i dzikiej czerni, więc duszę porywała mu trwoga o nią i ból. Stepy musiały już podeschnąć, możnaby już pewno do Łubniów z Rozłogów jechać, a tymczasem on sam kazał Helenie i kniahini na swój powrót czekać, bo nie spodziewał się, by burza mogła wybuchnąć tak prędko, nie wiedział, czem grozi jazda do Siczy. Chodził więc teraz szybkimi kroki po zamkowej izbie, brodę targał i ręce łamał. Co miał począć, jak postąpić. W myśli widział już Rozłogi w ogniu, otoczone wyjącą czernią, więcej do szatanów niż do ludzi podobną. Własne jego kroki odbijały się posępnem echem pod sklepieniem zamkowym, a jemu wydało się, że to już złe moce po Helenę idą. Na wałach trąbiono gaszenie świateł, a jemu zdało się, że to odgłos Bohunowego rogu, i zębami zgrzytał i za głównię szabli

imał. Ach! czemuż to on naparł się tej ekspedycyi i Bychowca jej pozbawił.

Zauważył tę alteracyę pana Rzędzian, śpiący w progu, więc wstał, oczy przetaił, objaśnił pochodnie palące się w żelaznych obręczach i począł kręcić się po komnacie, chcąc zwrócić uwagę pana.

Ale namiestnik utonął całkowicie w swoich bolesnych myślach i chodził dalej, budząc krokami uśpione echa.

— Jegomość! hej jegomość!.. — rzekł Rzędzian.

Skrzetuski popatrzył na niego szklannym wzrokiem. Nagle zbudził się z zamyślenia.

— Rzędzian, boisz ty się śmierci?—spytał.

— Kogo? jak to śmierci? co jegomość mówi?

— Bo kto na Sicz jedzie, ten nie wraca.

— A to czemu jegomość jedzie?

— Moja wola, ty się w to nie wtrącaj, ale ciebie mi żal, boś dzieciuch, a chociażś frant, tam się frantowstwem nie wykręcisz. Wracaj do Czehryna, a potem do Łubniów.

Rzędzian zaczął się drapać w głowę.

— Mój jegomość, juści śmierci się boję, bo ktoby się jej nie bał, toby się Boga nie bał, gdyż jego to wola żywić kogoś albo umorzyć,

ale skoro jegomość dobrowolnie na śmierć leziesz, to już jegomościń będzie grzech jako pana, nie mój jako sługi, przeto ja jegomości nie opuszczę, bom też nie chłop żaden, jeno szlachcic, choć ubogi, ale też nie bez ambicyjej.

— Wiedziałem, żeś dobry pacholek, powiem ci jednak: nie chcesz po dobrej woli jechać, pojedziesz z rozkazu, bo już inaczej nie może być.

— Choćby mnie jegomość zabił, nie pojedę. Co to jegomość sobie myśli, że jest Judasz jaki czy co, żebym jegomości miał na śmierć wydawać.

Tu Rzędzian podniósł ręce do oczu i począł buczyć głośno, widział więc pan Skrzetuski, że tą drogą do niego nie trafi, a rozkazywać groźnie nie chciał, bo mu było chłopca żal.

— Słuchaj, rzekł do niego, pomocy mi żadnej nie dasz, ja przecie także dobrowolnie głowy pod miecz kładł nie będę, a do Rozłogów listy zawieszysz, na których mnie więcej jak na samym żywocie zależy. Powiesz tam jejmości i kniaziom, by zaraz, bez najmniejszej zwłoki panienkę do Łubniów odwieźli, bo ich inaczej rebelja zaskoczy—sam też dopilnujesz,

by się to stało. Ważną ci funkcję powierzam, przyjaciela godną, nie sługi.

— To niech jegomość kogo innego wyszle; z listem każdy pojedzie.

— A kogo ja tu mam zaufanego? czyś zgłupiał! To ci powtarzam: uratuj mi po dwa-kroć życie, a jeszcze mi takowej przysługi nie oddasz, gdyż w męce żyję, myśląc, co może się stać i od boleści skóra na mnie potnieje.

— O dla Boga! widzę, że muszę jechać, ale mi tak jegomości żal, że choćbyś mi jegomość ten kropiasty pas darował, zgolałbym się nie pocieszył.

— Będziesz pas miał, jeno spraw się dobrze.

— Nie chcę ja i pasa, byleś mi jegomość jechać ze sobą dozwolił.

— Jutro wrócisz czajką, którą pan Grodzicki do Czehryna wysyła, dalej bez zwłoki ni odpoczynku ruszysz prosto do Rozłogów. Tam kniahini nic nie mów, czy mi co grozi, ani panience, proś tylko, by zaraz choćby konno do Łubniów jechały, choćby bez tobołów żadnych. Oto masz trzos na drogę, listy zaraz ci napiszę.

Rzędzian padł do nóg namiestnika.

— Panie mój, zali nie mam cię ujrzeć więcej?

— Jak Bóg da, jak Bóg da!—odparł podnosząc go namiestnik; ale w Rozłogach wesołą twarz pokazuj.—Teraz idź spać.

Reszta nocy zeszła Skrzetuskiemu na pisaniiu listów i żarliwej modlitwie, po której zaraz przyleciał do niego anioł uspokojenia. Tymczasem noc zbladła i świt ubielił wązkie okienka od wschodu. Dniało — aż i różowe blaski wkradły się do komnaty. Na wieży i zamku poczęto grać poranne „wstawaj“. Wkrótce potem Grodzicki pojawił się w komnacie.

— Mości namiestniku—czajki gotowe!

— I jam też gotów, rzekł spokojnie Skrzetuski.



## ROZDZIAŁ X.

Lotne czajki mknęły z wodą jak jaskółki, niosąc młodego rycerza i jego losy. Z powodu wysokich wód porohy nie przedstawiały wielkiego niebezpieczeństwa. Minęli Surski, Łochanny, szczęśliwa fala przerzuciła ich przez Woronową zaborę, zgrzytnęły trochę czółna na Kniażym i Strzelczym, ale jeno się otarły, nie rozbiły, aż wreszcie w oddali ujrzeli piany i wiry strasznego Nienasytca. Tu już trzeba było wysiadać i czółna lądem ciągnąć. Praca długa i ciężka, zwykle zabierająca dzień cały. Na szczęście widocznie po dawnych przeprawach na całym brzegu leżało mnóstwo kłoców, które podkładano pod czółna, dla łatwiejszego toczenia ich po ziemi. W całej okolicy i na stepach nie było widać żywego ducha, na rzece ani jednej czajki, bo już nie mogły płynąć do Siczy inne, jak te jedynie, które pan Gro-

dzicki przez Kudak przepuścił, a pan Grodziecki umyślnie odciął Zaporozie od reszty świata. Ciszę przerywał więc tylko huk fali o skały Nienasytca. Przez czas, gdy ludzie toczyli czołna, pan Skrzetuski przypatrywał się temu dziwowisku natury. Straszny widok uderzył jego oczy. Przez całą szerokość rzeki biegło w poprzek siedm grobel skalistych sterczących nad wodą, czarnych, poszarpanych przez fale, które powylały w nich jakoby bramy i przejścia. Rzeka całym ciężarem wód tłukła o owe groble i odbijała się o nie, więc rozszalała, wściekła, zbита na białą, spienioną miazgę, usiłowała je przeskoczyć jak rumak rozłukany. Ale odparta raz jeszcze, nim mogła lunąć przez otwory, rzekłbyś gryzła zębem skały, skręcała się w bezsilnym gniewie w potworne wiry, wybuchwała słupami w górę, wrzała jak ukrop, ziała ze zmęczenia jak dziki zwierz. A potem znów huk jakby stu dział, wycie całych stad wilków, chrapanie, wysilenia i przy każdej grobli taż sama walka, tenże sam zamęt. Nad otchłanią wrzask ptactwa, jakby przerażonego widokiem, między groblami posępne cienie skał, drgające na kołbani, nakształt złych duchów.

Ludzie ciągnący czółna, lubo przyzwyczajeni, żegnali się pobożnie, przestrzegając namiestnika, by się zbyt nie zbliżał do brzegu. Były bowiem podania, że kto zbyt długo patrzył na Nienasytec, ten w końcu ujrzał coś takiego, od czego rozum mu się mieszał; twierdzono również, że czasem z wirów wynurzały się czarne długie ręce i chwytaly nieostrożnych, którzy zanadto się zbliżyli, a wtedy straszne śmiechy rozlegały się w przepaściach. Nocami nawet zaporożcy nie śmieli czółen przeciągać.

Do bractwa na Niżu nikt nie mógł być jako towarzysz przyjęty, kto porohów samotnie czółnem nie przebył, ale dla Nienasytea czyniono wyjątek, gdyż skały jego nigdy nie bwały zalewane. O jednym Bohunie ślepcy śpiewali, jakoby i przez Nienasytec się przekradł, wszelako nie dawano temu wiary.

Przeciąganie czółen zajęło blisko dzień czasu i słońce poczęło zachodzić, gdy namiestnik wsiadł znów do łodzi. Za to następne porohy przebyli z łatwością, bo całkiem były pokryte i wreszcie wpłynęli na „ciche wody niżowe.“

Po drodze, widział p. Skrzetuski na uroczyszczu kuczkasów olbrzymią mogiłę z białych kamieni, którą książę na pamiątkę swego po-

bytu kazał usypać, a o której pan Bogusław Maskiewicz w Łubniach mu opowiadał. Do Siczy ztąd nie było już daleko, ale że namiestnik nie chciał nocą wjeżdżać w czertomelicki labirynt, postanowił więc zanocować na Chor-tycy.

Chciał także spotkać jaką żywą duszę za-porozką i dać uprzednio znać o sobie, by wie-dziano, iż poseł, a nie kto inny przyjeżdża. Chortyca jednak zdawała się być pustą, co nie mało zdziwiło namiestnika, wiedział bowiem od Grodzickiego, że tam zawsze stawała zało-ga kozacka od intursyi tatarskiej. Puścił się nawet sam z kilkoma ludźmi dość daleko od brzegu na zwiady, ale całej wyspy przejść nie mógł, miała bowiem przeszło milę długości, a noc zapadała już ciemna i niezbyt pogodna, wrócił więc do czajek, które tymczasem powy-ciagano na piasek i porozpalano ognie na no-cleg od komarów.

Większa część nocy zeszła spokojnie. Seme-nowie i przewodnicy pośpili się przy ogniach—czuwały tylko strażę, a z nimi i namiestnik, którego od wyjazdu z Kudaku dręczyła stra-szna bezsenność. Czuł także, że trawi go go-rączka. Chwilami zdawało mu się, że słyszy

zbliżające się kroki z głębi wyspy, to znów jakieś dziwne odgłosy, podobne do odległego beczenia kóz. Ale myślał, że ucho go zwodzi.

Nagle, dobrze już ku świtaniu, stanęła przed nim jakaś ciemna postać.

Był to czeladnik ze straży.

— Panie, idą!—rzekł pośpiesznie.

— Kto taki?

— Pewnie Niżowi: idzie ich ze czterdziestu.

— Dobrze. To nie wielu. Zbudź ludzi! Ognia podpalić!

Semenowie wnet porwali się na nogi. Podsycony płomień buchnął w górę i oświecił czajki i garść żołnierzy namiestnika. Inni strażnicy przybiegli również do koła.

Tymczasem nieregularne kroki gromady ludzi dawały się już rozróżnić wyraźnie, kroki te zatrzymały się w pewnem oddaleniu; natomiast jakiś głos spytał z akcentem groźby:

— A kto na brzegu?

— A wy kto?—odparł wachmistrz.

— Odpowiadaj wraży synu, a nie, to z samopału zapytam!

— Jego wysokość pan poseł od J. O. księcia

Jeremiego Wiśniowieckiego do atamana koszo-  
wego—wygłosił donośnie wachmistrz.

Głosy w gromadzie umilkły; widocznie trwa-  
ła tam krótka narada.

— A chodź jeno sam tu!—zawołał wach-  
mistrz, nie bój się. Posłów nie biją, ale i posły  
nie biją!

Kroki znów ozwały się i po chwili kilka-  
dziesiąt postaci wynurzyło się z cienia. Po  
śniadej cerze, niskim wzroście i kozuchach  
wełną do góry, namiestnik od pierwszego wej-  
rzenia poznał, że po większej części byli to  
tatarzy; kozaków znajdowało się tylko kilku-  
nastu. Przez głowę pana Skrzetuskiego przele-  
ciała jak błyskawica myśl, że skoro tatarzy  
są na Chortycy, więc Chmielnicki musiał już  
wrócić z Krymu.

Na czele gromady, stał stary zaporoziec, ol-  
brzymiego wzrostu, o twarzy dzikiej i okru-  
tnej. Ten zbliżywszy się do ogniska spytał:

— A który tu poseł?

Silny zapach gorzałki rozszedł się dookoła  
—zaporoziec był widocznie pijany.

— Który tu poseł?—powtórzył.

— Jam jest—rzekł dumnie pan Skrzetuski.

— Ty?

— A cóżem ci brat, że mnie „ty“ mówisz?

— Znaj grubijanie politykę, poderwał wachmistrz, mówi się: Jasnie wielmożny pan poseł!

— Na pohybel-że wam, czortowy syny! szeczob was Sierpiachowa smert! jasno wielmożny syny. A wy po co do atamana?

— Nie twoja sprawa! wiedz jeno, że szyja twoja w tem, bym się do atamana najprędzej dostał.

W tej chwili drugi zaporoziec wysunął się z gromady.

— My tu z woli atamana, rzekł, pilnujem, by się nikt od „lachiw“ nie zbliżał, a kto się zbliży, mamy wiązać i dostawiać, co też uczynim.

— Kto dobrowolnie jedzie, tego nie będziesz wiązał!

— Budu, bo takij nakaz.

— A wiesz chłopie, co to osoba posła? a wiesz kogo tu przedstawiam?

W tem stary olbrzym przerwał:

— Zawedem posła, ale za borodu—ot tak!

To rzekłszy sięgnął ręką do brody namiestnika.

Ale w tej chwili jęknął i jakby gromem rażony, zwałił się na ziemię.

Namiestnik roztrzaskał mu głowę czekanem.

— Koli, koli!—zawyły wściekle głosy w gromadzie. Semenowie książęcy sypnęli się na ratunek swego wodza; huknęły samopały, wrzaski: „koli! koli!“ zlały się z szczękiem żelaza. Wszczęła się bitwa bezładna. Zdeptane w zamieszaniu ogniska zgasły i ciemność ogarnęła walczących. Wkrótce jedni i drudzy zwarli się tak, że zbrakło miejsca do cięcia, a noże, pięści i zęby zastąpiły szable.

Nagle z głębi wyspy ozwały się liczne, nowe nawoływania i krzyki; napastnikom nadchodziła pomoc.

Chwila jeszcze, a byłaby przyszła zapóźno, gdyż karni semenowie brali już górę nad ciżbą.

— Do czółen!—krzyknął grzmiącym głosem namiestnik.

Pocztowi wykonali rozkaz w mgnieniu oka. Na nieszczęście czajki zbyt silnie wciągnięte na piasek, nie dawały się teraz zepchnąć w wodę.

Tymczasem nieprzyjaciół skoczył z furją ku brzegowi.

— Ognia!—skomenderował pan Skrzetuski.

Salwa z muszkietów wnet powstrzymała napastników, którzy zmieszali się, skłębili i co-

ineli w nieładzie, zostawiając kilkanaście ciał rozciągniętych na piasku; niektóre z tych ciał rzucały się konwulsyjnie, nakształt ryb wyłowionych z wody i porzuconych na brzegu.

Jednocześnie przewoźnicy, wspomagani przez kilkunastu semenów, wsparłszy wiosła o ziemię, dobywali ostatnich sił, by zepchnąć statki na wodę—ale napróżno.

Nieprzyjaciół rozpoczął atak zdaleka. Pluskanie kul po wodzie zmieszało się ze świstem strzał i jękami rannych.

Tatarzy ałłachując coraz przeraźliwiej, zachęcali się wzajemnie; odpowiadały im krzyki kozaków: „koli! koli!“ i spokojny głos pana Skrzetuskiego, powtarzający coraz częściej komendę:

— Ognia!

Pierwszy brzask oświecił bladym światłem walkę. Od strony lądu widać było ciżbę kozaków i tatarów, jednych z twarzami przy kolbach *piszczeli*, drugich przegiętych w tył i ciągnących ciężki łuków—od strony wody dwie czajki dymiące i świecące ustawicznymi salwami wystrzałów. W środku leżały ciała spokojnie już porozciągane na piasku.

W jednym z czółen stał pan Skrzetuski, wyższy nad innych, dumny, spokojny, z porucznikowskim buzdyanem w rękę i z gołą głową, bo mu strzała tatarska zerwała czapkę.

Wachmistrz zbliżył się ku niemu i szepnął.

— Panie nie wytrzymamy—kupa za wielka!

Ale namiestnikowi chodziło już o to tylko, by poselstwo swoje krwią przypieczętować, pohańbienia godności nie dopuścić i zginąć nie bez sławy. Dla tego też, podczas gdy semenowie poczynili sobie z worów z żywnością rodzaj zasłon, z po za których razili nieprzyjaciela, on stał widny i na pociski wystawiony.

— Dobrze!—rzekł—wyginiem do ostatniego.

— Wyginiem batku!—krzyknęli semenowie.

— Ognia!

Czajki znów zadymiły. Z głębi wyspy poczęły napływać nowe tłumy zbrojne w spisy i kosy. Napastnicy rozdzielili się na dwie kupy. Jedna podtrzymywała ogień, druga złożona z dwustu przeszło mołojców i tatarów czekała tylko chwili stosownej do ręcznego ataku. Jednocześnie z szuwarów wyspy wysunęły się cztery czółna, które miały uderzyć na namiestnika z tyłu i z obu boków.

Zrobiło się już widno zupełnie. Dymy tylko porozciągały się długimi pasmami w spokojnem powietrzu i przesłaniały pobożowisko.

Namiestnik kazał zwrócić się dwudziestu semenom ku atakującym statkom, które gnane wiosłami, pędziły z chyżością ptactwa po spokojnej wodzie rzecznej. Ogień kierowany ku tatarom i kozakom, idącym z głębi wyspy, osłabł przez to znacznie.

Tego też zdawali się czekać.

Wachmistrz znów zbliżył się ku namiestnikowi.

— Panie! tatarzy biorą handzary w zęby— zaraz rzuca się na nas.

Jakoż trzystu blisko ordyńców z szablami w ręku, z nożami w zębach, gotowało się do ataku. Towarzyszyło im kilkudziesięciu zaporców zbrojnych w kosy.

Atak miał się rozpocząć ze wszystkich stron, bo napastnicze czoła przypląnęły już na strzał. Boki ich zakwitły dymami. Kule jak grad poczęły się sypać na ludzi namiestnika. Obie czajki napełniły się jękami. Po upływie kilkunastu minut połowa semenów poległa, reszta broniła się jeszcze rozpaczliwie. Twarze ich były zczerniałe od dymu, ręce ustawały, wzrok

mącił się, krew zalewała oczy, rury muszkietów poczynaly parzyć dłonie. Większa część była rannych.

W tej chwili wrzask straszny i wycie rozdarło powietrze. To ordyńcy ruszyli do ataku.

Dymy, spędzone ruchem masy ciał, rozproszyły się nagle i odsłoniły oczom dwie czajki namiestnika, pokryte czarniawym tłumem tatarów, niby dwa trupy końskie, rozdzierane przez stada wilków. Tłum ten parł, kotłował się, wył, wspinał, zdawał się walczyć sam ze sobą i ginął. Kilkunastu semenów dawało jeszcze odpór, a pod masztem stał pan Skrzetuski, z zakrwawioną twarzą, ze strzałą utkwioną aż po brzechwę w lewem ramieniu i bronił się z wściekłością. Postać jego wydawała się olbrzymią wśród otaczającego go tłumu, szabla migotała jak błyskawica. Uderzeniom odpowiadały jęki i wycie. Wachmistrz z drugim semenem pilnowali mu obu boków i tłum cofał się chwilami z przerażeniem przed tą trójką, ale pchany z tyłu, pchał się sam i marł pod ciosami szabel.

— Żywych brać! do atamana! — wrzeszczały głosy w tłumie. — Poddaj się!

Ale pan Skrzetuski poddawał się już tylko Bogu, bo oto pobił nagle, zachwiał się i runął na dno statku.

— Proszczaj bat'ku! — ryknął z rozpaczą wachmistrz.

Ale po chwili padł także. Ruchliwa masa napastników pokryła czajki zupełnie.



## ROZDZIAŁ XI.

W chacie kantarzeja \*) wojskowego, na przedmieściu Hassan Basza w Siczy, siedziało przy stole dwóch zaporozców, pokrzepiając się palanką z prosa, którą czerpali ustawicznie z drewnianego szaflika, stojącego na środku stołu. Jeden, stary już, prawie zgrzybiały, był to Fyłyp Zachar, sam kantarzej, drugi Anton Tatarczuk, ataman czehryńskiego kurzenia, człowiek około lat czterdziestu, wysoki, silny, z dzikim wyrazem twarzy i skośnemi tatarskimi oczyma. Obaj mówili z sobą z cicha, jakby w obawie, żeby ich kto nie podsłuchał.

— Więc to dziś?—spytał kantarzej.

— Ledwie nie zaraz, odpowiedział Tatarczuk. Czekają tylko na koszowego i Tuhaj

---

\*) Urzędnik wojskowy na Zaporozu, czuwający nad miarami i wagami w kramach, znajdujących się na tak zwanym Kramnym Bazarze w Siczy.

beya, który z samym Chmielem pojechał na Bazawłuk, bo tam stoi orda. Towarzystwo zebrało się już na majdanie, a kurzeniowi jeszcze przed wieczorem zbiorą się na radę. Nim noc nastanie, będzie wszystko wiadomo.

— Hm! może być źle!—mruknął stary Fyłyp Zachar.

— Słysz kantarzeju, a ty wiedział, że było pismo i do mnie?

— Jużci wiedziałem, bom sam listy odnosił do koszowego, a jam człowiek piśmienny. Znaleźli przy lachu trzy pisma; jedno do samego koszowego, drugie do ciebie, trzecie do młodego Barabasza. Wszyscy już w Siczy wiedzą o tem.

— A kto pisał? nie wiesz?

— Do koszowego pisał ksiązę, bo na liście była pieczęć; kto do was, nie wiadomo.

— Sochroni Bih!

— Jeźlić cię tam jawnie przyjacielem lachów nie nazywają, to nic nie będzie.

— Sochroni Bih!—powtórzył Tatarczuk.

— Widać się poczuwasz.

— Tfu! Do niczego się nie poczuwam.

— Może też koszowy wszystkie listy skre-  
ci, bo mu i o własny łeb chodzi. Było tak do-  
brze do niego pismo, jak do was.

— A może.

— Ale jeżeli się poczuwasz, to.....

Tu stary kantarzej zniżył głos jeszcze bar-  
dziej:

— Uchodź!

— Ale jak? i gdzie?—pytał niespokojnie Ta-  
tarczuk. Koszowy na wszystkich ostrowach  
straż postawił, żeby się nikt do lachów nie  
wymknął i nie dał znać, co się dzieje. Na Ba-  
zawłuku pilnują tatarzy. Ryba się nie przeci-  
śnie, ptak nie przeleci.

— To się skryj w samej Siczy, gdzie mo-  
żesz.

— Znajdą. Chyba ty mnie schowasz mię-  
dzy beczkami w bazarze? ty mój krewniak!

— I brata rodzonego nie chowałbym. Boisz  
się śmierci, to się upij; pijany ani poczujesz.

— A może w listach nic nie ma?

— Może.....

— Ot bieda! ot bieda!—rzekł Tatarczuk. Nie  
poczuwam się do niczego. Ja dobry mołojec, la-  
chom wróg! Ale choćby i nic w liście nie było,

czort wie, co lach powie przed radą? Może mnie zgubić.

— To serdyty lach!—on nic nie powie!

— Byłeś dziś u niego?

— Byłem. Pomazałem mu rany dziegciem; na-  
lałem gorzałki z popiołem w gardło. Będzie  
zdrow. To serdyty lach! Mówią, że tatarów  
narzwał na Chortycy, nim go wzięli, jak świń.  
Ty o lacha bądź spokojny.

Ponury odgłos kotłów, w które bito na ko-  
szowym majdanie, przerwał dalszą rozmowę.  
Tatańczuk, usłyszawszy ten odgłos, drgnął  
i zerwał się na równe nogi. Nadzwyczajny  
niepokój malował się w jego twarzy i ruchach.

— Biją wezwanie na radę, rzekł, łowiąc  
ustami oddech... Sochroni Bih! Ty Fytyp, nie  
mów, o czym ja z tobą tu gadał. Sochroni Bih!

To rzekłszy, Tatańczuk chwycił szaflik z pa-  
lanką, przechylił go obiema rękami do ust  
i pił, pił, jakby chciał się na śmierć zapić.

— Chodźmy!—rzekł kantarzej.

Odgłos kotłów huczał coraz donośniej.

Wyszli. Przedmieście Hassan Basza oddzie-  
lone było od majdanu tylko wałem opasującym  
kosz właściwy i bramą z wysoką basztą, na  
której widać było paszcze zatoczonych dział.

W środku przedmieścia stał dom kantarzeja i chaty atamanów kramnych, naokół zaś dość obszernego placu szopy, w których mieściły się kramy. Były to wogóle nędzne budowy, klecone z bierwion dębowych, których w obfitości dostarczała Chortyca, a poszyte gałęziami i oczeretem. Same chaty, nie wyłączając kantarzejowej, podobniejsze były do szałasów, bo tylko dachy ich wznosiły się nad ziemią. Dachy te były czarne i zakopcone, gdyż jeżeli w chacie palono ogień, dym wydobywał się nie tylko górnym otworem dachu, ale i przez całe poszycie, a wówczas można było mniemać, że to nie chata, jeno kupa gałęzi i oczeretów, w której wytapiają smołę. W chatach panowała wieczna ciemność, dla tego podtrzymywano w nich ustawicznie ogień z łuczywa i ze skarp dębowych. Szop kramnych było kilkadziesiąt i dzieliły się na kurzeniowe, to jest stanowiące własność pojedynczych kurzeniów i gościnne, w których w chwilach spokoju handlowali niekiedy tatarzy i wołosi, jedni skórami, tkaninami wschodniemi, bronią i wszelkiego rodzaju zdobyczą, drudzy przeważnie winem. Ale gościnne kramy rzadko były zajęte, gdyż kupno zmieniało się najczęściej w tem

dzikiem gnieździe na rabunek, od którego kantarzej, ani kramni atamanowie, nie mogli tłumów powstrzymać. Między szopami stało także trzydzieści ośm szynków kurzeniowych, a przed nimi leżeli zawsze wśród śmieci, wiórów, kłód dębowych i kup końskiego nawozu pół martwi z przepicia się zaporozcy, jedni w kamiennym śnie pogrążeni, drudzy z pianą na ustach, w konwulsjach lub atakach delirium. Inni półpijani, wyjąc kozackie pieśni, spluwając, bijąc się lub całując, przeklinając kozaczy los, lub płacząc na kozaczą biedę, deptali po głowach i piersiach leżących. Dopiero z chwilą, gdy wyruszała jaka wyprawa na tatarów lub Ruś, nakazywano trzeźwość i wówczas należących do wyprawy śmiercią karano za pijaństwo. Ale w zwykłych czasach, zwłaszcza na Kramnym bazarze, prawie wszyscy byli pijani: kantarzej i atamanowie kramni, sprzedający i kupujący. Kwaśny zapach nieszumowanej wódki, w połączeniu z zapachem smoły, ryb, dymu i końskich skór, nasyczał wiecznie powietrze na całym przedmieściu, które wogóle pstrocizną kramów przypominało jakąś mieścinę turecką lub tatarską. Sprzedawano w nich wszystko, co się gdziekolwiek w Krymie, na Wołoszczy-

źnie lub wybrzeżach anatolskich dało zrabować. Więc jaskrawe tkaniny wschodnie, lamy, altembasy, złotogłowa, sukno, cyc, drelich i płótno, potrzaskane działa spiżowe i żelazne, skóry, futra, suszoną rybę, wiśnie i bakalie tureckie, naczynia kościelne, mosiężne półksiężyce złupione z minaretów i pozłacane krzyże zdarte z cerkwi \*), proch i broń sieczną, kije do spis i siodła. A między tą mieszaniną przedmiotów i barw kręcili się ludzie, poprzybierani w szczątki najrozmaitszej odzieży, latem półnaczy, zawsze półdzicy, okopceni od dymu, czarni, uwalani w błocie, pełni ciekących ran od ukąszeń olbrzymich komarów, których miryady unosiły się nad Czertomelikiem—i jako się rzekło wyżej: wiecznie pijani.

W tej chwili całe Hassan Basza jeszcze pełniejsze było ludzi, niż zwykle; zamykano kramy i szynki, wszyscy zaś spieszyli na majdan siczowy, na którym miała się odbywać ra-

---

(\*) Zaporozcy w czasie swych napadów nie oszczędzali nikogo i niczego. Do czasów Chmielnickiego nie było wcale cerkwi w Siczy. Pierwszą właśnie Chmielnicki wystawił; nie pytano tam również nikogo o wyznanie i to co opowiadają o religijnym nastroju Niżowców jest bajką.

da. Fyłyp Zachar i Anton Tatarczuk szli z innymi, ale ten ostatni ociągał się, szedł leniwo i pozwalał się wyprzedzać tłumom. Coraz żywszy niepokój malował się w jego twarzy. Tymczasem przeszli przez most na fosie, następnie przez bramę i znaleźli się na obszernym obronnym majdanie, otoczonym przez trzydzieści ośm wielkich drewnianych budynków. Były to Kurzenie, a raczej domy kurzeniowe, rodzaj koszar wojskowych, w których mieszkali kozacy. Kurzenie owe, jednej wielkości i miary, niczem nie różniły się od siebie, chyba nazwami przybranymi od rozmaitych miast ukraińskich, od których brały nazwę także i pułki. W jednym kącie majdanu wznosił się dom radny; zasiadali w nim atamani pod wodzą koszowego, tłumy zaś, czyli tak zwane „towarzystwo“ obradowało pod gołym niebem, wysyłając co chwilę deputacye do starszyzny, a czasem wdzierając się gwałtem do radnego domu i terroryzując obrady.

Na majdanie ciżba już była ogromna, poprzednio bowiem ataman koszowy pościagał do Siczy wszystkie wojska rozproszone po wyspach, rzeczkach i „ługach“, *towarzystwo* zatem

było liczniejsze niż zwykle. Słońce kłoniło się ku zachodowi, więc wcześniej zapalono kilkanaście beczek ze smołą; tu i owdzie stały także beczki z wódką, które każdy kurzeń dla siebie wytaczał, a które nie mało dodawały energii obradom. Porządku między kurzeniami pilnowali esaulowie, zbrojni w tęgie kije dębowe, dla hamowania obradujących—i w pistolety, dla obrony własnego życia, które często bywało w niebezpieczeństwie.

Fyłyp Zachar i Tatarczuk weszli prosto do domu obrad, gdyż jeden jako kantarzej, drugi jako ataman kurzeniowy, mieli prawo zasiadać między starszyzną. W izbie radnej, był tylko jeden mały, stół, przed którym siedział pisarz wojskowy. Atamanowie i Koszowy, mieli swoje miejsca na skórach pod ścianami. Ale w tej chwili miejsca nie były jeszcze zajęte. Koszowy chodził wielkimi krokami po izbie, kurzeniowi zaś zebrani w małe gromadki, rozmawiali z cicha, przerywając sobie od czasu do czasu głośniejszemi klątwami. Tatarczuk zauważył, że znajomi nawet i przyjaciele, udają, iż go nie widzą, zbliżył się przeto zaraz do młodego Barabasza, który mniej więcej w takim samem był położeniu. Inni spoglądali na nich

z podełbów, z czego młody Barabasz nie wiele sobie robił, nie rozumiejąc dobrze o co idzie. Był to człowiek wielkiej piękności i nadzwyczajnej siły, której jedynie zawdzięczał swój stopień kurzeniowego atamana, bo zresztą słynął w całej Siczy ze swej głupoty. Zjednała mu ona nawet przydomek Durnego atamana i przywilej budzenia śmiechów każdym słowem, między starszyzną.

— Poczekawszy trochę, taj może i pójdziem z kamieniem u szyi w wodę!—szepnął mu Tarczuk.

— A bo co?—spytał Barabasz.

— A to nie wiesz o listach?

— Trastia maty mordowała! Czy to ja pisałem jakie listy?

— Obacz jak spoglądają na nas z podełbów.

— Kołyb ja którego w łeb, toby nie patrzył, boby mu ślepie wypłynęły.

Tymczasem krzyki z zewnątrz dały znać, że coś zaszło. Jakoż drzwi izby radnej otworzyły się szeroko i wszedł Chmielnicki z Tuhaj-beyem. Ich to witano tak radośnie. Kilka miesięcy temu, Tuhaj-bey, jako najwaleczniejszy z murzów i postrach niżowców, był przedmio-

tem strasznej nienawiści w Siczy — teraz „towarzystwo“ rzucało czapki w górę na jego widok, uważając go jako dobrego przyjaciela Chmielnickiego i zaporozców.

Tuhaj-bey wszedł naprzód, a za nim Chmielnicki z buławą w rękę, jako hetman wojsk zaporozkich. Godność tę piastował od czasu jak wrocił z Krymu, z wyjednanemi od chana posiłkami. Tłumy porwały go wówczas na ręce i odbiwszy skarbnicę wojskową, przyniosły mu buławę, chorągiew i pieczęć, które zwykle przed hetmanem noszono. To też zmienił się niemało. Widać było, że nosił w sobie straszliwą siłę całego Zaporozża. Nie był to już Chmielnicki pokrzywdzony, uciekający na Sicz przez Dzikie pola, ale Chmielnicki hetman, krwawy duch, olbrzym, mściciel własnej krzywdy na milionach.

A jednak nie zerwał łańcuchów, włożył tylko nowe, cięższe. Widać to było z jego stosunku z Tuhaj-beyem. Ten hetman Zaporozża, w sercu Zaporozża brał drugie miejsce za tatarzem, znosił w pokorze jego dumę i pogardliwe nad wszelki wyraz obejście. Był to stosunek lennika do zwierzchniego pana. Ale tak musiało być. Chmielnicki cały swój kredyt u ko-

zaków zawdzięczał tatarom i łasce chanowej—której przedstawicielem był dziki i wściekły Tuhaj-Bey. Ale Chmielnicki umiał godzić dumę rozsadzającą mu pierś z pokorą, tak dobrze jak odwagę z chytrnością. Był to lew i lis, orzeł i wąż. Pierwszy to raz od początku kozaczyzny, tatar poczynął sobie jak pan w środku Siczy—ale takie czasy przyszły. „Towarzystwo“ rzuciło przecie czapki w górę na widok pohańca. Takie czasy nadeszły.

Narada się rozpoczęła. Tuhaj-bey zasiadł w środku, na grubszym pęku skór i podwinąwszy nogi, począł gryźć suszone ziarnka słoneczników i wypluwać żółte skorupki przed siebie na środek izby. Po prawej jego stronie zasiadł Chmielnicki z buławą, po lewej koszo-  
wy, a ataman i deputacya od „towarzystwa“ dalej, pod ścianami. Uciszyły się rozmowy, z zewnątrz tylko przychodził gwar i głuchy szum tłuszczy obradującej pod gołym niebem, podobny do szumu fal. Chmielnicki począł mówić: <sup>1)</sup>

---

(1) Sposób obradowania na Siczy opisany jest w dyaryuszu Eryka Lassoty, posła cesarskiego na Zapo-  
roże w r. 1594.

— Moście panowie! Z łaski, przychylności, i „dyszkrecyi“ Najjaśniejszego carza krymskiego, pana wielu ludów, pokrewnego ciałom niebieskim, z pozwolenia miłościwego króla Władysława i dobrej ochoty odważnych wojsk zaporozkich, ufni w naszą niewinność i sprawiedliwość bożą, idziemy pomścić strasznych i okrutnych krzywd naszych, które po chrześcijańsku cierpielśmy, pókiśmy mogli, od nieszczerých lachów, komisarzy, starostów i ekonomów i całej szlachty. Nad którymi krzywdami jużście moście-panowie i całe wojsko zaporozkie wiele łez wyleli i mnie dla tego buławę dali, abym się za niewinność naszą i całych wojsk snadniej mógł upominać. Co ja uważając za wielką łaskę moście-panów dobrodziei moich, najjaśniejszego carza o pomoc prosić jechałem, którą nam ofiarował. Ale będąc w gotowości

ochocie, nie małam się zasmucić, słysząc, iż mogą być między nami zdrajcy, którzy z nieszczeremi lachami w komitywę wchodzą i o naszej gotowości im donoszą—co jeśliby tak było, tedy ukarani być mają, wedle woli i dyszkrecyi moście panów. A my prosim, abyscie listów wysłuchali, które tu poseł od *niedruga* naszego, księcia Wiśniowieckiego przywiózł,

nie posłem, ale szpiegiem będąc i gotowość naszą i dobrą ochotę Tuhaj-beya naszego przyjaciela chcąc podpatrzyć i przed lachami zdradzić. Co, abyście także osądzili, jeśli ma być ukarany, jak i ci, do których listy przywiózł, a o których Koszowy, jako wierny przyjaciel mój, Tuhaj-beya i całego wojska, zaraz nas uwiadomił.

Chmielnicki umilkł; gwar za oknami powiększał się coraz bardziej, więc pisarz wojskowy wstał i zaczął czytać naprzód pismo książęce do Koszowego atamana, zaczynające się od słów: „My, po Bożej myłości, kniaź i hospodyn, na Łubniach, Chorolu, Przyłuce, Hadziaczu etc., wojewoda ruski etc., starosta etc.“ Pismo było czysto urzędowe. Książę zasłyszawszy, iż wojska z „Ługów“ są ściągane pytał atamana, czyby to była prawda i wzywał go zarazem, aby tego dla spokojności krajów chrześcijańskich zaniechał. Chmielnickiego zaś, jeśliby Sicz podburzał, aby komisarzom wydał, którzy sami się o to upomną. Drugi list był pana Grodzickiego, również do wielkiego atamana, trzeci i czwarty Zaćwilichowskiego i starego pułkownika czerkaskiego do Tarczuka i Barabasza. We wszystkich nie

znajdowało się nie, coby mogło podawać w podejrzenie osoby, do których były adresowane. Zaćwilichowski prosił jedynie Tatarczuka, aby zaopiekował się oddawcą listu i aby ułatwił mu wszystko, czegoby poseł zażądał.

Tatarczuk odetchnął.

— Co mówicie, mości panowie, o tych pi-smach?— spytał Chmielnicki.

Kozacy milczeli. Wszelkie obrady, dopóki wódka nie rozgrzała głów, zaczynały się zawsze w ten sposób, iż żaden z atamanów nie chciał pierwszy głosu zabrać. Jako ludzie prości a chytry, czynili to głównie z obawy wyrwania się z głupstwem, któreby mogło wnioskodawcę na śmiech narazić lub zjednać mu na całe życie szyderczy przydomek. Bo tak i bywało w Siczy, gdzie wśród największego prostactwa, zmysł do przedrwiwania niesłychanie był rozwinięty, również jak obawa przed szyderstwem.

Kozacy tedy milczeli. Chmielnicki znowu głos zabrał.

— Ataman koszowy, brat nasz i szczerzy przyjaciel. Ja atamanowi tak wierzę, jak duszy własnej, a ktoby co innego powiadał, ten-

by sam zdradę zamyślał. Ataman stary druh i żołnierz.

To rzekłszy, wstał i ucałował koszowego.

— Moście panowie!—rzekł na to koszowy— ja wojska ściagam, a hetman niech prowadzi; co do posła, kiedy go do mnie przysłali, to on mój, a kiedy mój, to wam go daruję.

— Wy moście panowie deputacya, pokłońcie się atamanowi — rzekł Chmielnicki — bo on sprawiedliwy człowiek, i idźcie powiedzieć „towarzystwu“ że jeśli kto jest zdrajca, to nie on zdrajca; on pierwszy strażę postawił, on sam kazał łapać zdrajców, coby do lachów uciekali, albo od lachów szli. Wy panowie deputacya powiedzcie, że nie on zdrajca, że on najlepszy z nas wszystkich.

Panowie-deputacya pokłonili się w pas na-przód Tuhaj-beyowi, który przez cały czas z największą obojętnością żuł swoje ziarnka słoneczników, następnie Chmielnickiemu, Koszowemu — i wyszli z izby.

Po chwili wrzaski radosne za oknami dały znać, że deputacya spełniła polecenie.

— Niech żyje nasz koszowy! niech żyje koszowy!—wołały chrapliwe głosy z taką siłą, że aż ściany izby zdawały się drżeć w posadach.

Jednocześnie huknęły wystrzały z samopalmów i piszczeli.

Deputacya wróciła i znowu zasiadła w kącie izby.

— Moście panowie!—rzekł Chmielnicki, gdy uciszyło się cokolwiek za oknami. — Już wy mądrze osądzili, że koszowy ataman człowiek sprawiedliwy. Ale jeśli ataman nie zdrajca, to kto zdrajca? Kto ma przyjaciół między lachami, z kim oni w konszachty wchodzą, do kogo listy pisują? komu osobę posła zlecają? kto zdrajca?

To mówiąc Chmielnicki, podnosił głos coraz wyżej i strzygł złowrogo oczyma w stronę Tatarczuka i młodego Barabasza, jakby chciał ich wskazać wyraźnie. W izbie powstał szmer, kilka głosów poczęło wołać: „Barabasz i Tatarczuk!“ Niektórzy kurzeniowi powstali z miejsc, między deputacyą dały się słyszeć wołania: „na pohibel!“

Tatarczuk zbladł, a młody Barabasz począł spoglądać zdumionemi oczyma po obecnych. Leniwa myśl jego siliła się przez niejaki czas odgadnąć, za co go oskarżają, nakoniec rzekł:

— Ne bude sobaka miasa isty!

To rzekłszy, wybuchnął śmiechem idyoty, a za nim i inni. I nagle większa część kurzeniowych poczęła się śmiać dziko, sama nie wiedząc dlaczego.

Z za okna dochodziły krzyki coraz głośniejsze, widać tam wódka poczęła rozgrzewać już głowy. Szum fali ludzkiej potężniał z każdą chwilą.

Ale Anton Tatarczuk wstał i zwróciwszy się do Chmielnickiego, począł mówić:

— Co ja wam zrobił, mości hetmanie zaporozki, że na śmierć moją nastajecie? W czym ja wam winien? Pisał do mnie komisar Zaćwilichowski list—taj co? To i kniaź pisał do koszowego! A czy ja odebrał list? Nie! A jakby odebrał, tak coby zrobił? Ot poszedłby do *pysara* i kazałby sobie przeczytać, *bo ni pisa-ty, ni czytaty ne znaju*. I wy by zawsze wiedzieli, co w liście. A lacha ja i na oczy nie widział. Tak czy ja zdrajca? Hej bracia zaporozcy, Tatarczuk chodził z wami do Krymu, a jak chodzili na Wołoszę, to chodził na Wołoszę; jak chodzili pod Smoleńsk, to chodził pod Smoleńsk,—bił się z wami, dobrymi mołojcami, żył z wami, dobrymi mołojcami,—i krew

przelewał z wami, dobrymi mołojcami — i głodem marł z wami, dobrymi mołojcami, tak on nie lach, nie zdrajca, ale kozak, wasz brat, a jeśli pan hetman na śmierć jego nastaje, to niech powie czemu nastaje! co ja mu zrobił, w czym nieszczerłość okazał?—a wy bracia pomóżcie i sądźcie sprawiedliwie!

— Tatarczuk dobry mołojec! Tatarczuk sprawiedliwy człowiek!—ozwało się kilka głosów.

— Ty Tatarczuk dobry mołojec, rzekł Chmielnicki—i ja na ciebie nie nastaje, boś ty mój druh i nie lach, ale kozak, nasz brat. Bo gdyby lach był zdrajca, to jabym się nie smucił i nie płakał, ale jeśli dobry mołojec zdrajca, mój druh zdrajca, to mnie ciężko na sercu i żal dobrego mołojca. A skoroś w Krymie i na Wołoszy i pod Smoleńskiem bywał — to jeszcze większy twój grzech, żeś teraz nieszczerze chciał gotowość i ochotę wojsk zaporozkich przed lachem zdradzić! Tobie pisali, byś ty mu ułatwił, czego by zażądał, a powiedźcie moście panowie atamani, czego by lach mógł żądać? Czy nie śmierci mojej i mojego życzliwego przyjaciela Tuhaj-beya? Czy nie zguby wojsk zaporozkich? Tak ty Tatarczuk winien

i już niczego innego nie dokażesz. A do Barabasza pisał stryj jego, pułkownik czerkaski, Czaplńskiemu druh i lachom druh, którego przywileje u siebie chował, by ich wojsko zaporozkie nie dostało, co gdy tak jest, a klę się Bogiem, że nie inaczej jest, więc wy oba winni i proście pomiłowania atamanów, a ja z wami prosić będę, chociaż ciężka wasza winna i zdrada jawna.

Tymczasem z za okna dochodził już nie szum i gwar, ale jakby łoskot burzy. Towarzystwo chciało wiedzieć, co dzieje się w izbie radnej i wysłało nową deputacyę.

Tatańczuk poczuł, że jest zgubiony. Teraz przypomniawszy sobie, że tydzień temu przemawiał wśród atamanów przeciw oddaniu buławy Chmielnickiemu i przymierzowi z tatarami. Zimne krople potu wystąpiły mu na czoło: zrozumiał, że już niema ratunku. Co do młodego Barabasza, jasne było, iż gubiąc go, Chmielnicki chciał zemścić się nad starym pułkownikiem czerkaskim, którego synowca swego kochał głęboko. Jednakże Tatańczuk nie chciał umierać. Nie bładłby on przed szablą, przed kulą, nawet przed palem, — ale śmierć taka, jaka go czekała, przerażała go do szpiku kości, więc korzy-

stając z chwili ciszy, która zapanowała po słowach Chmielnickiego, krzyknął rozpaczliwie:

— Na imię Chrysta! bracia atamany, druhy serdeczne, nie gubcie niewinnego, toż ja lacha nie widział, nie gadał z nim! Pomilujcie bracia! Nie wiem, czego by lach odemnie chciał, pytajcie go sami! Ja klę się Chrystem, Spasem, Świętą Przczystą, Świętym Mikołajem cudotwórcą, świętym Michałem Archaniołem, że duszę niewinną zgubicie!

— Przyprować lacha!—zawołał stary kantarzej.

— Lacha, tu, lacha!—wołali kurzeniowi.

Wszczęło się zamieszanie; jedni rzucili się do przyległej izby, w której więzień był zamknięty, by przywieść go przed radę, drudzy zbliżali się groźnie do Tatarczuka i Barabasza. Pierwszy Hładki, ataman mirgorodzkiego kurzenia, krzyknął: „na pohibel!“ Deputacya powtórzyła okrzyk, Czarnota zaś skoczył ku drzwiom i otworzywszy je, wołał do zgromadzonego tłumu:

— Moście panowie towarzystwo, Tatarczuk zdrajca i Barabasz zdrajca—na pohibel im!

Tłuszcza odpowiedziała wyciem straszliwem. W izbie wszczęło się zamieszanie. Wszyscy

kurzeniowi powstali ze swych miejsc. Jedni wołali: „lacha! lacha!“ inni starali się rozruch uciszyć, a w tem drzwi pod naciskiem tłumu roztworzyły się na oścież i do środka wpadła tłuszcza, obradująca na dworze. Straszliwe postacie, upojone wściekłością, napełniły izbę, wrzeszcząc, wywijając rękoma, zgrzytając zębami i zionąc zapach gorzałki: „Smert Tatarczuku! i Barabasz! na pohibel! Dawajcie zdrajców! na majdan z niemi!“ krzyczały pijane głosy: „Bij! ubij!“ i setki rąk wyciągnęły się w tej chwili po nieszczęsne ofiary. Tatarczuk nie stawiał oporu, jęczał tylko przeraźliwie, ale młody Barabasz począł bronić się ze straszną siłą. Zrozumiał nakoniec, że go chcą zamordować; strach, rozpacz i wściekłość odbiły się na jego twarzy; piana okryła mu wargi, z piersi wydobył się ryk zwierzęcy. Po dwakroć wyrywał się z rąk oprawców, i po dwakroć ręce ich chwytaly go za ramiona, za pierś, za brodę i osełdec; on szamotał się, kasał, ryczał, upadał na ziemię i znów podnosił się okrwawiony, straszny. Podarto na nim ubranie, wyrwano mu osełdec z głowy, wybito oko, nakoniec przygniecionemu do ściany, złamano rękę. Wówczas padł. Oprawcy porwali

go za nogi i wraz z Tatarczukiem wywlekli na majdan. Tam dopiero, przy blasku smolistych beczek i stosów ognia, rozpoczęła się dorażna egzekucya. Kilka tysięcy ludzi rzuciło się na skazanych i darło ich w sztuki, wyjąc i walcząc ze sobą o przystęp do ofiar. Deptano ich nogami, wyrywano kawały ciała; ciżba tłoczyła się koło nich tym strasznym, konwulsyjnym ruchem rozszalałych mas. Chwilowo krwawe ręce podnosiły w górę dwie bezkształtne, nie podobne już do ludzkich postaci bryły, to znowu ciskano je na ziemię. Dalej stojący wrzeszczeli w niebogłoso, jedni, żeby wrzucić ofiary w wodę, drudzy, by je wtłoczyć w beczki palącej się smoły. Pijani rozpoczęli bójkę ze sobą. Z szaleństwa zapalono dwie kufy z wódką, które oświeciły tę piekielną scenę, drgającym błękitnem światłem. Z nieba patrzył na nią także księżyc cichy, jasny, pogodny.

Tak „towarzystwo“ karało swoich zdrajców.

A w izbie radnej, z chwilą jak kozactwo wywlekło za drzwi Tatarczuka i młodego Barabasza, uciszyło się znowu i atamani zajęli dawne miejsca pod ścianami, bo z przyległego alkierza przyprowadzono więźnia.

Cień padał na jego twarz, gdyż i ogień na kominie przygasł — i w pół świetle widać było tylko wyniosłą postać, trzymającą się prosto i dumnie, choć ręce jej związane były łykiem. Ale Hładki dorzucił wiązkę łuczywa, po chwili bujny płomień strzelił w górę i oblał jasnym światłem oblicze więźnia, który zwrócił się ku Chmielnickiemu.

Ujrzawszy go Chmielnicki, drgnął.

Więzień, był to pan Skrzetuski.

Tuhaj-bey wypuł łuskwiny słoneczników i mruknął po rusińsku:

— Ja toho lacha znaju—on buw u Krymu.

— Na pohibel mu!—zawołał Hładki.

— Na pohibel!—powtórzył Czarnota.

Chmielnicki opanował już wrażenie. Powiódł tylko oczyma po Hładkim i Czarnocie, którzy pod wpływem tego wzroku umilkli, następnie zwróciwszy się do koszowego, rzekł:

— I ja jeho znaju.

— Ty zkąd? — spytał koszowy Skrzetuskiego.

— W poselstwie jechał do ciebie, atamanie koszowy, gdy mnie zbójcy na Chortycy napadli i wbrew obyczajom, obserwowanym u naj-

dzikszyc narodów, ludzi mi wybili, a mnie, nie bacząc na godność mą poselską i urodzenie, zranili, znieważyli i jako jeńca tu przywiedli, o co pan mój J. O. książę Jeremi Wiśniowiecki będzie się umiał u ciebie, atamanie koszowy, upomnieć.

— A czego ty nieszczerłość swoją okazał? czemu ty dobrego mołojca obuchem rozszczepił? czemu ty ludzi nabił, we czworo tyle, ile was wszystkich było. A tu z listem do mnie jechał, by na gotowość naszą spoglądać i lachom o niej donosić? Wiemy także, że ty i do zdrajców wojska zaporozkiego miał listy, aby z niemi zgubę wszystkiego wojska knować, zaczęm nie jako poseł, ale jako zdrajca będziesz przyjęty i sprawiedliwie ukarany.

— Mylisz się, atamanie koszowy, i ty mości hetmanie samozwańczy—rzekł namiestnik, zwracając się do Chmielnickiego.—Jeślim listy miał, to czyni tak kaźden poseł, który w obce strony jedzie, że od znajomych do znajomych listy bierze, by i sam też miał przez to komitywę. A jam tu jechał z pismem książęcem, nie zgubę waszą knować, ale od takowych was postępków pcwstrzymać, które nieznośny paroksyzm na Rzeczpospolitą, a na was i na ca-

le wojsko zaporozkie ostatnią zagładę ściągną. Na kogóż to bowiem bezbożną rękę podnosiecie? Przeciw komu, wy, co się obrońcami chrześcijaństwa nazywacie, z pogany przymierze czynicie? Przeciw królowi, przeciw stanowi szlacheckiemu i całej Rzeczypospolitej. Wy przeto, nie ja, zdrajcami jesteście i to wam powiadam, iż jeśli pokorą i posłuszeństwem nie zgładzicie win waszych, tedy biada wam! Zaliż dawne to czasy Pawluka i Nalewajki? Zaliż wyszła już wam z pamięci ich kara? Pominijcie tedy, że patientia Rzeczypospolitej już wyczerpana i miecz wisi nad głowami waszemi.

— Łajesz, wraży synu, by się wykręcić i śmierci ujsć! — zawołał koszowy, aleć ci nie pomoże ni groźba, ni wasza łacina lacka!

Inni też atamanowie poczęli zębami zgrzytać i trzaskać w szable, a pan Skrzetuski podniósł głowę jeszcze wyżej i tak mówił:

— Nie myśl, atamanie koszowy, bym się śmierci obawiał, albo żywota bronił, albo się z mej niewinności wywodził. Szlachcicem będąc, od równych tylko sobie sądzon być mogę i nie przed sędziami tu stoję, jeno przed zbójcami; nie przed szlachtą, jeno przed chłop-

stwem; nie przed rycerstwem, jeno przed barbarzyństwem i wiem dobrze, że się od śmierci nie wybiegam—którą wy też dopełnicie miary swej nieprawości. Przedemną jest śmierć i męka, ale za mną moc i zemsta całej Rzeczypospolitej, przed którą drżycie wszyscy.

Jakoż wyniosła postawa, wzniosłość mowy i imię Rzeczypospolitej, silne zrobiły wrażenie. Atamanowie spoglądali na siebie, milcząc. Przez chwilę wydało im się, że przed nimi stoi nie jeniec, ale groźny poseł potężnego narodu; Tuhaj-bey zaś mruknął:

— Serdytyj lach!

— Serdytyj lach!—powtórzył Chmielnicki.

Gwałtowne dobijanie się do drzwi przerwało dalszą ich rozmowę. Na majdanie egzekucya szczątków Tatarczuka i Barabasza była właśnie skończoną; towarzystwo wysyłało nową deputacyę.

Kilkunastu kozaków okrwawionych, zziębniętych, okrytych potem, pijanych, weszło do izby. Stanęli przy drzwiach i wyciągając ręce, jeszcze dymiące od krwi, poczęli mówić:

— Towarzystwo kłania się panom starszyźnie—tu pokłonili się wszyscy w pas—i prosi,

żeby im wydać tego lacha, szczerob z nim po-  
igrały jak z *Barabaszem* i *Tatarczukom*.

— Wydać im lacha!—krzyknął Czarnota.

— Nie wydawać—wołał inny! Niech czeka-  
ją! On poseł!

— Na pohibel mu!—ozwały się różne głosy.

Następnie ucichli wszyscy, czekając, co po-  
wiedzą koszowy i Chmielnicki.

— Towarzystwo prosi; a nie, to samo we-  
źmie—powtórzyli deputaci.

Zdawało się, że pan Skrzetuski zgubiony  
jest bez ratunku, gdy w tem Chmielnicki po-  
chylił się do ucha Tuhaj-beya.

— To twój jeniec — szepnął; jego tatarzy  
wzięli, on twój. Dasz-li go sobie zabrać? To  
bogaty szlachcic, a i bez tego kniaź Jerema  
złotem za niego zapłaci.

— Dawajcie lacha — wołali coraz groźniej  
kozacy.

Tuhaj-bey przeciągnął się na swoim sie-  
dzeniu i wstał. Twarz zmieniła mu się w je-  
dnej chwili, oczy rozszerzyły się jak u żbika,  
zęby poczęły błyskać. Nagle skoczył jak ty-  
grys przed mołojców, dopominających się  
o jeńca.

— Precz capy! psy niewierne! niewolnicy! swynojady!—ryknął, chwytając za brody dwóch zaporozców i targając niemi z wściekłością — precz pijanice, bydłeta nieczyste! gady plugawe! wy mnie jasyr zabierać przyszli, a ot, ja wam tak! capy!—To mówiąc, targał za brody coraz innych mołojców, nakoniec zwaliwszy jednego, począł go deptać nogami. — Na twarz niewolnicy! bo was w jasyr zapędzę, bo Sicz całą nogami tak zdepczę, jak was! z dymami puszcę, ścierwem waszem pokryję!

Deputaci cofali się przerażeni — straszliwy przyjaciel pokazał, co umie.

I dziwna rzecz! Na Bazawłuku stało tylko sześć tysięcy Ordy! Prawda, że za niemi stał jeszcze chan z całą potęgą krymską, ale w samej Siczy było kilkanaście tysięcy mołojców, prócz tych, których Chmielnicki wysłał był już na Tomakówkę — a jednakże, ani jeden głos protestacyi nie podniósł się przeciw Tuhaj-beyowi. Zdawać by się mogło, że sposób, w jaki groźny Murza obronił jeńca, był jedy-ny, skuteczny, że trafił odrazu do przekonania zaporozców, którym tatarska pomoc była w tej chwili niezbędna. Deputacya wypadła na maj-dan krzycząc do tłumów, że nie będą z la-

chem igrały, bo to jeniec Tuhaj-beya, a Tuhaj-bey każe rozserdywsia! „Brody nam powyrywał,” wołali. Na majdanie też poczęto zaraz powtarzać: „Tuhaj-bey rozserdywsia!” — „Rozserdywsia!” — wołały żałośnie tłumy, — rozserdywsia! rozserdywsia!” — a w kilka chwil jakiś przeraźliwy głos jął śpiewać koło ogniska:

Hej, hej!  
Tuhaj-bej  
Rozserdywsia duże,  
Hej-hej,  
Tuhaj-bej  
Ne serdysia druże!

Wnet tysiące głosów powtórzyło: „Hej-hej! Tuhaj-bey” — i oto powstawała jedna z tych pieśni, które potem, rzekłbyś, wicher roznosił po całej Ukrainie i trącał niemi o struny teorbantów.

Ale nagle i pieśń została przerwana, bo przez bramę, od strony Hasan-Basza, wpadło kilkunastu ludzi i przedzierając się przez tłum, krzycząc: „z drogi! z drogi!” dążyło co sił w stronę radnego domu. Atamani zabierali się już do wyjścia, gdy nowi ci goście wpadli do izby.

— *Pyśmo* do hetmana! — wołał stary kozak.

— Zkąd wy?

— My czechryńcy. Dzień i noc z *pyśmem* jedziem. Oto jest.

Chmielnicki wziął list z rąk kozaka i począł czytać. Nagle twarz zmieniła mu się, przerwał czytanie i rzekł donośnym głosem:

— Mości panowie atamani! Hetman wielki wysyła syna Stefana z wojskiem na nas. Wojna!

W izbie powstał dziwny szmer; nie wiadomo, czy szmer radości, czy przerażenia. Chmielnicki wystąpił na środek izby, wsparł się pod boki, oczy jego miotaly błyskawice, a głos brzmiał groźnie i rozkazująco:

— Kurzeniowi do kurzeniów! Uderzyć z dział na wieży! Rozbić beczki z wódką! Jutro świtanie ruszamy!

Od tej chwili kończyły się na Siczy obrady zbiorowe, rządy atamanów, sejmy i przewaga towarzystwa. Chmielnicki brał w ręce nieograniczoną władzę. Oto przed chwilą, z obawy, aby głos jego nie został nie wysłuchany przez burzliwe towarzystwo, musiał jeńca podstępem bronić i podstępem gubić niechętnych; teraz był panem życia i śmierci wszystkich. Tak zawsze bywało. Przed i po wyprawie, choćby hetman

już był obrany, tłum narzucał jeszcze atamanom i koszowemu swoją wolę, której niebezpiecznie było się opierać. Ale gdy tylko wyprawa została otrąbioną, towarzystwo stawiało się wojskiem, podległem wojskowej dyscyplinie, kurzeniowi oficerami, a hetman wodzem dyktatorem.

Dla tego też usłyszawszy rozkazy Chmielnickiego, atamanowie wypadli natychmiast do swoich kurzeniów. Narada była skończona.

Po chwili huk dział z bramy prowadzącej z Hassan-Basza do siczowego majdanu, zatrzęsł ścianami izby i rozległ się posępny echem po całym Czertomeliku, zwiastując wojnę.

Rozpoczynał on także epokę w dziejach dwóch narodów, ale o tem nie wiedzieli, ni pijani Siczowcy, ni sam hetman zaporozki.



## ROZDZIAŁ XII.

Chmielnicki ze Skrzetuskim poszli na nocleg do kozowego, a z niemi i Tuhaj-bey, któremu zapóźno było wracać na Bazawłuk. Dziśki bey traktował namiestnika jako jeńca, który miał być za wysoką cenę wykupiony, zatem nie jak niewolnika i z respektem, większym nawet może niż kozaków, bo go w swoim czasie, jako księżęcego posła, na dworze chanowym widywał. Co widząc kozowy, zaprosił go do swej chaty i również zmienił z nim postępowanie. Stary ataman, był to człowiek duszą i ciałem oddany Chmielnickiemu, który go zawojował i owaładnął—owoż zauważył, że Chmielnickiemu chodziło widocznie podczas narad o ocalenie jeńca. Ale zdziwił się jeszcze bardziej, gdy, zaledwie zasiedli w chacie, Chmielnicki zwrócił się do Tuhaj-beya.

— Tuhaj-beyu!—rzekł — ile myślisz wziąć wykupna za tego jeńca?

Tuhaj-bey popatrzył na Skrzetuskiego i rzekł:

— Tyś mówił, że to znaczny człowiek—a ja wiem, że to poseł strasznego kniazia, a straszny kniaź kocha swoich. Bismillah! jeden zapłaci i drugi zapłaci—razem....

Tu Tuhaj bey zamyślił się:

— Dwa tysiące talerów.

Chmielnicki na to:

— Dam ci dwa tysiące talerów.

Tatar milczał przez chwilę. Jego skośne oczy zdawały się nawskroś przenikać Chmielnickiego.

— Ty dasz trzy—rzekł.

— Dla czego mam dać trzy, gdyś sam dwa żądał?

— Bo jeśli go chcesz mieć, to tobie na tem zależy, a jeśli ci zależy, to dasz trzy.

— On mnie życie ocalił.

— Ała! to warte tysiąc więcej.

Tu Skrzetuski wtrącił się do targu.

— Tuhaj-beyu!— rzekł z gniewem—z księżęgo skarbcza nie mogę ci nic obiecywać, ale choćbym miał fortunę własną poszarpać, to sam dam trzy. Mam też blisko tyle u księ-

cia na prowizyi i wioskę dobrą, co starczy. A temu hetmanowi nie chcę wolności i zdrowia zawdzięczać.

— A z kąd ty wiesz, co ja z tobą uczynię?— rzekł Chmielnicki. A potem zwróciwszy się do Tuhaj-beya, mówił:

— Wojna się rozpocznie. Poślesz do kniazia—ale nim poseł wróci, dużo wody w Dnieprze upłynie, a ja ci jutro na Bazawłuk odwiozę sam pieniądze.

— Daj cztery, to i nie będę z lachem gadał—odparł niecierpliwie Tuhaj.

— Dam cztery, na twoje słowo.

— Mości hetmanie—rzekł koszowy—chcesz, to ci zaraz wyliczę. Mam tu pod ścianą, może i więcej.

— Jutro powiesz na Bazawłuk — rzekł Chmielnicki.

Tuhaj-bey, przeciągnął się i ziewnął.

— Spać mi się chce—rzekł. Jutro też przededniem na Bazawłuk muszę ruszyć. Gdzie mam spać?

Koszowy ukazał mu pęk skór owczych pod ścianą.

Tatar rzucił się na posłanie. Po niejakim czasie począł chrapać jak koń.

Chmielnicki przeszedł się kilkakrotnie po wązkiej izbie i rzekł:

— Sen ucieka mnie od powiek. Nie usnę.  
Daj się czego napić, moście koszowy.

— Gorzałki, czy wina?

— Gorzałki. Nie usnę.

— Na niebie już kurki—rzekł koszowy.

— Późno! Idź i ty spać, stary druha. Napij się i idź.

— Na sławę i szczęście!

— Na szczęście!

Koszowy obtarł głowę rękawem, następnie podał rękę Chmielnickiemu i odszedłszy w drugi koniec izby, zakopał się niemal w owcze skóry, krew bowiem miał już przez wiek ostudzoną.

Wkrótce chrapanie jego zawtórowało chrapaniu Tuhaj-beya.

Chmielnicki siedział za stołem, pogrążony w milczeniu.

Nagle rozbudził się, spojrzał na Skrzetuskiego i rzekł.

— Mości namiestniku, jesteś wolny.

— Wdzięcznym ci mości hetmanie zaporozki, luboć nie ukrywam, że wolałbym komu innemu za wolność dziękować.

— Tedy nie dziękuj. Ocaliłeś mi życie, jam ci też dobrem odpłacił, teraz kwita. A i to ci muszę jeszcze powiedzieć, iż cię zaraz nie puszczę, chyba mi słowo rycerskie dasz, iż wróciwszy, nie powiesz ni słowa ani o naszej gotowości, ani o siłach, ani o niczem, coś tu w Siczy widział.

— Widzę jedno to, żeś mi niepotrzebnie fructum wolności dał posmakować, bo ci takiego słowa nie dam, gdyż dając je, takbym właśnie postąpił, jako ci, którzy do nieprzyjaciela przechodzą.

— Gardło moje i zdrowie całego wojska zaporozkiego w tem, aby się na nas hetman Wielki ze wszystkimi siłami nie ruszył, czego by nie omieszkął, gdybyś go o potędze naszej powiadomił, nie dziw się więc, że jeśli słowa nie chcesz dać, to cię nie puszczę, póki o siebie bezpiecznym nie będę. Wiem, na com się porwał; wiem, jako straszna jest siła przeciw mnie: obaj hetmani, twój straszny książę, któren sam za całe wojsko stanie, a Zastawscy, a Koniecpolscy, a wszystkie owe królestwa, które na szyi kozackiej nogę trzymają! Zaprawdę, nie małom ja musiał napracować się i listów rozpisać, nim zdołałem ich czujność

uśpić—toć nie mogę teraz dozwolić, byś ją rozbudził. Gdy i czerń, i kozacy grodowi, i wszyscy uciśnieni w wierze i wolności, tak się po mojej opowiedzą stronie, jako wojsko zaporozkie i miłościwy chan krymski, tuszę, że nieprzyjaciołom sprostam, bo i moja siła znaczną będzie, ale najwięcej ufam Bogu, któren widział krzywdy, a patrzył na niewinność moją.

Tu Chmielnicki wychylił szklanę wódki i zaczął chodzić niespokojnie koło stołu, pan Skrzetuski zaś, zmierzył go oczyma i rzekł z mocą:

— Nie bluźnij-że hetmanie zaporozki, na Boga i jego najwyższą opiekę się powołując, bo zaiste gniew tylko boży i prędsze karanie na siebie ściągniesz. Tobież to godzi się Najwyższego na swą obronę wzywać? tobie? któren dla swych krzywd i prywatnych zatargów, taką straszliwą burzę podnosisz i płomień wojny domowej rozpalasz i z pogany przeciw chrześcianom się łączysz? Cóż się bowiem stanie? Zwycięzysz-li, czy będziesz zwyciężony, morze ludzkiej krwi i łez wylejesz, gorzej szarańczy kraj spustoszysz, krew własną poganom w jassy oddasz, Rzeczpospolitą wstrząsniesz, na majestat rękę podniesiesz, ołtarze pańskie

pohańbisz, a wszystko dlatego, że Czapliński futor ci zabrał, że ci po pijanemu wygrażał! Na cóż się więc nie targniesz? czego dla prywaty nie poświęcisz? Boga wzywasz?—a ja za prawdę, choć jestem w twojej mocy, chociaż mnie żywota i wolności pozbawić możesz—powiadam ci: szatana ty, nie Boga, na pomoc wzywaj, bo tylko jedno piekło sekundować cię może!

Chmielnicki sponsoviał — za rękojeść się porwał i patrzył tak na namiestnika, jak lew, który wnet ma ryknąć i rzucić się na swą ofiarę—ale się pohamował. Szczęściem nie był jeszcze pijany. Może też ogarnął go jakiś niepokój, może jakieś głosy zawołały mu w duszy: zawróć drogi! Bo 'nagle, jakby się chciał przed własnymi myślami bronić, lub samego siebie przekonywać, tak mówić począł:

— Od innego nie ścierpiałbym takiej mowy, ale i ty bacz, aby twa śmiałość mej cierpliwości nie pożarła. Piekłem mnie straszysz, o prywatę i zdradę mnie pomawiasz, a skądże wiesz, jeśli własne tylko krzywdy mścić idę? Gdzież to bym znalazł pomocników, gdzie owe tysiące, które się już za mną opowiedziały i opowiedzą, gdybym jeno własnych ucisków

chciał dochodzić? Spójrz, co się dzieje na Ukrainie? Hej! ziemia bujna, ziemia matka, ziemia rodzona! A kto w niej jutra pewien? kto w niej szczęśliwy? kto wiary nie pozbawion, z wolności nie obran, kto w niej nie płacze i nie wzdycha? Sami jeno Wiśniowieccy, a Potoccy, a Zasławscy, a Kalinowscy, a Koniecpolscy, i szlachty garść! Dla nich starostwa, dostojęstwa, ziemia i ludzie, dla nich szczęście i złota wolność, a reszta narodu ręce we łzach do nieba wyciąga, czekając bożego zmiłowania, bo i królewskie nie pomoże! Ileż to szlachty nawet, nieznosnego ich ucisku wytrzymać nie mogąc, na Sicz ucieka, jako ja sam uciekłem. Nie chcę też wojny z królem, nie chcę z Rzeczpospolitą! Ona mać, on ojciec! Król, miłostywy pan, ale królewężta! Z nimi nam nie żyć; ich to zdzierstwa, ich to arendy, stawszczyzny, pojemszczyzny, suchomielszczyzny, oczkowe i rogowe; ich to tyranja i uciski o zemstę do nieba wołają. Jakiejże to wdzięczności doznało wojsko zaporozkie, za tak wielkie zasługi, w licznych wojnach oddane? Gdzie przywileje kozackie? Król dał, królewężta odjęli. Nalewajko poćwiertowan. Pawluk w miedzianym wole

spalon! Krew nie obeschła po ranach, które nam szabla Żółkiewskiego i Koniecpolskiego zadała! Łzy nie obeschły po pobitych, ściętych, na pal wsadzonych, — a teraz—patrz! co świeci na niebie: (tu Chmielnicki wskazał przez okienko na płonącą kometa) gniew boży! bicz boży!—Więc jeśli ja mam nim być na ziemi—to, dziej się wola boża! wezmę ten ciężar na barki.

To rzekłszy, ręce ku górze wyciągnął i zdawał się płonąć cały, jak wielka pochodnia zemsty i drzeć począł, a potem padł na ławę, jakby ciężarem swych przeznaczeń przygnieciony.

Nastało milczenie, przerywane tylko chrapaniem Tuhaj-beya i koszowego — a w jednym kącie chaty świerszcz ćwirkał żałośnie.

Namiestnik siedział ze spuszczoną głową. Rzekłbyś, szukał odpowiedzi na słowa Chmielnickiego, tak ciężkie, jak bryły granitu; nakoniec tak mówić począł, głosem cichym i smutnym:

— Ach! choćby to była i prawda, ktoś ty hetmanie jest, abyś się sędzią i katem kreował? Jakież cię okrucieństwo, jaka pycha unosisz? Czemu ty Bogu sądu i kary nie zostawisz?

Jać złych nie bronię, krzywd nie pochwalam, ucisków prawem nie mianuję, ale wejrzyj-że i ty w siebie hetmanie! Na ucisk od królewiał narzekasz, mówisz, że króla, ni prawa słuchać nie chcą, dumę ich ganisz, a czy sam jej próżen jesteś? Czy sam nie ściągasz ręki na Rzeczpospolitą, prawo i majestat? Tyranję paniąt i szlachty widzisz, ale tego nie widzisz, że gdyby nie ich piersi, nie ich pancerze, nie ich moc, nie ich zamki, nie ich działa i hufce, tedyby ta ziemia, mlekiem i miodem płynąca, pod stokroć cięższem jarzmem tureckiem albo tatarskiem jęczała! Kto bowiem by jej bronił? Czyją to opieką i mocą dzieci wasze w janczarach nie służą, a niewiasty do sprośnych harców nie są porywane? Kto osadza pustynie, zakłada wsie i miasta, wznosi świątynie boże?..

Tu głos pana Skrzetuskiego potężniał coraz bardziej; a Chmielnicki utkwiał ponuro oczy we flaszę z wódką, zaciśnięte pięście na stole położył i milczał, jakby się sam ze sobą pasował.

— I któż są oni?—mówił dalej pan Skrzetuski—czy to tu z Niemiec przyszli, albo od Turczach? Nie krew-że to z krwi, nie kość z kości waszej? Nie wasza-że to szlachta, nie wasi książęta? Co, gdy tak jest, tedy ci biada

hetmanie, bo ty młodszych braci na starszych  
uzbrajasz i parrycidów z nich czynisz. O dla  
Boga! choćby też i źli byli, choćby wszyscy,  
co przecie nie jest, deptali prawa, gwałcili  
przywileje — niechże ich Bóg sędzi w niebie,  
a sejmy na ziemi, ale nie ty hetmanie! Mo-  
żesz-li bowiem rzec, że między wami są tylko  
sprawiedliwi? zaliście nigdy nie przewinili, zali  
macie prawo rzucić kamieniem na cudzą zma-  
zę? A żeś mię pytał, gdzie są przywileje ko-  
zackie, tedy ci odpowiem: nie królewęża je  
zdarli, ale zaporozcy, ale Łoboda, Sasko, Na-  
lewajko i Pawluk, o którym zmyślasz, że był  
w wole miedzianym usmażon, bo wiesz dobrze,  
że tak nie było! Zdarły je bunty wasze, zdar-  
ły niespokojności i napady, nakształt tatar-  
skich czynione. Kto tatarów w granice Rzecz-  
pospolitej puszczał, by dopiero na powracają-  
cych i łupem obciążonych dla zysku napadać?  
—wy! Kto—przebóg! — lud chrześcijański, wła-  
sny, w jassy oddawał? Kto największe war-  
choły czynił?—wy! Przed kim, ni szlachcie, ni  
kupiec, ni kmieć, nie jest bezpieczny? — przed  
wami! Kto wojny domowe rozpałał, z dymem  
puszczał wsie i miasta ukraiinne, łupił świąty-  
nie boże, gwałcił niewiasty—wy! i wy! Czego

tedy chcesz? Czy aby wam przywileje na wojnę domową, rozbój i łupieztwo zostały wydane? Zaiste, więcej wam przebaczone, niżli odjęto! Chciano membra putrida leczyć, nie wycinać (\*) i nie wiem,—jest-li na świecie potencya, prócz Rzeczypospolitej, któraby taki wrzód we własnem łonie tolerując, tyle cierpliwości i klemencyi znalazła! A w odwet za to, jaka wdzięczność? Ot, tu śpi twój sprzymierzeniec — ale Rzeczypospolitej wróg zaciekły; twój przyjaciel, ale nieprzyjaciel krzyża i chrześcijaństwa—nie królewiatko ukraińne, ale murza krymski—z nim to pójdiesz palić własne gniazdo — z nim sądzić braci! Ale on też ci odtąd panować będzie, jemu strzemię podawać musisz!

Chmielnicki wychylił nową szklanę wódki.

— Gdyśmy z Barabaszem czasu swego u króla miłościwego byli—odparł ponuro—i gdyśmy na krzywdy i uciski nasze płakali, pan nasz rzekł: a to nie macie samopałów i szabli przy boku?

---

(\*) Słowa historyczne Żółkiewskiego.

— Gdybyś przed królem królów stanął, tenby rzekł: aza przebaczyłeś nieprzyjaciółom swoim, jakom ja swoim przebaczył?

— Z Rzeczpospolitą wojny nie chcę!

— Jeno jej miecz do gardła przykładasz!

— Idę kozaków z waszych okowów uwolnić.

— By ich w tatarskie łyka skrępować!

— Wiary chcę bronić.

— Z połańcem w parze.

— Precz-że ty! boś nie jest głosem sumienia mego. Precz! mówię ci!

— Krew przelana ci zaciąży, łyzy ludzkie oskarża, śmierć cię czeka, sąd czeka!

— Puszczyk! — zawołał z wściekłością Chmielnicki i nożem przed piersią namiestnikową błysnął.

— Zabij!—rzekł pan Skrzetuski.

I znowu nastała chwila ciszy, znowu słychać było tylko chrapanie śpiących i żałosne skrzypienie świerszcza.

Chmielnicki stał przez chwilę, z nożem przy piersi Skrzetuskiego; nagle się wstrząsnął, opamiętał, nóż upuścił, a natomiast porwawszy gąsiorek z wódką, pić począł. Wypił aż do dna i siadł ciężko na ławie.

— Nie mogę go pchnąć!—mruzczał—nie mogę! Późno już... czy to już świt?... Ale i z drogi zawracać późno... Co ty mnie o sądzie i krwi mówisz?

Poprzednio wypił już wiele, teraz wódka uderzyła mu do głowy; stopniowo coraz bardziej tracił przytomność.

— Jaki tam sąd? co? Chan obiecał mi posiłki, Tuhaj-bey tu śpi! Jutro mołojcy ruszą... Z nami święty Michał—zwycięzca!... A jeśli by... jeśli by... to... Ja cię wykupił u Tuhaj-beya—ty to pamiętaj i powiedz... Ot! boli coś... boli! Z drogi zawracać... późno! sąd... Nalewajko... Pawluk...

Nagle wyprostował się, oczy z przerażeniem wytrzeszczył i zakrzyknął:

— Kto tu?

— Kto tu?—powtórzył nawpół rozbudzony koszowy.

Ale Chmielnicki głowę na piersi spuścił, kiwnął się raz i drugi, mruknął: jaki sąd?—i usnął.

Pan Skrzetuski, od ran niedawno otrzymanych i wzruszenia rozmowy, pobladł bardzo i zesłabł, więc pomyślał, że to może śmierć nadlatuje i zaczął się modlić głośno.

### ROZDZIAŁ XIII.

Nazajutrz, rankiem, piesze i konne wojska kozackie ruszyły z Siczy. Lubo krew nie splamiła jeszcze stepów, wojna była już rozpoczęta. Pułki szły za pułkami; rzekłbyś, szarańcza, przygrzana słońcem wiosennem, wyroila się z oczeretów Czertomelyku i leci na ukraińskie niwy. W lesie, za Bazawłukiem, czekali już gotowi do pochodu ordyńcy. Sześć tysięcy co przebrańszych wojowników, zbrojnych nierównie lepiej od zwykłych czambułowych rabusiów, stanowiło pomoc, którą chan przysłał zaporozcom i Chmielnickiemu. Mołojcy na ich widok wyrzucili czapki w górę. Zagrzmiały rusznice i samopały. Wrzaski kozackie, pomieszane z hałakowaniem tatarskiem, uderzyły o sklepienie niebios. Chmielnicki i Tuhaj-bey, obaj pod buńczukami, skoczyli ku sobie końmi i powitali się ceremonjalnie.

Sprawiono szyk pochodowy ze zwykłą tatarom i kozakom chyżością, poczem wojska ruszyły naprzód. Ordyńcy zajęli oba skrzydła kozackie, środek zawalił Chmielnicki z jazdą, za którą postępowała straszna piechota zaporozka (\*), dalej „puszkary“ z armatami, dalej tabor, wozy, na nich służba obozowa, zapasy żywności, wreszcie czabanowie z zapaśnemi stadami i bydłem.

Przebywszy Bazawłucki las, pułki wypływały na stepy. Dzień był pogodny. Stropu nieba nie plamiła żadna chmurka. Lekki wiatr podmuchiwał z północy ku morzu, słońce grało na spisach i kwiatach pustyni. Roztoczyły się przed wojskiem dzikie pola, jako morze bez końca, a na ten widok radość ogarnęła kozackie serca. Wielka malinowa chorągiew z archaniołem, zniżyła się po kilkakroć, witając step rodzimy, a za jej przykładem pochyliły się wszystkie buńczuki i pułkowe znamiona. Jeden okrzyk wyrwał się ze wszystkich piersi.

---

(\*) Wbrew ogólnemu mniemaniu dzisiejszemu, Bauplan twierdzi, iż piechota zaporozka niezmiernie przewyższała jazdę. Wedle Bauplana 200 polaków rozbijało z łatwością 2000 jazdy zaporozkiej, ale natomiast 100 pieszych kozaków mogło długo bronić się z za okopu tysiącowi polaków.

Pułki rozwinęły się swobodnie. „Dowbysze“ i teorbaniści wyjechali na czoło wojska; huknęły kotły, zadźwięczały litaury i teorbany, a do wtóru im pieśń, przez tysiące głosów śpiewana, wstrząsnęła powietrzem i stepem:

„Hej wy stepy, wy rydnyje,  
„Krasnym cwiłom pisanyje,  
„Jako more szyrokuje!

Teorbaniści puścili cugle i przechyleni w tył na kulbakach, z oczyma utkwionemi w niebo, uderzali o struny teorbanów; litauryści wyciągnawszy ręce nad głowami, bili w swoje miedziane kręgi, dowbysze grzmieli w kotły a te wszystkie odgłosy, wraz z monotonnymi słowami pieśni i przeraźliwym, niesfornym świstem piszczałek tatarskich, zlały się w jakąś nutę ogromną, dziką, a smętną, jak sama pustynia. Upojenie ogarnęło wszystkie pułki; głowy chwiały się w takt pieśni, i wreszcie zdawało się, że cały step rozśpiewany, kołysze się razem z ludźmi, i końmi, i chorągwiami.

Spłoszone stada ptactwa zerwały się ze stepu i leciały przed wojskiem, jak drugie wojsko powietrzne.

Chwilami pieśń i muzyka milkły, a wówczas słychać było łopot chorągwi, tętęt i par-

skanie koni, i skrzypienie wozów taborowych, podobne do krzyku łabędzi lub żórawi.

Na czele, pod wielką chorągwią malinową i pod buńczukiem, jechał Chmielnicki, przybrany w czerwień, na białym koniu, z pozłocistą buławą w ręku.

Cały tabor poruszał się zwolna i ciągnął na północ, pokrywając jak groźna fala rzeczki, dąbrowy i mogiły, napelniając szumem i gwarem pustoszą stepową.

A od Czelhryna, z północnego krańca pustyni, płynęła przeciw tej fali, druga fala wojsk koronnych, pod wodzą młodego Potockiego. Tu zaporozcy i tatarzy szli jakoby na wesele, z pieśnią radosną na ustach; tam poważna husarya postępowała w posępnem milczeniu, idąc niechętnie na tę walkę bez sławy. Tu pod malinową chorągwią stary, doświadczony wódz potrzasał groźnie buławą, jakby pewien zwycięstwa i zemsty; tam na czele jechał młodzieniec z twarzą zamyśloną, jakby świadom swych smutnych, a blizkich przeznaczeń.

Dzieliła ich jeszcze wielka przestrzeń stepu.

Chmielnicki nie śpieszył się. Liczył bowiem, że im bardziej pogrąży się młody Potocki w pustynię, im dalej odsunie się od obu

hetmanów, tem łatwiej będzie mógł być pokonany. A tymczasem, coraz nowi zbiegowie z Czehryna, Powołoczy i wszystkich brzegowych miast ukraińskich, zwiększali codziennie siły zaporozkie, przynosząc zarazem wieści z przeciwnego obozu. Dowiedział się z nich Chmielnicki, że stary hetman wysłał syna z dwoma tylko tysiącami jazdy lądem (\*), a zaś sześć tysięcy semenów i tysiąc niemieckiej piechoty, bajdakami Dnieprem. Obie te siły miały rozkaz stałą ze sobą utrzymać łączność, ale rozkaz został już pierwszego dnia złamany, bo bajdaki porwane bystrym prądem Dnieprowym, wyprzedziły znacznie hussaryę idącą brzegiem, której pochód opóźniały niezmiernie przeprawy przez wszystkie rzeczki wpadające do Dniepru.

Chmielnicki więc, pragnąc by ten rozdział powiększył się jeszcze bardziej, nie śpieszył się. Trzeciego dnia pochodu, zaległ taborem koło Komyszej wody i odpoczywał.

Tymczasem podjazdy Tuhaj-beya sprowadziły języka. Było to dwóch dragonów, którzy zaraz za Czehrynem zbiegli z taboru Potockie-

---

(\*) Źródła rusińskie, np. Samoił Weliczko, podają ilość wojsk koronnych na 22 tysiące. Cyfra to oczywiście fałszywa.

go. Pędząc dzień i noc, zdołali znacznie wyprzedzić swój obóz. Stawiono ich natychmiast przed Chmielnickim.

Opowiadania ich potwierdziły to, co było już Chmielnickiemu wiadome o siłach młodego Stefana Potockiego; natomiast przynieśli mu nową wiadomość, że przywódcami semenów, płynących wraz z piechotą niemiecką na bajdakach, byli: stary Barabasz i Krzeczowski.

Usłyszawszy to ostatnie nazwisko, Chmielnicki porwał się na równe nogi.

— Krzeczowski? pułkownik rejestrowych perejasławskich?

— On sam, jaśnie wielmożny hetmanie! — odpowiedzieli dragoni.

Chmielnicki zwrócił się do otaczających go pułkowników:

— W pochód! — zakomenderował grzmiącym głosem.

W niespełna godzinę później, tabor ruszył naprzód, chociaż słońce już zachodziło i noc nie obiecywała być pogodną. Jakieś straszne, rude chmurzyska, porozwalały się na zachodniej stronie nieba, podobne do smoków, do lewjatanów i zbliżały się ku sobie, jakby chcąc stoczyć walkę.

Tabor posuwał się w lewo, ku brzegowi Dniepru. Szli teraz cicho, bez pieśni, bez bicia w kotły, w litaury i szybko, o ile pozwalały im trawy, tak bujne w tej okolicy, że pogrążone w nich pułki chwilami traciły się z oczu, a różnobarwne chorągwie, zdawały się same płynąć po stepie. Jazda torowała drogę wozom i piechocie, które postępując z trudnością, wkrótce pozostały znacznie w tyle. Tymczasem noc pokryła stepy. Ogromny czerwony księżyc, wytoczył się zwolna na niebo, ale przesłaniany co chwila chmurami, rozpalał się i gasł, jak lampa, tłumiona powiewami wiatru.

Było już dobrze z północy, gdy oczom kozaków i tatarów ukazały się czarne olbrzymie massy, odrzynające się wyraźnie na ciemnym tle nieba.

Były to mury Kudaku.

Podjazdy, zakryte ciemnością, zbliżyły się pod zamek tak ostrożnie i cicho, jak wilcy lub ptactwo nocne. A nuż możnaby ubiedz niespodzianie senną fortecę!

Ale nagle, błyskawica na wałach rozdarła ciemności, huk straszliwy wstrząsnął skałami Dniepru i kula ognista, zatoczywszy jaskrawy łuk na niebie upadła w trawy stepowe.

Posepny cyklop Grodzicki, dawał znać, że czuwa.

— Pies jednooki! — mruknął do Tuhaj-beja Chmielnicki—widzi w nocy.

Kozacy pominęli zamek, o którego wzięciu, w chwili, gdy przeciw nim samym ciągnęły wojska koronne—nie mogli myśleć — i ruszyli dalej. Ale pan Grodzicki walił za nimi z dział, aż się mury zamkowe trzęsły, nie tyle, by im szkody przyczynić, gdyż przechodzili w znacznej odległości, ale by ostrzedz wojska nadpływające Dnieprem, które mogły znajdować się już niedaleko.

Przedewszystkiem jednak huk dział kudackich odbił się w sercu i uszach pana Skrzetuskiego. Młody rycerz, prowadzony z rozkazu Chmiela z taborem kozackim, drugiego dnia zachorował ciężko. W walce na Chortycy nie otrzymał on wprawdzie żadnej śmiertelnej rany, ale utracił tyle krwi, że nie wiele w nim życia zostało. Rany jego opatrzone po kozacku przez starego kantarzeja otworzyły się, owładnęła nim gorączka i nocy owej leżał w pół przytomny na kozackiej teledze, nie wiedząc o świecie bożym. Zbudziły go dopiero działa kudackie. Roztworzył oczy, podniósł się na

wozie i począł rozglądać się naokoło. Kozacki tabor przemykał się w ciemnościach, jak korowod mar, a zamek huczał i świecił różowemi dymami; kule ogniste podskakiwały po stepie charkocząc i warcząc, jak psy rozzłoszczone, więc na ten widok taka żalność, taka tęsknota ogarnęły pana Skrzetuskiego, że gotów był i umrzeć zaraz, byle choć duszą ulecieć do swoich. Wojna! wojna! a oto on w obozie wrogów, bezbronny, chory, z woza nie mogący się podnieść. Rzeczpospolita w niebezpieczeństwie, on zaś nie leci jej ratować. A tam, w Łubniach, wojska pewno już ruszają. Książę z błyskawicami w oczach lata przed szeregami, a w którą stronę buławą skinie, tam wnet trzysta kopii, jakby trzysta gromów uderzy. Tu, rozmaite znajome twarze zaczęły namiestnikowi stawać przed oczy: Mały Wołodjowski leci na czele draganów ze swoją cienką szabelką w rękę, ale to fechmistrz nad fehmistrze! z kim ją skrzyżuje, ten jakby leżał w mogile; tam znów pan Podbipięta wznosi swój katowski zerwikaptur! Zetnie trzy głowy czy nie zetnie? Książdz Jaskólski ogania chorągwie i modli się z rękami do góry, lecz to dawny żołnierz, więc nie mogąc wytrzymać

huknie czasem: bij zabij! a owo pancerni kładą już glewje w pół końskiego ucha, pułki ruszają naprzód, rozpędzają się, pędzą, bitwa zawierucha!

Nagle widzenie się zmienia. Przed namiestnikiem staje Helena, blada, z rozpuszczonym włosom i woła: „Ratuj, bo mnie Bohun goni!“ Pan Skrzetuski zrywa się z wozu, aż jakiś głos, ale już rzeczywisty, mówi do niego.

— Leż-że *detyno*, bo zwiążę.

To *essauł* taborowy, Zachar, któremu Chmielnicki kazał pilnować namiestnika jak oka w głowie, układa go napowrót na wozie, okrywa końską skórą i pyta jeszcze:

— Szczo z toboju?

Więc pan Skrzetuski przytomnieje zupełnie. Mary pierzchają. Wozy ciągną samym brzegiem dniewym. Chłodny powiew dochodzi od rzeki i noc blednie. Ptactwo wodne rozpoczyna gwar poranny.

— Słuchaj, Zachar! to my już minęli Kudak?—pyta pan Skrzetuski.

— Minęli!—odpowiada zaporożec.

— A dokąd ciągniecie?

— Ne znaju. Bitwa, każe, bude, ale ne znaju.

Na te słowa serce uderżyło radośnie w piersiach pana Skrzetuskiego. Sądził on, że Chmielnicki będzie oblegał Kudak i że od tego wojnę zacznie. Tymczasem pośpiech, z jakim kozacy szli naprzód, pozwalał wnosić, że wojska koronne były już blisko i że właśnie Chmielnicki dlatego pominął fortecę, by nie być zmuszonym do bitwy pod jej działami. „Dziś jeszcze może wolnym będę“, pomyślał namiestnik i wzniósł oczy dziękczynnie ku niebu.



## ROZDZIAŁ XIV.

Huk dział kudackich słyszały również wojska płynące bajdakami pod wodzą starego Barabasza i Krzeczowskiego.

Składały się one z sześciu tysięcy kozaków rejestrowych i jednego regimentu wybornej piechoty niemieckiej, której pułkownikował Hans Flik.

Pan Mikołaj Potocki długo się wahał, zanim kozaków przeciw Chmielnickiemu wyprawił, ale że Krzeczowski miał na nich wpływ ogromny, a Krzeczowskiemu hetman ufał bez granic, więc tylko semenom kazał przysięgę wierności złożyć—i wyprawił ich w imię boże.

Krzeczowski, żołnierz pełen doświadczenia i wielce w poprzednich wojnach wsławiony był klientem domu Potockich, którym wszystko zawdzięczał, i pułkownikowstwo i szlachectwo, gdyż mu je na sejmie wyrobili i nako-

niec obszerne posiadłości, położone przy zbiegu Dniestru i Ladawy, które dożywotnie od nich trzymał.

Tyle tedy węzłów łączyło go z Rzeczpospolitą i z Potockimi, że i cień nieufności nie mógł zrodzić się w duszy hetmańskiej. Był to przytem człowiek w sile dni, bo zaledwie pięćdziesiąt lat liczący — i wielka przyszłość otwierała się przed nim na usługach krajowi. Niektórzy chcieli w nim widzieć następcę Stefana Chmieleckiego, który rozpoczynając zawód jako prosty rycerz stepowy, skończył go jako wojewoda kijowski i senator Rzeczypospolitej. Od Krzeczowskiego zależało pójść tą samą drogą, na którą pchało go męztwo, dzika energia i niepohamowana ambicya, głodna zarówno bogactw, jak i dostojeństw. Gwoli tej to ambicyi, silnie przed niedawnym czasem zabiegał o starostwo Lityńskie, a gdy nakoniec otrzymał je pan Korbut, Krzeczowski głęboko zakopał w sercu zawód, ale prawie że odchorował z zawiści i zmartwienia. Teraz zdawał mu się los nanowo uśmiechać, gdyż otrzymawszy od hetmana W. tak ważną funkcję wojskową, śmiało mógł liczyć, że imię jego obije się o uszy królewskie. A było to rzeczą ważną,

bo następnie należało tylko pokłonić się panu, aby otrzymać przywilej z miłemi duszy szlacheckiej słowami: „bił nam czołom i prosił szczob jeho podaryty, a my pomniawszy jeho usługi, dajem“ etc. Tą drogą zdobywało się na Rusi bogactwa i dostojęństwa; tą drogą ogromne obszary pustych stepów, które przedtem należały do Boga i Rzplitej, przechodziły w ręce prywatne; tą drogą chudopachołek na pana wyrastał i mógł krzepić się nadzieją, że potomkowie jego między senatory zasięda.

Krzeczowskiego gryzło jeno to, że w owej powierzonej mu funkcyi musiał dzielić władzę z Barabaszem, ale był to podział tylko nominalny. W rzeczywistości, stary pułkownik czerkaski, zwłaszcza w ostatnich czasach, tak się postarzał i zgrzybiał, że już ciałem jedynie do tej ziemi należał, a dusza jego i umysł pogrążone były ustawicznie w odrętwieniu i martwocie, które zwykle śmierć prawdziwą poprzedzają. Z początku wyprawy rozbudził się i począł się krzątać dość raźnie, rzekłbyś na odgłos surm wojennych stara żołnierska krew poczęła w nim krążyć silniej, bo był to przecie czasu swego wsławiony rycerz i wódz stepowy; ale zaraz po wyruszeniu, ukołysał

go plusk wiosła, uspiły pieśni semenów i łagodny ruch bajdaków, więc zapomniał o świecie bożym. Krzeczowski wszyskiem rządził i zawiadywał, Barabasz zaś budził się tylko do jedzenia; najadłszy się, pytał ze zwyczaju o to i owo — zbywano go ladajaką odpowiedzią, w końcu wzdychał i mawiał: „Ot radby ja z inną wojną do mogiły się kłaść, ale wola boża!“

Tymczasem łączność z wojskiem koronnem, idącym pod wodzą Stefana Potockiego, została odrazu przerwana. Krzeczowski narzekał, że hussarya i dragonia za wolno idą, że nadto u przepraw marudzą, że młody syn hetmański nie ma wojskowego doświadczenia, ale z tem wszyskiem kazał wiosłować i płynąć naprzód.

Bajdaki płynęły więc z biegiem dniewym ku Kudakowi, oddalając się coraz bardziej od wojsk koronnych.

Nareszcie pewnej nocy zasłyszano huk dział.

Barabasz spał i nie obudził się — natomiast Flik, który płynął naprzód, wsiadł w podjazdkę i udał się do Krzeczowskiego.

— Mości pułkowniku, rzekł — to kudackie armaty! co mam czynić?

— Zatrzymaj waść bajdaki. Zostaniemy przez noc w oczeretach.

— Chmielnicki widocznie zamek oblega. Mojem zdaniem należałoby pośpieszyć z odsieczą.

— Ja waści o zdanie nie pytam, jeno rozkaz daję. Przy mnie komenda.

— Mości pułkowniku!..

— Stać i czekać!—rzekł Krzeczowski.

Ale widząc, że energiczny niemiec szarpie swoją żółtą brodę i ustępować bez racyi nie myśli, dodał łagodniej:

— Kasztelan do jutra rana może z jazdą nadciągnąć, a fortecy przez jedną noc nie wezmą.

— A jeśli nie nadciągnie?

— Będziem czekać choćby dwa dni. Waść nie znasz Kudaku! Połamią oni sobie zęby o jego mury, a ja bez kasztelana na odsiecz nie będę ciągnął, bo i prawa do tego nie mam. Jego to rzecz!

Wszelka słuszność zdawała się być po stronie Krzeczowskiego, więc Flik nie nalegał dłużej i oddalił się do swoich Niemców. Po chwili bajdaki poczęły zbliżać się ku prawemu brzegowi i zasuwac w oczerety, które więcej jak

na staję pokrywały szeroko w tem miejscu rozlaną rzekę. Nakoniec plusk wioseł ustał, statki skryły się całkowicie w szuwarach, a rzeka zdawała się być pustą zupełnie. Krzeczowski zakazał palenia ogni, śpiewania pieśni i rozmów, więc okolicę zaległa cisza, przerywana tylko dalekim odgłosem dział kudackich.

Wszelako na statkach nikt, prócz jednego Barabasza, nie zmrużył oka. Flik, człowiek rycerski i boju chciwy, chciałby ptakiem lecieć pod Kudak. Semenowie pytali się siebie z cicha, co też się może zdarzyć z fortecą? Wytrzyma, czy nie wytrzyma? A tymczasem huk wzmagał się coraz bardziej. Wszyscy byli przekonani, że zamek odpiera szturm gwałtowny. „Chmiel nie żartuje, ale i Grodzicki nie żartuje“! szeptali kozacy. A co to będzie jutro?

To samo pytanie zadawał sobie prawdopodobnie Krzeczowski, który siadłszy na przodzie swego bajdaku, zamyślił się głęboko. Chmielnickiego znał on dobrze i dawno, uważał go zawsze aż dotąd za człowieka nadzwyczajnych zdolności, któremu tylko poła brakło, by wyleciał jak orzeł w górę, a teraz Krzeczowski zwątpił o tem. Działa grzmiały cią-

gle, a zatem chyba Chmielnicki naprawdę Kudak oblegał?

— Jeśli tak jest, myślał Krzeczowski, to to jest człowiek zgubiony!

Jakto? więc podniosłszy Zaporozie, zapewniwszy sobie pomoc chanową, zebrawszy siły jakimi żaden z watażków dotychczas nie rozporządzał, zamiast iść co najspieszniej na Ukrainę, zamiast pobudzić czerń, przeciągnąć grodowych, zgnieść co prędzej hetmanów i opanować cały kraj, nimby na obronę jego nowe wojska nadeszły, on, Chmielnicki! on stary żołnierz, szturmuje do niezdobytej fortecy, która przez rok może go trzymać? I pozwoli na to, by najlepsze siły jego tak rozbiły się o mury Kudaku, jak fala dniewowa rozbija się o skały porohów? I będzie czekał pod Kudakiem, aż się hetmani wzmocnią, i oblegną go jak Nalewajkę pod Sołonicą?..

— To człowiek zgubiony! — powtórzył raz jeszcze pan Krzeczowski. Właśni kozacy go wydadzą. Nieudany szturm wywoła zniechęcenie i popłoch. Iskra buntu zagaśnie w samym zarodku—a Chmielnicki nie będzie straszniejszy niż miecz, który się ułamał przy rękojeści.

To głupiec!

— Ergo?—pomyślał pan Krzeczowski—ergo, jutro wysadzę na brzeg moich semenów i niemców, a następnej nocy, na osłabionego szturmami niespodziewanie uderzę, zaporozców w pień wyrznię, a Chmielnickiego związanego pod nogi hetmańskie rzuczę. Jego to własna wina, bo mogło się zdarzyć inaczej!

Tu rozkiełznana ambicya pana Krzeczowskiego wzbiła się na sokolich skrzydłach w górę. Wiedział on dobrze, że młody Potocki żadną miarą do jutrzejszej nocy przyciągnąć nie może, więc kto urwie głowę hydrze? Krzeczowski! Kto zgasi bunt, który straszliwym pożarem mógłby ogarnąć całą Ukrainę? Krzeczowski! Może stary hetman będzie krzyw trochę, że się to stanie bez udziału synała, ale się wysapie prędko, a tymczasem wszystkie promienie sławy i łaski królewskiej oświecą czoło zwycięzcy.

Nie! Trzeba się jednak będzie podzielić sławą ze starym Barabaszem i z Grodzickim! Pan Krzeczowski zasepił się mocno, ale wnet wypo-  
godził się. Wszakże tę starą kłodę Barabasa, lada dzień zakopią w ziemię, a Grodzicki, byle mógł w Kudaku siedzieć i tatarów od cza-

su do czasu z dział przepłoszyć, niczego więcej nie pragnie; pozostaje jeden Krzeczowski.

Byle hetmaństwo ukraińne mógł utrzymać!

Gwiazdy migotały na niebie, a pułkownikowi zdawało się, że to klejnoty w buławie; wiatr szumiał w oczeretach, a jemu zdało się, że to szumi buńczuk hetmański.

Działa Kudaku grzmiąły ciągle.

— Chmielnicki da gardło pod miecz — myślał dalej pułkownik—ale to jego własna wina! Mogło być inaczej! Gdyby poszedł od razu na Ukrainę!... mogło być inaczej! Tam wre i huczy wszystko, tam leżą prochy, czekające tylko na iskrę. Rzeczpospolita jest potężna, ale na Ukrainie sił nie ma, a król niemłody, schorowany!

Jedna, wygrana przez zaporozców, bitwa, spowodowałaby nieobliczone skutki...

Krzeczowski ukrył twarz w dłoniach i siedział nieruchomy, a tymczasem gwiazdy staczały się niżej i niżej i zachodziły zwolna na step. Przepiórki, ukryte w trawach, poczęły się nawoływać. Niezadługo miało zaświtać.

Nakoniec rozmyślenia pułkownika skrzepły w niewzruszony zamiar. Jutro uderzy na Chmielnickiego i zetrze go w proch. Po jego

trupie dojdzie do bogactw i dostojenstw, stanie się narzędziem kary w rękę Rzeczypospolitej, jej obrońcą, w przyszłości jej dygnitarzem i senatorem. Po zwycięztwie nad Zaporozem i tatarami, nie odmówią mu niczego.

A jednak — nie dano mu starostwa lityńskiego.

Na to wspomnienie Krzeczowski ścisnął pięście. Nie dano mu starostwa, mimo potężnego wpływu jego protektorów, Potockich, mimo jego zasług wojennych, dla tego tylko, że był homo novus, a jego przeciwnik od kniaziów ród wywodził. W tej Rzeczypospolitej nie dość było zostać szlachcicem, należało jeszcze czekać, by to szlachectwo pokryło się pleśnią jak wino, by zardzewiało jak żelazo.

Chmielnicki jeden mógł zaprowadzić nowy porządek rzeczy, któremu bogdaj że i sam król by sprzyjał — ale nieszczęśnik, wołał, oto, rozbijać głowę o skały kudackie.

Pułkownik uspokajał się zwolna. Odmówili mu raz starostwa—cóż z tego? Tem bardziej będą się starali go wynagrodzić, zwłaszcza po zwycięztwie, po zgaszeniu buntu, po uwolnieniu od wojny domowej Ukrainy, ba! całej Rzeczypospolitej! Wówczas niczego mu nie odmó-

wią, wówczas nie będzie potrzebował nawet i Potockich...

Senna głowa schyliła mu się na piersi — i usnął, marząc o starostwach, o kasztelaniach, o nadaniach królewskich i sejmowych...

Gdy się zbudził, był brzask. Na bajdakach spało jeszcze wszystko. W dali połyskiwały w bładem, rozpierzchłem świetle wody dniewowe. Na około panowała absolutna cisza. Ta właśnie cisza zbudziła go.

Działa kudackie przestały huczeć.

— Co to?—pomyślał Krzeczowski.—Pierwszy szturm odparty, czy może Kudak wzięty?

Ale to niepodobna!

Nie! poprostu zbici kozacy leżą gdzieś zdala od zamku i rany liżą, a jednooki Grodzicki pogląda na nich przez strzelnicę, rychtując na nowo działa.

Jutro szturm powtórzą i znowu zęby połamią.

Tymczasem rozedniało. Krzeczowski zbudził ludzi na swym bajdaku i posłał czólnego Flika.

Flik przybył niebawem.

— Mości pułkowniku!—rzekł mu Krzeczowski, jeśli do wieczora kasztelan nie nadciągnie,

a z nocą szturm się powtórzy, ruszemy fortecy w pomoc.

— Moi ludzie gotowi—odparł Flik.

— Rozdaj-że im prochy i kule.

— Rozdane.

— W nocy wysiedziemy na brzeg i ruszemy jaknajciszej stepem. Zejdziemy ich niespodzianie.

— Gut! sehr gut! ale czyby się nie przysunąć trochę bajdakami. Do fortecy mil ze cztery Trochę daleko dla piechoty.

— Piechota siedzie na konie semenów.

— Sehr gut!

— Ludzie niech leżą cicho w sitowiach, na brzeg nie wychodzą i hałasów nie sprawują. Ogniów nie palić, bo dymy by nas zdradziły. Nie powinni o nas wiedzieć.

— Mgła taka, że i dymów nie ujrzą.

Rzeczywiście rzeka, łącha porośnięta oczeretem, w której stały bajdaki, i stepy, były pokryte, jak okiem sięgnąć, białym, nieprzeniknionym tumanem. Ale że było dopiero świt, więc mgły mogły jeszcze opaść i odsłonić stepowe przestrzenie.

Flik odjechał. Ludzie na bajdakach budzili się zwolna. wnet ogłoszono rozkazy Krzeczow-

skiego, by się zachować cicho—więc zabierali się do rannego posiłku bez żołnierskiego gwaru. Ktoby przechodził brzegiem lub płynął środkiem rzeki, aniby się domyślił, że w przyległej łasze ukrywa się kilka tysięcy ludzi. Koniom dawano jeść z ręki, by nie rżały. Bajdaki zakryte mgłą, leżały przyczajone w lesie szuwarów. Gdziekolwiek tylko przemykała się mała „pidizdka“ o dwóch wiosłach, rozwołująca suchary i rozkazy, zresztą wszędzie panowało grobowe milczenie.

Nagle w trawach, trzcinach, szuwarach i zaroślach przybrzeżnych, naokoło całej łachy, rozległy się dziwne, a bardzo liczne głosy wołające:

— Pugu! pugu!...

Cisza...

— Pugu! pugu!

I znowu nastało milczenie, jak gdyby owe głosy, wołające na brzegach, oczekiwały na odpowiedź.

Ale odpowiedzi nie było. Wołania zabrzmiały po raz trzeci, ale szybsze i niecierpliwsze.

— Pugu! pugu!

Wówczas od strony statków, rozległ się wśród mgły głos Krzeczowskiego.

— A kto taki?

— Kozak z Ługu!

Semenom ukrytym na bajdakach serca za-  
biły niespokojnie. Tajemnicze owo wołanie by-  
ło im znane dobrze. W ten sposób zaporozcy  
porozumiewali się z sobą na zimownikach,  
w ten także sposób w czasie wojen zapraszali  
na rozmowę braci kozaków rejestrowych i gro-  
dowych, między którymi bywało wielu należą-  
cych sekretnie do bractwa.

Głos Krzeczowskiego rozległ się znowu:

— Czego chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporozki,  
oznajmia, że działa na łachę są obrócone.

— Powiedzcie hetmanowi zaporozkiemu, że  
nasze obrócone na brzegi.

— Pugu! pugu!

— Czego jeszcze chcecie?

— Bohdan Chmielnicki, hetman zaporozki,  
prosi na rozmowę swojego przyjaciela, pana  
Krzeczowskiego pułkownika.

— Niech jeno da zakładników.

— Dziesięciu kurzeniowych.

— Zgoda!

W tej chwili brzegi łachy zakwitły, jakby  
kwieciami zaporozcami, którzy popowstawali

zpośród traw, między którymi leżeli ukryci. Zdala od stepów nadciągała ich konnica i armaty, ukazały się dziesiątki i setki chorągwi, znamion, buńczuków. Szli ze śpiewaniem i biciem w kotły. Wszystko to razem podobniejsze było do radosnego powitania, niż do zętknięcia się wrogich potęg.

Semenowie z bajdaków odpowiedzieli okrzykami. Tymczasem przybyły czółna, wiozące atamanów kurzeniowych. Krzeczowski wsiadł w jedno z nich i odjechał na brzeg. Tam podano mu konia i przeprowadzono natychmiast do Chmielnickiego.

Chmielnicki ujrzawszy go uchylił czapki, a następnie powitał go serdecznie.

— Mości pułkowniku, rzekł, stary przyjacielu mój i kumie! Gdy pan hetman koronny kazał ci mnie łapać i do obozu odstawić, tyś tego uczynić nie chciał, jeno mię ostrzegłeś, bym się ucieczką salwował, dla którego postępku winienem ci wdzięczność i miłość braterską!

To mówiąc, rękę uprzejmie wyciągał, ale czar niawa twarz Krzeczowskiego pozostała jak lód zimna.

— Teraz zaś, gdyś się wyratował, mości hetmanie—rzekł—rebelią podniosłeś.

— O swoje to, twoje i całej Ukrainy krzywdy idę się upomnieć, z przywilejami królewskimi w rękę i w tej nadziei, że nasz pan miłościwy za złe mi tego nie poczyta.

Krzeczowski począł patrzeć bystro w oczy Chmielnickiemu i rzekł z przyciskiem:

— Kudak obległeś?

— Ja? Chybabym był z rozumu obran. Kudak minąłem i anim wystrzelił, choć mnie stary ślepiec armatami oznajmiał. Mnie na Ukrainę było pilno, nie do Kudaku i do ciebie było pilno, do starego druha, dobrodzieja.

— Czego tedy odemnie chcesz?

— Jedź ze mną trochę w step, to się rozmówiem.

Ruszyli końmi i pojechali. Bawili z godzinę. Po powrocie, twarz Krzeczowskiego była blada i straszna. Wnet też zaczął żegnać się z Chmielnickim, który rzekł mu na drogę:

— Dwóch nas będzie na Ukrainie, a nad nami jeno król i nikt więcej.

Krzeczowski wrócił do bajdaków. Stary Barabas, Flik i starszyzna oczekiwali go niecierpliwie.

— Co tam?—co tam?—pytano go ze wszystkich stron.

— Wysiadać na brzeg!—odpowiedział rozkazującym głosem Krzeczowski.

Barabasza podniósł senne powieki, jakiś dziwny płomień błysnął mu w oczach.

— Jakto?—rzekł.

— Wysiadać na brzeg, poddajem się!

Fala krwi buchnęła na bladą i pożółkłą twarz Barabasza. Wstał z kotła, na którym siedział, wyprostował się—i nagle ten zgięty, zgrzybiały starzec zmienił się w olbrzyma, pełnego życia i siły.

— Zdrada!—ryknął.

— Zdrada!—powtórzył Flik, chwytając za rękojeść rapiera.

Ale nim go wydobył, pan Krzeczowski świsnął szablą i jednym zamachem rozciągnął go na pomoście.

Następnie skoczył z bajdaku w podjazdkę tuż stojącą, w której siedziało czterech zaporców z wiosłami w ręku—i krzyknął:

— Między bajdaki!

Czółno pomknęło jak strzała, pan Krzeczowski zaś stojąc w środku, z czapką na

okrwawionej szabli, z oczyma jak płomienie, krzyczał potężnym głosem:

— Dzieci! nie będziem swoich mordować! Niech żyje Bohdan Chmielnicki, hetman zaporozki!

— Niech żyje!—powtórzyły setne i tysięczne głosy.

— Na pohibel lachom!

— Na pohibel!!

Wrzaskom z bajdaków odpowiadały okrzyki zaporozców na brzegach. Ale wielu ludzi ze statków stojących dalej, nie wiedziało jeszcze o co chodzi, dopiero gdy wszędzie rozbiegła się wieść, że pan Krzeczowski przechodzi do zaporozców, prawdziwy szal radości ogarnął semenów. Sześć tysięcy czapek wyleciało w górę, sześć tysięcy rusznic huknęło wystrzałami. Bajdaki zatrzęsły się pod stopami mołojców. Powstał tumult i zamieszanie. Wszelako radość owa musiała być krwią oblana, bo stary Barabasz wolał ginąć, niż zdradzić chorągiew, pod którą wiek życia przesłużył. Kilkudziesięciu ludzi czerkaskich opowiedziało się przy nim i wszczęła się bitwa krótka, straszna — jak wszystkie walki, w których garsć ludzi, pożądająca nie łaski ale śmierci, broni się tłumom.

Ani Krzeczowski, ani nikt z kozaków nie spodziewał się takiego oporu. W starym pułkowniku rozbudził się dawny lew. Na wezwania, by broń złożył, odpowiadał strzałami — i widziano go z buławą w ręku, z rozwianemi białemi włosami, wydającego rozkazy grzmiącym głosem i z młodzieńczą energią. Statek jego otoczono ze wszystkich stron. Ludzie z tych bajdaków, które nie mogły się docisnąć, wskakiwali w wodę i płynąc lub brodząc między oczeretami, chwytając następnie za krawędź statku, wdzierali się nań z wściekłością. Opór był krótki. Wierni Barabaszowi semenowie, skłóci, zrabani lub porozrywani rękami, zalegli trupem pomost — stary z szablą w ręku brocił się jeszcze.

Krzeczowski przedarł się ku niemu.

— Poddaj się! — krzyknął.

— Zdrajco! na pohibel! — odparł Barabasz i wzniosł szablę do cięcia.

Krzeczowski cofnął się szybko w tłum.

— Bij! — zawołał do kozaków.

Ale zdawało się, że nikt nie chce pierwszy podnieść ręki na starca. Na nieszczęście jednak pułkownik pośliznął się we krwi i upadł.

Leżący nie wzbudzał już tego szacunku, czy też przestachu i wnet kilkanaście ostrzów pograżyło się w jego ciało. Starzec zdołał tylko wykrzyknąć: „Jezus Marya!”

Zaczęto siekać leżącego i rozsiekano w kawałki. Uciętą głowę przerzucano z bajdaku do bajdaku, bawiąc się nią jak piłką, dopóty, dopóki po niezręcznem rzuceniu, nie wpadła w wodę.

Pozostawali jeszcze Niemcy, z którymi trudniejsza była sprawa, bo regiment składał się z tysiąca starego i wyćwiczonego w różnych wojnach żołnierza.

Dzielny Flik poległ wprawdzie z ręki Krzeczowskiego, ale na czele regimentu pozostał Johan Werner, podpułkownik, weteran jeszcze z trzydziestoletniej wojny.

Krzeczowski pewny był prawie zwycięstwa, gdyż bajdaki niemieckie otoczone były ze wszystkich stron kozackimi, chciał jednak zachować dla Chmielnickiego tak znaczny zastęp niezrównanej i doskonale uzbrojonej piechoty, dla tego wołał z niemi rozpocząć układy.

Zdawało się przez jakiś czas, że Werner zgadza się na nie, gdyż rozmawiał spokojnie z Krzeczowskim i słuchał uważnie wszelkich obietnic, jakich mu przeniewierczy pułkownik

nie szczędził. Żołd, z którym Rzeczpospolita była zaległa, miał być natychmiast za ubiegły czas i za rok jeszcze z góry wypłacony. Po roku knechtowie mogli się udać, gdzieby chcieli, choćby nawet do obozu koronnego.

Werner niby namyślał się, ale tymczasem wydał cicho rozkazy, by bajdaki przysunąć do siebie, tak aby utworzyły jedno zwarte koło. Na okręgu tego koła, stanął mur piechurów, ludzi roslých i silnych, przybranych w żółte kolety i takiejże barwy kapelusze, w zupełnym szyku bojowym, z lewą nogą wysuniętą naprzód do strzału i z muszkietami przy prawym boku.

Werner z obnażoną szpadą w rękę stał w pierwszym szeregu i namyślał się długo.

Nakoniec podniósł głowę:

— Herr Hauptman!—rzekł — zgadzamy się!

— Nie straciecie na nowej służbie, zawołał z radością Krzeczowski.

— Ale pod warunkiem.....

— Zgadzam się z góry.

— Jeżeli tak, to i dobrze. Nasza służba u Rzeczypospolitej kończy się w czerwcu. Od czerwca pójdziemy do was.

Przekleństwo wyrwało się z ust Krzeczowskiego. Powstrzymał jednak wybuch.

— Czy kpisz, mości lejtnancie?—spytał.

— Nie!—odparł z flegmą Werner. Nasza cześć żołnierska każe nam układu dotrzymać. Służba kończy się w czerwcu. Służymy za pieniądze, ale nie jesteśmy zdrajcami. Inaczej niktby nas nie najmował, a i wy sami nie ufalibyście nam, bo ktoby wam ręczył, że w pierwszej bitwie nie przejdziem znowu do hetmanów.

— Czego tedy chcecie?

— Byście nam dali odejść.

— Nie będzie z tego nic, szalony człowiecze! Każę was w pień wyciąć.

— A ilu swoich stracisz?

— Noga z was nie ujdzie.

— Połowa z was nie zostanie.

Obaj mówili prawdę, dla tego Krzeczowski, chociaż flegma Niemca wzburzyła w nim wszystką krew, i wściekłość poczyniała go dławić, nie chciał jeszcze rozpoczynać bitwy.

— Nim słońce zejdzie z łąchy, zawołał, namyślcie się, poczem każę cyngłów ruszać!

I odjechał pospiesznie w swojej podjazdce, by się z Chmielnickim naradzić.

Nastąpiła chwila oczekiwania. Bajdaki kozackie otoczyły ciaśniejszym pierścieniem Niemców, którzy zachowywali chłodną postawę, ja-

ką tylko stary i bardzo wyćwiczony żołnierz zdoła zachować wobec niebezpieczeństwa. Na groźby i obelgi, wybuchające co chwila z kozackich bajdaków, odpowiadali pogardliwym milczeniem. Był to prawdziwie imponujący widok tego spokoju wśród coraz silniejszych wybuchów wściekłości ze strony młojców, którzy potrząsając groźnie spisami i „piszczelami,” zgrzytając zębem i klnąc, oczekiwali niecierpliwie hasła do boju.

Tymczasem słońce, skręcając od południa ku zachodniej stronie nieba, zdejmowało zwolna swoje złote blaski z łachy, która stopniowo pogrążała się w cieniu.

Nakoniec pogrążyła się zupełnie.

Wówczas zagrała trąbka, a zaraz potem głos Krzeczowskiego ozwał się z daleka:

— Słońce zeszło! czy już namyśliliście się!

— Już!—odparł Werner. I zwróciwszy się ku żołnierzom, machnął obnażoną szpadą.

— Feuer!—skomenderował spokojnym, flegmatycznym głosem.

Huknęło! Plusk ciał wpadających do wody, okrzyki wściekłości i gorączkowa strzelanina odpowiadały na głos niemieckich muszkietów. Armaty zatoczone na brzeg ozwały się basem

i poczęły ziać kule na niemieckie bajdaki. Dymy przesłoniły łachę zupełnie — i tylko wśród krzyków, huk, poświstu strzał tatarskich, grzechotania „piszczeli“ i samopałów, regularne salwy muszkietów zwiastowały, że Niemcy bronią się ciągle.

O zachodzie słońca bitwa wrzała jeszcze, ale zdawała się słabnąć. Chmielnicki w towarzystwie Krzeczowskiego, Tuhaj-beya i kilkunastu atamanów, przyjechał na sam brzeg rekognoskować walkę. Rozdęte jego nozdrza wciągały dym prochu, a uszy napawały się z lubością wrzaskiem tonących i mordowanych Niemców. Wszyscy trzej wodzowie patrzyli na rzeź, jakby na widowisko, które zarazem stanowiło pomyślną dla nich wróżbę.

Walka ustawała. Wystrzały umilkły, a natomiast coraz głośniejsze okrzyki kozackiego tryumfu biły o niebo.

— Tuhaj-beyu! — rzekł Chmielnicki, to dzień pierwszego zwycięstwa.

— Jassyrz nie ma! — oburknął murza — nie chcę takich zwycięstw!

— Weźmiesz go na Ukrainie. Cały Sтамбул i Galatę napełnisz twemi jeńcami!

— Wezmę choć ciebie, jak nie będzie kogo!

To rzekłszy, dziki Tuhaj roześmiał się zło-  
wrogo — po chwili zaś dodał:

— Jednakże chętnie byłbym wziął tych  
„franków“.

Tymczasem bitwa ustała zupełnie. Tuhaj-  
bey zawrócił konia ku obozowi, a za nim i inni.

— No! teraz na Żółte wody! — zawołał  
Chmielnicki.



## ROZDZIAŁ XV.

Namiestnik słysząc bitwę, wyczekiwał ze drżeniem jej końca, sądząc początkowo, że Chmielnicki potyka się ze wszystkimi siłami hetmanów.

Ale pod wieczór, stary Zachar wyprowadził go z błędu. Wieść o zdradzie semenów pod wodzą Krzeczowskiego i wycięciu Niemców, wzburzyła do głębi duszy młodego rycerza, była bowiem zapowiedzią przyszłych zrad, a namiestnik wiedział doskonale, że nie mała część wojsk hetmańskich składa się przeważnie z kozaków.

Udręczenia namiestnika wzrastały, a tryumf w zaporozkim obozie, dorzucał jeszcze do nich goryczy. Wszystko zapowiadało się jak najgorzej. O księciu nie było wieści — a hetmani popełnili widocznie straszliwy błąd, gdyż zamiast ruszyć wszystką potęgą ku Ku-

dakowi, albo zresztą czekać nieprzyjaciela w warownych obozach na Ukrainie, rozdzielili siły, osłabili się dobrowolnie, dali szerokie pole wiarołomstwu i zdradzie. W obozie zaporozkim mówiono wprawdzie już poprzednio o panu Krzeczowskim i o osobnem wysłaniu wojsk pod wodzą Stefana Potockiego, ale namiestnik nie dawał wiary tym wieściom. Sądził, że to są silne podjazdy, które w porę będą cofnięte. Tymczasem stało się inaczej. Chmielnicki wzmocnił się przez zdradę Krzeczowskiego kilkoma tysiącami ludzi, a nad młodym Potockim zawisło straszliwe niebezpieczeństwo. Pozbawionego pomocy i zabłąkanego w pustyniach, łatwo teraz mógł Chmielnicki otoczyć i zgnieść zupełnie.

W bólach od ran, w niepokoju, w czasie nocy bezsennych, pocieszał się Skrzetuski tylko myślą o księciu. Gwiazda Chmielnickiego musi przecie zblednąć, gdy książę podniesie się w swoich Łubniach. A któż może wiedzieć, czy on już nie połączył się z hetmany? Jakkolwiek znaczne były siły Chmielnickiego, jakkolwiek początki pochodu pomyślne, jakkolwiek szedł z nim Tuhaj-bey, a w razie niepowodzenia obiecał ruszyć w pomoc sam „carz“

krymski, Skrzetuskiemu ani w głowie nie powstała myśl, by ta zawierucha mogła trwać długo, by jeden kozak mógł wstrząsnąć całą Rzeczpospolitą i złamać groźną jej siłę. U proków ukraińnych ta fala się rozbija! — myślał namiestnik. Jakże to bowiem kończyły się wszystkie buntury kozackie? Wybuchwały jak płomień i gasły po pierwszym zetknięciu się z hetmanami. Tak było aż dotąd. Gdy z jednej strony stawało do boju gniazdo drapieżników niżowych, z drugiej potęga, której brzegi oblewały dwa morza—rozwiązanie łatwem było do przewidzenia. Burza nie może być trwałą, więc przejdzie — i nastanie pogoda. Ta myśl krzepiła pana Skrzetuskiego, i można rzec, utrzymywała go na nogach, bo zresztą ciężko na nim brzemień tak ciężkie, jakiego nigdy dotąd w życiu nie dźwigał. Burza choć przejdzie, może spustoszyć pola, zburzyć domy, i naczynić szkód niepowetowanych. Oto z przyczyny tej burzy, on sam o mało życia nie stracił, sił się zbawił i popadł w gorzką niewolę, właśnie wówczas, gdy mu na wolności tyle prawie, ile na samem życiu, zależało. Jakże tedy od zawieruchy mogły ucieść istoty

słabsze, nie umiejące się bronić? Co tam działo się w Rozłogach z Heleną?

Ale Helena musiała być już w Łubniach. Namiestnik widywał ją we snach otoczoną przez twarze życzliwe, przyhołubianą przez samego księcia i księżnę Gryzelde, podziwianą przez rycerzy — a jeno tęskną za swoim usarzem, któren gdzieś przepadł na Siczy. Ale przyjdzie wreszcie chwila, że usarz wróci. Oto sam Chmielnicki przyrzekł mu wolność — a zresztą fala kozacka płynie i płynie do progów Rzplitej, gdy się rozbije, będzie koniec zmar-twieniom, zgryzotom i niepokojom.

Fala płynęła rzeczywiście. Chmielnicki nie zwłócząc, ruszył obóz i ciągnął na spotkanie syna hetmańskiego. Siła jego była już rzeczywiście groźną, bo wraz z semenami Krzeczowskiego i czambułem Tuhaj-beya, wiódł blisko 25 tysięcy wyćwiczonych i boju chciwych wojowników. O siłach Potockiego nie było pewnych wiadomości. Zbiegowie mówili, że prowadzi dwa tysiące ciężkiej jazdy i kilkanaście armatek. Bitwa w tej propiercy sił, mogła być wątpliwą, bo jeden atak straszliwej husaryi, wystarczał często do zgniecenia dziesięć-kroć liczniejszych zastępów. Tak pan Chod-

kiewicz, hetman litewski, w trzy tysiące husarzy, startł czasu swego pod Kircholmem, na proch, ośmnaście tysięcy wybranej piechoty i jazdy szwedzkiej; tak pod Kłuszynem, jedna chorągiew pancerna, w szalonej furii rozniosła kilka tysięcy angielskich i szkockich najemników. Chmielnicki pamiętał o tem, więc szedł, wedle słów ruskiego kronikarza, zwolna i ostrożnie: „mnogiemi umu swojego oczyma, jako łowiec chytry, na wszystkie strony poglądając i strażę na milę i dalej od obozu mając“ <sup>1)</sup>. Tak zbliżył się ku Żółtej wodzie. Złapano znówu dwóch języków. Ci potwierdzili szczupłość sił koronnych i donieśli, iż kasztelan przeprawił się już przez Żółtą wodę. Zasłyszawszy to Chmielnicki, stanął jak wryty na miejscu i okopał się wałami.

Serce biło mu radośnie. Jeżeli Potocki odważy się na szturm, tedy musi być pobity. Kozacy nie umieją dostać w polu pancernym, ale z za wału biją się doskonale — i w tak wielkiej przewadze sił, szturmy niechybnie odeprą. Chmielnicki liczył na młodość i nie-doświadczenie Potockiego. Ale przy młodym

---

<sup>1)</sup> Samoil Weliczko, 62.

kasztelanie był doświadczony żołnierz, staroście żywiecki, pan Stefan Czarniecki, pułkownik usarski. Ten spostrzegł niebezpieczeństwo i skłonił kasztelana, by cofnął się napowrót za Żółtą wodę.

Chmielnickiemu nie pozostało nic innego, jak ruszyć za nimi. Drugiego dnia, przeprawivszy się przez topieliska żółtowodzkie, oba wojska stanęły sobie oko w oko.

Ale żaden z wodzów nie chciał uderzyć pierwszy. Nieprzyjazne obozy poczęły pośpiesznie otaczać się szanćcami. Była to sobota, dzień 5-ty maja. Cały dzień deszcz lał obficie. Chmury zawałyły tak niebo, iż od południa panował mrok, jakoby w dniu zimowym. Pod wieczór ulewa zwiększyła się jeszcze. Chmielnicki ręce zacierał z radości.

— Niech jeno step rozmięknie, mówił do Krzeczowskiego, a nie będę się wahał wstępnym bojem i z ussaryą się potkać, gdyż oni w swych ciężkich zbrojach w błocie potoną.

A deszcz padał i padał, jakby samo niebo chciało Zaporozu przyjść w pomoc.

Wojska okopywały się leniwie i posępnie, wśród strug wody. Ogni nie mczna było roz-

palić. Kilka tysięcy ordyńców wyszło z obozu pilnować, aby tabor polski korzystając ze mgły, fali i nocy, nie próbował się wymknąć. Potem zapadła cisza głęboka. Słuchać było tylko szelest ulewy i szum wiatru. Zapewne też nikt nie spał w obu obozach.

Nad ranem trąby zagrały w polskim obozie długo i żałośnie, jakby na trwogę, potem bębny tu i owdzie zaczęły warczeć. Dzień wstawał smutny, ciemny, wilgotny, nawałnica ustała, ale padał jeszcze drobny deszczyk, jakoby przesiewany przez sito.

Chmielnicki kazał uderzyć z działa.

Za nim wnet ozwało się drugie, trzecie, dziesiąte i gdy z obozu do obozu zaczęła się zwykła z armat „korespondencya“, pan Skrzetuski rzekł do swego kozackiego anioła stróża:

— Zachar, wyprowadź mię na szaniec, abym zaś mógł widzieć co się dzieje.

Zachar sam był ciekawy, więc nie stawiał oporu. Poszli na wysoki narożnik, z kąd widać było jak na dłoni zakłęśtą nieco dolinę stepową, topieliska żółtowodzkie i oba wojska. Ale zaledwie pan Skrzetuski spojrzał, wraz się uchwycił za głowę i wykrzyknął:

— Na Boga żywego! toż to jest podjazd, nie więcej!

Rzeczywiście wały obozu kozackiego, rozciągały się blisko na ćwierć mili, gdy tymczasem polski, wyglądał w porównaniu z nim, jak szaneczek tylko. Nierówność sił była tak wielka, że zwycięstwo kozaków nie mogło być wątpliwem.

Ból ścisnął serce namiestnika. Nie nadeszła więc jeszcze godzina upadku dla pychy i buntu, a ta co nadejdzie, ma być nowym jego tryumfem! Tak się przynajmniej zdawało.

Harce pod ogniem dział były już rozpoczęte. Z narożnika widać było pojedynczych jeźdźców, albo gromadki ich, ścierające się ze sobą. To tatarzy harcowali z semenami Potockich, przybranymi w granatowe i żółte barwy. Jeźdźcy dopadali do siebie i odskakiwali szybko, zajeżdżali się wzajemnie z boków, godzili w siebie z pistoletów i łuków, lub włóczniami starali się chwycić wzajemnie na arkany. Utarczki owe wydawały się zdaleka raczej zabawą, i tylko konie, biegające tu i owdzie bez jeźdźców po błoni, wskazywały, że tam przecie chodzi o śmierć i życie.

Tatarów wysypywało się coraz więcej. Wkrótce błonie zaczęło się od zbitych ich mas, wówczas też i z obozu polskiego poczęły wysuwać się coraz nowe chorągwie i ustawiać się w szyku bojowym przed okopem. Było tak blisko, że pan Skrzetuski bystrym swym wzrokiem odróżnić mógł wyraźnie znaki, buńczuki, a nawet rotmistrzów i namiestników, którzy stawali końmi trochę bokiem przy chorągwiach.

Serce poczęło w nim skakać, na bladą twarz biły rumieńce, i jak gdyby mógł znaleźć wdzięcznych słuchaczy w Zacharze i kozakach, stojących przy działach na narożniku, wołał z uniesieniem, w miarę jak chorągwie wysuwały się z za okopu:

— To dragonia pana Bałabana, widziałem ich w Czerkasach!

— To wołoska chorągiew; krzyż mają w znaku!

— O! ono piechota zstępuje z wałów!

Poczem jeszcze z większem uniesieniem, otworzywszy ręce:

— Usaryja! usaryja pana Czarnieckiego!

Istotnie ukazała się i usaryja, a nad nią chmura skrzydeł i sterczący w górę las włócz-

ni, zdobnych w złotawe kitajki i w długie zielono-czarne proporce. Wyjechali szóstkami z okopu i ustawili się pod wałem, a na widok ich spokoju, powagi i sprawności, aż łyzy radośne ukazały się w oczach pana Skrzetuskiego i zaćmiły mu wzrok na chwilę.

Choć siły były tak nierówne, choć naprzeciwko tych kilku chorągwi czerniała cała lawa zaporozców i tatarów, którzy jak zwykle zajęli skrzydła, choć szyki ich tak rozciągnęły się po stepie, że końca ich trudno było dojrzeć, pan Skrzetuski wierzył już w zwycięstwo. Twarz mu się śmiała, siły wróciły, oczy wyteżone na błonie strzelały ogniem, jeno na miejscu ustać nie mógł.

— Hej *dełyno!* — mruknął stary Zahar — chciałaby dusza do raju!

Tymczasem kilka luźnych oddziałów tatarskich, z krzykiem i hałakowaniem, rzuciło się naprzód. Z obozu odpowiedziano strzałami. Ale był-to tylko postrach. Tatarzy, niedobiegłszy nawet do polskich chorągwi, pierzchnęli na obie strony ku swoim i znikli w tłumie.

W tem ozwał się wielki bęben siczowy, a na jego głos wnet olbrzymi półksiężyc kozacko-tatarski ruszył z kopyta naprzód. Chmiel-

nicki próbował widocznie, czy jednym zamachem nie zdoła zgnieść owych chorągwi i zając obozu. W razie popłochu byłoby to możliwem. Wszelako nie połoźnego nie okazywało się między polskimi chorągwiami. Stały one spokojnie, rozwinięte w dość długą linię, której tył zasłaniał okop, boki zaś działa taborowe, tak że można było na nią uderzyć tylko z frontu. Przez chwilę zdawało się, że przyjmą bitwę na miejscu, ale gdy półksiężyc przebiegł już połowę błonia, ozwały się w okopie trąbki do ataku—i nagle płot kopii, sterzczących aż dotąd ku górze, zniżył się odrazu do głów końskich.

— Usaryja uderza!—krzyknął pan Skrzetuski.

Jakoż pochyłili się w siodłach i ruszyli na przód, a zaraz za nimi dragońskie chorągwie i cała linia bojowa.

Uderzenie husarzy było straszne. W pierwszym impecie trafili na trzy kurzenie, dwa Steblowskie i Mirhorodzki—i starli je w mgnieniu oka. Wycie doszło aż do uszu pana Skrzetuskiego. Konie i ludzie zwaleni z nóg olbrzymim ciężarem żelaznych jeźdźców, padli jak łan pod tchnieniem burzy. Opór trwał tak

krótko, że Skrzetuskiemu zdało się, iż jakiś olbrzymi smok połknął jednym haustem te trzy półki. A był to przecie najzaciętszy żołnierzyk siczowy. Przerażone szumem skrzydeł konie zaczęły roznosić popłoch w szeregach zaporkich. Półki Irklejewski, Kałnibołocki, Miński, Szkuryński i Titorowski, zmieszali się zupełnie, a naciskane przez masy pierzchających, jeły i same ustępować bezładnie. A tymczasem dragonia dognała husarzy i rozpoczęła wraz z nimi krwawe żniwo. Kurzeń Wasiuryński pierzchnął po zaciętym ale krótkim oporze i gnał w dzikim popłochu aż do samych okopów kozackich. Środek sił Chmielnickiego chwiał się coraz bardziej i bity, spędzany w bezładne gromady, cięty mieczami, party żelazną nawałą, nie mógł uchwycić chwili, by przystanąć i sprawić się na nowo.

— Czorty, ne lachy! — krzyknął stary Zahar.

Skrzetuski był jakby w obłąkaniu. Chorym będąc, nie umiał panować nad sobą, więc śmiał się i płakał jednocześnie, a chwilami krzyczał słowa komendy, jakby sam chorągiew prowadził. Zachar trzymał go za poły, i innych w pomoc musiał wołać.

Bitwa przybliżyła się tak do taboru kozackiego, że niemal twarze można już było rozemnać. Z okopów bito z dział, ale kule kozackie kładąc zarówno swoich jak nieprzyjaciół, powiększały jeszcze zamieszanie.

Hussarya natknęła się na kurzeń Paszkowski, który stanowił gwardyę hetmańską i w środku którego był sam Chmielnicki. Nagle krzyk straszny rozległ się po wszystkich szeregach zaporozkich: wielka chorągiew malinowa zachwiała się i padła.

Ale w tej chwili Krzeczowski na czele pięciu tysięcy swoich semenów ruszył do boju. Siedząc na bułanym ogromnym koniu, leciał w pierwszym szeregu, bez czapki, z szablą nad głową, zgarniając przed sobą rozproszonych niżowców, którzy spostrzegłszy nadchodzącą pomoc, choć i bez ordynku, wracali do ataku. Bitwa zawrzała w środku linii na nowo.

Na obu skrzydłach szczęście również nie dopisało Chmielnickiemu. Tatarzy, po dwakroć odparci przez wołoskie chorągwie i semenów Potockich, stracili całkiem ochotę do boju. Pod Tuhaj-beyem ubito dwa konie. Zwycięstwo przechyliło się stanowczo na stronę młodego Potockiego.

Bitwa jednak nie trwała już długo. Ulewa, która od niejakiemu czasu wzrastała coraz bardziej, wkrótce zwiększyła się do tego stopnia, że przez fale dżdżowe świata nie było widać. Już nie strugi, ale potoki deszczu spadały na ziemię z otwartych upustów niebieskich. Step zmienił się w jezioro. Zrobiło się tak ciemno, że o kilka kroków człowiek człowieka nie odróżniał. Szum deszczu głużył komendę. Zamoczone muszkiety i samopały umilkły. Samo niebo położyło koniec rzezi.

Chmielnicki, przemoczony do nitki, wściekły wpadł do swego taboru. Nie przemówił do nikogo ani słowa. Rozbito mu namiocik ze skór wielbłądzych, pod który schroniwszy się, siedział samotny, przeżuwając gorzkie myśli.

Ogarniała go rozpacz. Teraz dopiero pojął, jakiego to jał się dzieła. Oto był pobity, odparty, niemal złamany, w bitwie z tak małemi siłami, że słusznie mógł je za podjazd uważać. Wiedział on jak wielką była siła odporna wojsk Rzeczypospolitej i brał to w rachubę, gdy się na wojnę odważył, a przecie przeliczył się. Tak przynajmniej zdawało mu się w tej chwili, więc chwycił się za podgolony łeb i pragnął rozbić go o pierwsze spotkane dzia-

ło. Cóż dopiero będzie, gdy przyjdzie mieć sprawę z hetmanami i z całą Rzplitą?

Rozmyślania przerwało wejście Tuhaj-beya.

Oczy tatara pałały wściekłością, twarz była blada, a zęby błyskały z za warg nieobrosłych wąsem.

— Gdzie łupy, gdzie jeńcy, gdzie głowy wodzów, gdzie zwycięstwo? — pytał ochrypłym głosem.

Chmielnicki zerwał się z miejsca.

— Tam! — odparł gromko, ukazując w stronę koronnego taboru.

— Idź-że tam! — ryknął Tuhaj-bey — a nie pójdziesz, to cię na sznurze do Krymu powiodę.

— Pójdę! — rzekł Chmielnicki, — pójdę dziś jeszcze! łupy wezmę i jeńców wezmę, ale ty zdasz sprawę Chanowi, bo łupu chcesz, a boju unikasz!

— Psie! — zawył Tuhaj — ty gubisz wojsko chanowe.

I chwilę stali naprzeciw siebie, parskając nozdrzami, jak dwa odyńce. Ochłonął pierwszy Chmielnicki.

— Tuhaj-beyu, uspokój się! — rzekł. — Fala przerwała bitwę, gdy Krzeczowski złamał już

dragonię. Ja ich znam! Jutro już z mniejszą furą bić się będą. Step rozmięknie do reszty. Hussarya ulegnie. Jutro wszyscy będą nasi.

— Rzekłeś!—burknął Tuhaj.

— I dotrzymam. Tuhaj-beyu, mój przyjacielu, chan mi cię na pomoc przysłał, nie na biedę.

— Przrzekałeś zwycięstwa, nie klęski.

— Wzięto trochę jeńców z dragonii, których ci oddam.

— Oddaj. Każę ich na pal powbijać.

— Nie czyn tego. Puść ich wolno. To ludzie ukraiński z pod chorągwi Bałabana, posłem ich, by draganów na naszą stronę przeciągnęli. Będzie tak, jak z Krzeczowskim.

Tuhaj-bey udobruchał się; spojrzał bystro na Chmielnickiego i mruknął:

— Wężu.

— Chytróść tyle co męztwo warta. Jeśli draganów do zdrady namówię, noga z taboru nie ujdzie—rozumiesz!

— Potockiego ja wezmę.

— Dam ci go—i Czarnieckiego także.

— Daj teraz gorzałki, bo zimno.

— Zgoda.

W tej chwili wszedł Krzeczowski. Pułkownik był ponury jak noc. Przyszłe pożądane starostwa, kasztelanje, zamki i skarby, zasuly się jakby mgłą po dzisiejszej bitwie. Jutro mogą zniknąć całkowicie; a może z owej mgły wynurzy się zamiast nich stryczek lub szubienica. Gdyby nie to, że pułkownik wyciąwszy Niemców hetmańskich, spalił za sobą mosty—byłby z pewnością teraz rozmyślał, jak z kolei zdradzić Chmielnickiego, a przejść z semenami do obozu Potockiego.

Ale było to już niemożliwe.

Siedli tedy we trzech nad gąsiorem gorzałki i poczęli pić w milczeniu. Szum ulewy ustawał zwolna.

Zmierzchało.

Pan Skrzetuski wyczerpany z radości, osłabły, blady, leżał nieruchomie na teledze. Zachar, który go pokochał, kazał swoim kozakom rozpiąć i nad nim wojskowy daszek. Namiestnik słuchał posępnego szumu ulewy, ale w duszy było mu widno, jasno, błogo. Oto jego hussarze pokazali co umieją, oto jego Rzeczpospolita dała opór godny swego majestatu, oto pierwszy impet kozackiej burzy rozbił się już na ostrzach włóczni wojsk koronnych.

A przecie są jeszcze hetmani, jest książę Jeremi i tylu panów, tyle szlachty, tyle potęgi, nad tem wszystkim zaś król — primus inter pares.

Duma podnosiła piersi pana Skrzetuskiego, jak gdyby cała ta potęga była w nim teraz.

W poczuciu jej, po raz pierwszy od czasu utraty wolności na Siczy, poczuł pewną litość nad kozakami: winni są, ale i zaślepieni, gdy z motyką na słońce się porwali — pomyślał. Winni są, ale nieszczęśni, gdy dali się porwać jednemu człowiekowi, który ich na oczywistą zgubę prowadzi.

Potem myśl jego wędrowała dalej. Nastanie spokój, a wówczas każdy o swem prywatnem szczęściu będzie miał prawo pomyśleć. Tu, pamięcią i duszą zawisnął nad Rozłogami. Tam, w bliskości lwiej jamy, musi być cicho jak makiem się. Tam bunt nigdy głowy nie podniesie, a choćby podniósł — Helena już w Łubniach niezawodnie.

Nagle huk dział przerwał złote nici jego rozmyślań.

To Chmielnicki upiwszy się, wyprowadził znowu pułki do ataku.

Ale skończyło się na grze z dział. Krzewowski pohamował hetmana.

Nazajutrz była niedziela. Cały dzień zezedł spokojnie, bez wystrzału. Obozy leżały naprzeciw siebie, jakby obozy dwu wojsk sprzymierzonych.

Skrzetuski przypisywał tę ciszę zniechęceniu kozaków. Niestety! nie wiedział, że tymczasem Chmielnicki „mnogiemi oczyma swego umu patrząc przed siebie“, pracował nad przeciągnięciem na swą stronę draganów Bałabana.

W poniedziałek bitwa zawrzała od świtu. Skrzetuski patrzył na nią, jak i pierwej, z uśmiechniętą, wesołą twarzą. I znowu pułki koronne wystąpiły przed okop, tym jednak razem, nie puszczając się do ataku, dawały wstręt nieprzyjacielowi z miejsca. Step rozmochnął nie tylko na powierzchni, jak pierwszego dnia bitwy, ale do głębi. Ciężka jazda nie mogła się prawie poruszać, co od razu dało przewagę lotnym chorągwiom zaporozkim i tatarskim. Uśmiech zwolna ginał z ust Skrzetuskiego. Pod polskim okopem nawałnica atakujących pokryła prawie zupełnie wązkie pasmo chorągwi koronnych. Zdawało się, że lada moment łańcuch ów rozerwany zostanie i roz-

pocznie się atak wprost do okopów. Pan Skrzetuski nie widział ani połowy tego animuszu, tej ochoty bojowej, z jaką chorągwie walczyły dnia pierwszego. Broniły się i dziś z zaciętością, ale nie uderzały pierwsze, nie rozbijały w puch kurzeniów, nie zmiatały pola przed sobą jak huragan. Grunt stepowy rozmiękły nie na powierzchni tylko, ale do głębi, uniemożliwiał furię i rzeczywiście przygwoździł ciężką jazdę pod okopem. Rozpęd stanowił jej siłę i rozstrzygał o zwycięstwie, a tymczasem teraz musiała stać w miejscu. Chmielnicki zaś wprowadzał coraz nowe pułki do boju. Sam był wszędzie. Każdy kurzeń osobiście wiódł do ataku i wycofywał się dopiero tuż przed szablami nieprzyjaciół. Zapał jego udzielał się stopniowo zaporozcom, więc choć padali gęstym trupem, biegli na wyścigi pod okop, z krzykiem i wyciem. Uderzali się o mur żelaznych piersi, o ostrza włóczy i rozbici, zdziesiątkowani, wracali znów do ataku. Pod tym naporem chorągwie poczęły się kolebać, uginać, miejscami cofać, tak właśnie jak zapaśnik, chwycony w żelazne ramiona przeciwnika, to słabnie, to się znów wysila i wzmacnia.

Przed południem wszystkie niemal siły zaporozkie były w ogniu i bitwie. Walka wrzała tak zacięcie, że między dwoma liniami walczących utworzył się jak gdyby nowy wał — trupów końskich i ludzkich.

Co chwila do okopów kozackich wracały z bitwy gromady wojowników, rannych, pokrwawionych, pokrytych błotem, zziających, upadających ze zmęczenia. Ale wracali ze śpiewaniem na ustach. Z twarzy ich bił żar bitwy — i pewność zwycięstwa. Mdlejąc, wołali jeszcze: „na pohibel!“ Załoga zostawiona w obozie rwała się do boju.

Pan Skrzetuski sposepniał. Chorągwie polskie poczęły zmykać się z pola do okopów. Nie mogły już wytrzymać — a w odwrocie ich znać było gorączkowy pośpiech. Na ten widok dwadzieścia kilka tysięcy ust wrzasnęło radośnie. Impet ataku zdwoił się. Zaporozcy siedli na kark semenom Potockich, którzy zasłaniali odwrót.

Ale armaty i grad kul muszkietowych odrzuciły ich w tył. Bitwa na chwilę ustała. W obozie polskim rozległ się odgłos trąbki parlamentarskiej.

Chmielnicki jednak nie chciał już parlamentować. Dwanaście kurzeniów zsiadło z koni, by wspólnie z piechotą i tatarami rozpocząć szturm do wałów.

Krzeczowski w trzy tysiące piechoty miał im przyjść w pomoc w chwili stanowczej. Wszystkie kotły, bębny, litaury i trąby ozwały się naraz, głuszac okrzyki i salwy muszkietów.

Pan Skrzetuski ze drżeniem patrzył na głębokie szeregi nieźrównanej piechoty zaporozkiej, biegnącej ku wałom i otaczającej je coraz ciśniejszym pierścieniem. Długie smugi białego dymu wybuchały ku niej z okopów, jakby jakaś olbrzymia pierś chciała oddmuchać tę szarańczę, cisnącą się nieubłagane ze wszystkich stron. Kule armatnie ryły w niej bruzdy, strzały samopałów stały się coraz szybsze. Huk nie ustawał ani na chwilę — mrowie topniało w oczach, skręcało się miejscami konwulsyjnie, jak olbrzymi wąż zraniony, ale szło naprzód. Już, już dobiegają! już są pod okopem! — armaty już im szkodzić nie mogą! Pan Skrzetuski przymknął powieki.

I teraz, pytania szybkie jak błyskawice przelatywały mu przez głowę: gdy otworzy

oczy, czy dojrzy jeszcze polskie proporce na wałach? Dojrzy — nie dojrzy? Tam gwar coraz większy, tam wrzask jakiś niezwykły. Musiało się coś stać? Krzyki dochodzą ze środka obozu. Co to jest? Co się stało?

— Boże wszechmocny!

Okrzyk ten wyrwał się z ust pana Skrzetuskiego, gdy otworzywszy oczy, ujrzał na wałach zamiast wielkiej złotej chorągwi koronnej, malinową z archaniołem.

Obóz był zdobyty.

Wieczorem dopiero dowiedział się od Zachara namiestnik o całym przebiegu szturm. Nie próżno Tuhaj-bey nazywał Chmielnickiego wężem, bo oto w chwili najzaciętszej obrony, podmówiona przez niego Bałabanowa draganja przeszła do kozaków i rzuciwszy się z tyłu na swoje chorągwie, dopomogła do wytępienia ich ze szczętem.

Wieczorem widział namiestnik jeńców i był przy śmierci młodego Potockiego, który mając gardło przebite strzałą, żył tylko kilka godzin po bitwie i umarł na ręku pana Stefana Czarnieckiego: „Powiedźcie ojcu — szeptał w ostatniej chwili młody kasztelan — powiedźcie ojcu — żem... jako rycerz...” i nie mógł nic więcej

dodać. Dusza jego opuściła ciało i uleciała ku niebu. Skrzetuski długo potem pamiętał tę bladą twarz i te błękitne oczy, wzniesione w chwili śmierci. Pan Czarniecki ślub czynił nad stygnącym ciałem, że da li mu Bóg wolność odzyskać, a potokami krwi śmierć przyjaciela i hańbę klęski obmyje. I ani łza nie ciekła po surowem jego obliczu, bo to był ry-cerz żelazny, wielce już czynami odwagi wsławiony i człowiek żadnem nieszczęściem nieugięty. Jakoż śluby spełnił. Teraz zaś miast desperacyi się poddawać, pierwszy krzepił Skrzetuskiego, któren cierpiał strasznie nad klęską i hańbą Rzeczypospolitej. Rzeczypospolita niejedną klęskę poniosła, mówił pan Czarniecki, ale ma ona w sobie siłę niespożytą. Nie złamała jej dotąd żadna potęga, nie złamiał i bunt chłopów, których sam Bóg pokarze, gdyż występując przeciw zwierzchności, jego to woli się oponują. A co do klęski, prawda, iż jest żalosną — ale któż tę klęskę poniósł? hetmani? wojska koronne?—nie! Po odłączeniu się i zdradzie Krzeczowskiego, oddział ów, któren prowadził Potocki, tylko za podjazd mógł być uważany. Bunt niechybnie rozejdzie się po całej Ukrainie, gdyż chłopstwo

tam harde i do boju wprowadzone, aleć bunt tam, to przecie nie pierwszozna. Zgaszą go hetmani z księciem Jeremim, których siły nieporuszone dotąd stoją — im zaś potężniej wybuchnie, tem, raz zgaszony, na dłużej, a może na zawsze, ucichnie. Małej wiary i małego serca człowiekiem byłby ten, ktoby mógł przypuszczać, iż jakiś watażka kozacki, na współkę z jednym murzą tatarskim, naprawdę mogą potężnemu narodowi zagrozić. Żleby było z Rzeczpospolitą, gdyby prosta zawierucha chłopska miała stanowić o jej losie, o jej egzystencyi. Zaiste, z pogardą ciągnęliśmy na oną wyprawę—kończył pan Czarniecki—a choć podjazd nasz starto, mniemam, że hetmani nie mieczem, nie bronią, ale batogami mogą ten bunt przytłumić.

I gdy tak mówił, zdawało się, że to mówi nie jeniec, nie żołnierz po przegranej bitwie, ale dumny hetman pewny jutrzejszego zwycięstwa. Ta wielkość duszy i wiara w Rzeczpospolitą spłynęły jako balsam na rany namiestnika. Patrzył on zblizka na potęgę Chmielnickiego, więc go też i oślepiła trochę, tembardziej, że aż dotąd szły za nią powodzenia. Ale pan Czarniecki musiał mieć słuszość.

Siły hetmanów stoją jeszcze nie poruszone, a za nimi cała potęga Rzplitej, zatem prawa, władzy i woli boskiej. Odchodził tedy namiestnik bardzo na duszy pokrzepion i weselszy, a odchodząc, spytał jeszcze pana Czarnieckiego, czyby nie chciał zaraz układów z Chmielnickim o wolność rozpocząć.

— Tuhaj-beyowym jestem jeńcem, rzekł pan Stefan, jemu też okup zapłacę, a z tym watażką nie chcę mieć do czynienia i katu go oddaję.

Zachar, który panu Skrzetuskiemu ułatwił widzenie się z więźniami, odprowadzając go do telegi, również go po drodze pocieszał: „Nie z młodym Potockim trudno, mówił, z hetmany będzie trudno. Dzieło dopiero poczęte, a jaki będzie koniec — Bóg wie! Hej, nabrali kozacy i tatarzy polskiego dobra, ale wziąć a zachować, inna rzecz. A ty się *detyno* nie martw, nie *sumuj*, bo i tak wolność odzyskasz—ty ruszysz do swoich, a stary będzie już tużył po tobie. Na starość najgorzej samemu na świecie. Z hetmany będzie trudno, oj! trudno!”

Rzeczywiście, zwycięztwo jakkolwiek świetne, nie rozstrzygało bynajmniej sprawy na korzyść Chmielnickiego. Mogło mu ono nawet

wypaść na niekorzyść, bo łatwo było przewi-  
dzieć, że teraz hetman wielki, mszcząc śmierć  
syna, ze szczególną zawziętością nastawać bę-  
dzie na zaporozców i niczego nie omieszką,  
żeby ich zgnieść odrazu. Hetman W. oto, ży-  
wił pewną niechęć do księcia Jeremiego, któ-  
ra choć pokrywana grzecznością, nie mniej ob-  
jawiała się dość często w rozmaitych okolicz-  
nościach. Chmielnicki, wiedząc o tem doskona-  
le, przypuszczał, że teraz niechęć ta ustanie  
i że teraz pan krakowski pierwszy wyciągnie  
rękę do zgody, która zapewni mu pomoc wsła-  
wionego wojownika i jego potężnych zastępów.  
A z tak połączonemi siłami, pod takim wo-  
dzem jak książę, Chmielnicki jeszcze mierzyć  
się nie śmiał, bo sobie jeszcze dostatecznie nie  
ufał. Postanowił więc śpieszyć się, by razem  
z wieścią o klęsce żółtowodzkiej stanąć na  
Ukrainie i uderzyć na hetmanów, nimby po-  
moc książęca nadejść mogła.

Nie dał więc wypoczynku wojskom i dru-  
giego dnia po bitwie, świtanie, ruszono w po-  
chód. Pochód to był tak szybki, jak gdyby he-  
tman uciekał. Rzekłbyś, że powódź step zale-  
wa, i pędzi naprzód, i wzbiera wszystkimi  
wodami po drodze. Mijano lasy, dąbrowy, mo-

giły, przeprawiano się przez rzeki, bez wytchnienia. Siły kozackie wzrastały po drodze, bo coraz nowe gromady chłopów, uciekających z Ukrainy, łączyły się z nimi ustawicznie. Chłopi przynosili i wieści o hetmanach — ale sprzeczne. Jedni mówili, że księżę siedzi jeszcze za Dnieprem; inni, że już się połączył z wojskami koronnemi. Natomiast wszyscy twierdzili, że Ukraina już w ogniu. Chłopi nie tylko uciekali na spotkanie Chmielnickiego w dzikie pola, ale palili wsie i miasta, rzucali się na swych panów i uzbrajali powszechnie. Wojska koronne były się już od dwóch tygodni. Wycięto Steblew, pod Derenhowcami zaś przyszło do krwawej bitwy. Kozacy grodowi gdzieniegdzie już przerzucili się na stronę czerni, a wszędzie czekali tylko hasła. Chmielnicki liczył na to wszystko i śpieszył się tem bardziej.

Nakoniec stanął u proga. Czehryn otworzył mu wrota na rozcież. Załoga kozacka przeszła natychmiast pod jego chorągiew. Zburzono dom Czaplińskiego, wyrznięto garść szlachty, szukającej schronienia w mieście. Radosne krzyki, bicie we dzwony i procesye, nie ustawały ani na chwilę. Pożar ogarnął zaraz całą okolicę

Co żyło, chwyciło za kosy, piki i łączyło się z Zaporozem. Tłumy niezmierne czerni spływały do obozu ze wszystkich stron — doszły także i radosne, bo pewne wieści, że książę Jeremi ofiarował wprawdzie pomoc hetmanom, ale jeszcze się z nimi nie połączył.

Chmielnicki odetchnął.

Ruszył bez zwłoki naprzód i szedł już wśród buntu, rzezi i ognia. Świadczyły o tem zgłiszczą i trupy. Szedł jak lawina niszcząc wszystko po drodze. Kraj przed nim powstawał, za nim pustoszał. Szedł jak mściciel, jak legendowy smok. Kroki jego wyciskały krew, oddech wzniecał pożary.

W Czerkasach zatrzymał się z głównemi siłami, wysławszy naprzód tatarów pod Tuhajbeyem i dzikiego Krzywonosą, którzy dogнали hetmanów pod Korsuniem i uderzyli na nich bez wahania. Ale śmiałość drogo musieli spłacić. Odparci, zdziesiątkowani, zbici na miazgę, cofnęli się w popłochu.

Chmielnicki zerwał się i szedł im w pomoc. Po drodze doszła go wieść, że pan Sieniawski w kilka chorągwi połączył się z hetmanami, którzy opuścili Korsuń i ciągną do Bohusławia. Było to prawdą. Chmiel zajął Korsuń

bez oporu i pozostawiwszy w nim wozy, zapasy żywności, słowem cały tabór, komunikiem pognał się za niemi.

Nie potrzebował gonić długo, gdyż nie uszli jeszcze daleko. Pod Krutą Bałką przednie jego straże natknęły się na polski tabór.

Panu Skrzetuskiemu nie było danem widzieć bitwy, gdyż wraz z taborem został w Korsuniu. Zachar umieścił go w rynku, w domu pana Zabokrzyckiego, którego czerń poprzednio powiesiła—i postawił straż z niedobitków Mirhorodzkiego kurzenia, bo tłuszcza ciągle rabowała domy i mordowała każdego, kto się jej wydał lachem. Przez wybite okna widział pan Skrzetuski gromady pijanych chłopów, krwawych, z pozawijanemi rękawami u koszul, włóczących się od domu do domu, od sklepu do sklepu i przeszukujących wszystkie kąty, strychy, poddasza — od czasu do czasu wrzask straszliwy oznajmiał, że znaleziono szlachcica, żyda, mężczyznę, kobietę lub dziecko. Wyciągano ofiarę na rynek i pastwiono się nad nią w sposób najstraszliwszy. Tłuszcza biła się ze sobą o resztki ciał, obmazywała sobie z rozkoszą krwią twarze i piersi, okręcała szyje dymiącemi jeszcze trzewiami. Chłopi chwyтали

małe żydzięta za nogi i rozdzierali wśród szalonego śmiechu tłumów. Rzucano się i na domy otoczone strażą, w których zamknięci byli znakomitsi jeńcy, zostawieni przy życiu dlatego, że spodziewano się po nich znacznego okupu. Wówczas zaporozcy lub tatarzy, stojący na straży, odpierali tłum, grzmocąc po łbach napastników drzewcami od pik, łukami lub batami z byczej skóry. Tak było przy domu pana Skrzetuskiego. Zachar kazał ćwiczyć chłopstwo bez miłosierdzia, a mirhorodcy spełniali z rozkoszą rozkaz, niżowi bowiem przyjmowali chętnie w czasie buntów pomoc czerni, ale pogardzali nią bez porównania więcej od szlachty. Przecie niepróżno zwali się: „szlachetne urożonemi kozakami!“ Sam Chmielnicki darowywał potem niejednokrotnie znaczną ilość czerni tatarom, którzy gnali ją do Krymu i ztamtąd sprzedawali do Turcyi i Azyi mniejszej.

Tłum więc szalał na rynku i dochodził do tak dzikiego opętania, że w końcu począł się wzajemnie mordować. Dzień zapadał. Zapalono całą jedną stronę rynku, cerkiew i dom parocha. Szczęściem wiatr zwiewał ogień ku polu i przeszkadzał szerzeniu się pożaru. Ale łuna

olbrzymia oświeciła rynek tak jasno, jak promienie słoneczne. Zrobiło się gorąco nie do wytrzymania. Zdawało się, że dochodził straszliwy huk dział—widocznie bitwa pod Krutą Bałką stała się coraz zaciętsza.

— Gorąco tam musi być naszym!—mruzczał stary Zachar. Hetmani nie żartują. Hej! pan Potocki szczery *żołnir*.

Potem wskazał przez okno na czerń.

— No!—rzekł—oni teraz hulają — ale jeśli Chmiel będzie pobity, to i nad nimi pohulają!

W tej chwili rozległ się tętęt i na rynek wpadło na śpionionych koniach kilkudziesięciu jeźdźców. Twarze ich zczerniały od prochu, odzież w nieładzie i poobwiązywane szmatami głowy niektórych, świadczyły, iż pędzą wprost z bitwy.

— Ludi! kto w Boha wiruje, spasajtes! Lachy bijut naszych!—krzyczeli w niebogłosy.

Podniósł się wrzask i zamieszanie. Tłum zakółsał się jak fala, targnięta wichrem. Nagle dziki popłoch opanował wszystkich. Rzucono się do ucieczki, ale, że ulice były zatłoczone wozami, a jedna część rynku w ogniu, więc nie było gdzie uciekać.

Czerń poczęła się tłoczyć, krzyczeć, bić, dusić i wyć o miłosierdzie, choć nieprzyjaciół był jeszcze daleko.

Namiestnik, zasłyszawszy co się dzieje, mało nie oszalał z radości; począł biegać po izbie jak obłąkany, rękami bić się w piersi z całej siły i wołać:

— Wiedziałem, że tak się stanie! wiedziałem! jakom żyw! To z hetmany sprawa! to z całą Rzeczpospolitą! Godzina kary nadeszła! Co to?

Znów rozległ się tętęt i tym razem do kilkuset jeźdźców, samych tatarów, pojawiło się na rynku. Uciekali widocznie na ślepo. Tłum zastępował im drogę, oni rzucili się w tłum, tratowali go, bili, rozpędzali, siekli, prąc końmi ku gościńcowi, wiodącemu do Czerkas.

— Uciekają jak wicher — zawołał Zachar.

Ledwo wymówił, przeleciał drugi oddział, za nim trzeci. Zdawało się, że ucieczka jest powszechną. Straże przy domach poczęły kręcić się i również okazywać chęć ucieczki. Zachar wypadł przed ganek.

— Stać! — krzyknął na swych mirhorodców.

Dym, gorąco, zamieszanie, tętęt koni, głosy trwogi, wycie tłumów oświeconych pożarem, wszystko to zlało się w jeden piekielny obraz, na który namiestnik z okna spoglądał.

— Co tam za pogrom być musi! co tam za pogrom!—wołał do Zachara, nie zważając, iż ten radości jego nie mógł podzielać.

Tymczasem znów oddział uciekających przemknął się jak błyskawica.

Huk dział wstrząsał posadami domów Kor-suńskich.

Nagle jakiś głos przeraźliwy, tuż pod domem, począł krzyczeć:

— Ratujcie się! Chmiel zabit! Krzeczowski zabit! Tuhaj-bey zabit!

Na rynku nastał prawdziwy koniec świata.

Ludzie w obłąkaniu rzucali się w płomie-nie. Namiestnik padł na kolana i ręce wznosił do góry:

— Boże wszechmocny! Boże wielki i spraw-wiedliwy—chwała Tobie na wysokościach!

Zacha zerwał mu modlitwę, wpadłszy z pzed sieni do izby.

— A bywaj-no *detyno!* — zawołał zdyszany —wyjdz i obiecnij łaskę mirhorodcom, bo chcą uchodzić—a jak ujdą, czerń tu wpadnie!

Skrzetuski wyszedł na ganek. Mirhorodcy kręcili się niespokojnie przed domem, okazując nieklamana ochotę opuścić stanowisko i pierzchnąć gościńcem wiodącym do Czerkas. Strach opanował wszystkich w mieście. Raz wraz nowe oddziały rozbitków nadlatywały jakby na skrzydłach od strony Krutej Bałki. Uciekali chłopci, tatarzy, kozacy grodowi i zaporozcy, w największym pomieszaniu. A jednak główne siły Chmielnickiego musiały jeszcze dawać opór, bitwa nie musiała być jeszcze zupełnie rozstrzygniętą, gdyż działa grały ze zdwojoną siłą.

Skrzetuski, zwrócił się ku mirhorodcom.

— Za to, iżście strzegli wiernie osoby mojej—rzekł wyniośle—nie potrzebujecie ucieczką się ratować, gdyż obiecuję wam instancję i łaskę u hetmana.

Mirhorodcy, co do jednego, odkryli głowy, a on ujął się pod boki i spoglądał dumnie na nich i na rynek, który pustoszał coraz bardziej. Co za zmiana losu! Oto pan Skrzetuski, niedawno jeniec wleczony za kozackim taborem, stał teraz między zuchwałem kozactwem, jako pan między poddaństwem, jako szlachcic między gminem, jako husarz z pan-

cernego znaku, między obozowemi ciury. On —jeniec—łaskę teraz obiecywał — i głowy odkrywały się na jego widok, a pokorne głosy wołały tym posepnym, przeciągłym, oznaczającym przestrach i poddanie się, tonem:

— Pomilujcie panie!

— Jakom powiedział, tak się stanie! — rzekł namiestnik.

Jakoż istotnie pewien był swej instancyi u hetmana, któremu był znajomy, bo nie raz do niego listy od księcia Jeremiego woził i względy jego umiał pozyskać. Stał tedy trzymając się pod boki i radość biła mu z oblicza, oświeconego jasno blaskiem pożaru.

— Ot, wojna skończona! ot, fala u progu rozbita! — myślał. Pan Czarniecki miał słuszość: niepożyta jest siła Rzeczypospolitej, niezachwianą jej potęgą.

A gdy tak myślał, duma rozsadzała mu piersi; nie niska duma, płynąca ze spodziewanego nasycenia zemsty, z upokorzenia wroga, ani z odzyskania wolności, której za chwilę już się spodziewał, ani z tego, że czapkowano przed nim teraz, ale czuł się dumnym, że jest synem tej Rzeczypospolitej zwycięzkiej, przepotężnej, o której bramy wszelka złość, wszel-

ki zamach, wszelkie ciosy, tak rozbijają się i kruszą, jako mocy piekielne o bramy nieba. Czuł się dumnym, jako szlachcic patryota, że w zwątpieniu został pokrzepion, a w wierze nie zawiedzion. Zemsty już nie pragnął.

— Pogromiła jak królowa, wybaczy jak matka—myślał.

Tymczasem huk dział, zmienił się w grzmot nieustający.

Kopyta końskie zaszczękały znów po pustych ulicach. Na rynek wleciał jak piorun, na nieosiadłym koniu, kozak bez czapki, w jednej koszuli, z twarzą rozciętą mieczem i buchającą krwią. Wleciał, konia osadził, ręce rozkrzyżował i chwytając oddech otwartymi usty, krzycheć począł:

— Chmiel bije lachiw! Pobity jasno wielmożny pany, hetmany i pułkownicy, łycari i kawalery!

To rzekłszy, zachwiał się i na ziemię runął. Mirhorodcy skoczyli mu na pomoc.

Płomień i błądź przeleciały przez oblicze pana Skrzetuskiego.

— Co on mówi?—rzekł gorączkowo do Zachara. Co się stało? Nie może to być. Na Boga żywego! nie może to być!

Cisza! tylko płomienie syczą na przeciwległej stronie rynku, trzaskają snopy iskier, a czasem przepalone domostwo runie z łoskotem.

Aż oto nowi jacyś gońce lecą.

— Pobity lachy! pobity!

Za nimi ciągnie oddział tatarów — idą zwolna, bo otaczają pieszych, widocznie jeńców.

Pan Skrzetuski oczom nie wierzy. Poznaje doskonale na jeńcach barwę hetmańskiej uszy — więc w ręce płaszcze i jakimś dziwnym, nie swoim głosem, powtarza uporczywie:

— Nie może być! nie może być.

Huk armat słyhać jeszcze. Bitwa nieskończona. Przez wszystkie niepopalone ulice napływają jednak tłumy zaporozców i tatarów. Twarze ich czarne, piersi dyszą ciężko — ale wracają jakby upojeni, śpiewają pieśni!

Tak wracają żołnierze po zwycięztwie.

Namiestnik pobladł jak trup.

— Nie może być! — powtarzał coraz chrapliwiej — nie może być... Rzeczpospolita.....

Nowy przedmiot zwraca jego uwagę.

Wchodzą semenowie\_Krzeczowskiego, niosąc całe pęki chorągwi. Przyjeżdżają na środek rynku i rzucają je na ziemię.

Niestety—polskie!

Huk armat słabnie, w oddali słychać turkot nadchodzących wozów. Jedzie naprzód jedna, wysoka, kozacka telega, za nią szereg innych, wszystkie otoczone przez kozaków Paszkowskiego kurzenia, w żółtych czapkach; przechodzą tuż koło domu, przy którym stoją mirhorodcy. Pan Skrzetuski rękę do czoła przytknął, bo go blask pożaru oslepiał, i wpatrzył się w postacie jeńców, siedzących na pierwszym wozie.

Nagle cofnął się w tył, rękami począł bić powietrze, jak człowiek trafiony strzałą w pierś, z ust zaś wyrwał mu się krzyk straszny, nadludzki.

— Jezus, Marya! to hetmani!

I padł na ręce Zachara, oczy zaszczyły mu blachmanem, a twarz stężała i zakrzepła, tak jak u ludzi umarłych.

W kilka chwil później, trzech jeźdźców na czele niezliczonych pułków, wjeżdżało na rynek korsuński. Środkowy, ubrany w czerwień, siedział na białym koniu i wspierając się pod bok pozłocistą buławą, spoglądał dumnie jak król.

Był to Chmielnicki. Po obu jego stronach  
jochali Tuhaj-bey i Krzeczowski.

Rzeczpospolita leżała w prochu i krwi  
u nóg kozaka.



## ROZDZIAŁ XVI.

Upłynęło kilka dni. Ludziom zdawało się, że sklepienie niebieskie runęło nagle na Rzeczpospolitą. Żółte wody, Korsuń, zniesienie wojsk koronnych, zawsze dotąd w walkach z kozakami zwyciężkich, wzięcie hetmanów, pożar straszliwy na całej Ukrainie, rzezie, mordy niesłychane od początku świata, wszystko to zwały się tak nagle, że ludzie prawie wierzyć nie chcieli, aby tyle klęsk mogło przyjść na jeden kraj odrazu. Wielu też nie wierzyło, inni odrętwieli z przerażenia, inni dostali obłąkania, inni przepowiadali przyjście antychrysta i bliskość sądu ostatecznego. Przerwały się wszystkie węzły społeczne, wszelkie stosunki ludzkie i rodzinne. Ustała wszelka władza, znikły różnice między ludźmi. Piekło odczepiło z łańcuchów wszystkie zbrodnie i puściło je na świat, by pohulały: więc mord, grabież, wiarołomstwo,

rozbastwienie się, gwałt, rozbój i szaleństwo, zastąpiły pracę, uczciwość, wiarę i sumienie. Zdawało się, że odtąd ludzkość już nie dobrem, ale złem tylko żyć będzie; że się przeinaczyły serca i umysły, i poczytują to za święte, co dawniej było bezecnem, a za bezecne, co dawniej było świętem. Słońce nie świeciło już nad ziemią, bo je zasłaniały dymy pożarów, a nocami zamiast gwiazd i księżyca, świeciły pożogi. Płonęły miasta, wsie, kościoły, dwory, lasy. Ludzie przestali mówić, jeno jęczeli, albo wyli jak psy. Życie straciło wartość. Tysiące ginęły bez echa, bez wspomnienia. A z tych wszystkich klęsk, mordów, jęków, dymów i pożarów podnosił się tylko jeden człowiek coraz wyżej i wyżej, olbrzymiał coraz straszliwiej, zaciemniał już niemal światło dzienne, rzucał cień od morza do morza.

Był to Bohdan Chmielnicki.

Dwieście tysięcy ludzi zbrojnych i upojonych zwycięstw, stało teraz gotowych na jego skinienie. Czerń powstawała wszędzie; kozacy grodowi łączyli się z nim po wszystkich miastach. Kraj od Prypeci do krańców pustyń, był w ogniu. Powstanie szerzyło się w województwach Ruskiem, Podolskiem, Wołyń-

skiem, Braclawskiem, Kijowskiem i Czernihowskiem. Potęga hetmana rosła codziennie. Nigdy Rzeczpospolita nie wystawiła przeciw najstraszniejszemu wrogowi połowy tych sił, któremi on teraz rozporządzał. Równych nie miał w gotowości i cesarz niemiecki. Burza przeszła wszelkie oczekiwania. Sam hetman początkowo nie zeznawał własnej potęgi i nie rozumiał, jak wyrosł już wysoko. Sprawiedliwością, prawem i wiernością dla Rzplitej jeszcze się osłaniał, bo nie wiedział, że te wyrazy, jako czcze wyrazy, mógł już deptać. Wszelako, w miarę sił, wzrastał w nim i ów niezmierny, bezwiedny egoizm, któremu równego historya nie przedstawia. Pojęcia złego i dobrego, zbrodni i cnoty, gwałtu i sprawiedliwości, zlały się w duszy Chmielnickiego w jedno z pojęciami własnej krzywdy, lub własnego dobra. Ten mu był cny, kto był z nim; ten zbrodniarz, kto przeciw niemu. Gotów był biadać na słońce i poczytywać to sobie za osobistą krzywdę, gdyby nie świeciło wówczas, gdy on potrzebował. Ludzi, wypadki i świat cały mierzyl własnem ja. I mimo całej chytrości, całej hypokryzyi hetmana, była jakaś potworna dobra wiara w takowym jego poglądzie. Wy-

pływały zeń wszystkie występki Chmielnickiego, ale i czyny dobre; bo jeśli nie znał miary w znęcaniu się i okrucieństwie nad wrogiem, natomiast umiał być wdzięcznym za wszystkie, choćby mimowolne usługi, które mu oddawano.

Tylko, gdy był pijany, wówczas zapominał, i o dobrodziejstwach, i rycząc z szaleństwa wydawał śpionionemi usty, krwawe rozkazy, których żałował później. A w miarę, jak rosło jego powodzenie, pijany bywał coraz częściej, bo coraz większy ogarniał go niepokój. Zdałoby się mogło, że tryumfy doprowadziły go na takie wyżyny, na które sam wstąpić nie chciał. Jego potęga przerażała innych, ale i jego samego. Olbrzymia rzeka buntu, porwawszy go, niosła z błyskawicową szybkością, i nieubłagane, ale dokąd? Jak się to wszystko miało skończyć? Poczynając bunt w imię krzywd własnych, mógł ten kozacki dyplomata liczyć, że po pierwszych powodzeniach, lub nawet po klęskach, rozpocznie układy, że zaoferują mu przebaczenie, zadosyć uczynienie i jeszcze nagrodę za krzywdy i szkody. Znał on dobrze Rzeczpospolitą, jej cierpliwość tak nieprzebraną jako morze, jej miłosierdzie nie znające granic i miary, które płynęło nietylko

ze słabości, boć przecie Nalewajce otoczonemu już i zgubionemu, jeszcze ofiarowano przebaczenie. Wszelako teraz, po zwycięztwie na Żółtych wodach, po zniesieniu hetmanów, po rozpaleniu wojny domowej we wszystkich południowych województwach, rzeczy zaszły zbyt daleko, wypadki przerosły wszelkie oczekiwanie, teraz walka musiała się toczyć na śmierć i życie.

A na czyją stronę miało paść zwycięztwo?

Chmielnicki pytał wróżbitów i gwiazd się radził i sam wyteżał oczy w przyszłość — ale widział przed sobą tylko ciemność. Więc czasem straszny niepokój podnosił mu włosy na głowie, a w piersi zrywała się rozpacz, jak wichur. Co będzie, co będzie? Bo Chmielnicki patrząc bystrzej od innych, rozumiał zarazem lepiej od wielu, że Rzeczpospolita nie umie użyć swych sił i sama o nich nie wie, ale jest potęgą olbrzymią. Gdyby jaki człowiek schwytał w ręce tę potęgę, wtedy: ktoby mu się oparł? A któż mógł zgadnąć, czy straszne niebezpieczeństwo, czy bliskość przepaści i zguby nie potłumi zamieszek, niezgody wewnętrznej, prywaty, zawiści panów, warcholstwa, gadanin sejmowych, swawoli szlacheckiej, bezsilności

króla? Wtedyby pół miliona, samego tylko herbowego ludu, mogło wyruszyć w pole i zgnieść Chmielnickiego, choćby go nietylko chan krymski, ale i sam sułtan turecki wspomagał.

O tej uśpionej potędze Rzplitej wiedział prócz Chmielnickiego i zmarły król Władysław i dlatego całe życie pracował nad tem, by z największym w świecie mocarzem rozpocząć walkę na śmierć, bo tylko w ten sposób potęga owa przywołaną do życia być mogła. Gwoli temu przekonaniu nie wahał się król rzucać iskier i na prochy kozackie. Było li przeznaczonem istotnie kozakom wywołać tę powódź, by w niej utonąć nareszcie?

Chmielnicki rozumiał i to także, jak, mimo całej słabości, strasznym był odpór tej Rzeczypospolitej. W taką bezładną, źle powiazaną, rozdartą, swawolną, nierządną, były przecie, najgroźniejsze ze wszystkich, fale tureckie — i rozbijały się o nią, jak o skałę. Tak było pod Chocimem, na co własnymi niemal oczyma patrzył. Jednak ta Rzeczpospolita, nawet w chwilach swej słabości, zatykała swe chorągwie na wałach obcych stolic. Jakiż tedy da odpór? czego nie dokaże przywiedziona do roz-

paczy, gdy będzie musiała umrzeć albo zwyciężyć?

Wobec tego każdy tryumf Chmielnickiego był nowem dla niego niebezpieczeństwem, bo zbliżał chwilę przebudzenia się lwa drzemiącego i czynił bardziej niemożliwemi układy. W każdym zwycięztwie leżała przyszła klęska, w każdym upojeniu na dnie—gorycz. Teraz na burzę kozacką, miała przyjść burza Rzeczpospolitej. Chmielnickiemu wydawało się, że już słyszy jej głuchy, daleki huk.

Oto z Wielkopolski, Prus, rojnego Mazowsza, Małopolski i Litwy nadejdą tłumy wojowników —trzeba im tylko wodza.

Chmielnicki wziął w niewolę hetmanów, ale i przez tę szczęśliwość przeglądała jakby zasadzka losu. Hetmani byli doświadczonymi wojownikami, ale żaden z nich nie był człowiekiem, jakiego wymagała ta chwila grozy, przerażenia, klęski.

Wodzem mógł być teraz jeden tylko człowiek.

Zwał się on: książę Jeremi Wiśniowiecki.

Właśnie dlatego, że hetmani poszli w niewolę, wybór prawdopodobnie miał paść na

księcia. Chmielnicki nie wątpił o tem, na równi ze wszystkimi.

A tymczasem, do Korsunia, w którym hetman zaporozki zatrzymał się po bitwie dla odpoczynku, dolatywały z Zadnieprza wieści, że straszny książę ruszył już z Łubniów, że po drodze depce bunt niemiłosiernie, że po przejściu jego znikają wsie, slobody, chutory i miasteczka, a natomiast jeżą się krwawe pale i szubienice. Przestraszono i troiś liczbę sił jego. Mówiono, że prowadzi piętnaście tysięcy wojowników najlepszego wojska, jakie być mogło w całej Rzeczpospolitej.

W obozie kozackim spodziewano się go la-da chwila. Wkrótce po bitwie pod Krutą Bałką okrzyk: „Jarema idzie!“ rozległ się między kozakami i rzucił popłoch między czerń, która poczęła ślepo uciekać. Popłoch ten zastanowił głęboko Chmielnickiego.

Miał teraz do wyboru, albo ruszyć z całą potęgą przeciw księciu i szukać go na Zadnieprzu, albo, zostawiwszy część sił na zdobywanie zamków ukraińskich, ruszyć w głąb Rzeczpospolitej.

Wyprawa na księcia była niebezpieczną. Mając do czynienia z tak wsławnym wodzem,

Chmielnicki mimo całej przewagi swych sił, mógł ponieść klęskę w walnej bitwie i wówczas wszystko byłoby straconem odrazu. Czerń, która stanowiła ogromną większość, złożyła świadectwo, że zmyka na samo imię Jaremy. Trzeba było czasu, żeby ją zmienić w wojsko mogące stawić czoło książęcym regimentom.

Z drugiej strony książę prawdopodobnie nie przyjąłby walnej bitwy, ale poprzestał na obro- nie w zamkach i częściowej wojnie, która w takim razie musiałaby trwać całe miesiące jeżeli nie lata, a przez ten czas Rzeczpospolita zebrałaby niechybnie nowe siły i ruszyła w pomoc księciu.

Chmielnicki więc postanowił pozostawić Wi- śniowieckiego na Zadnieprzu, a samemu umo- cnić się na Ukrainie, zorganizować swe siły i następnie ruszywszy do Rzeczpospolitej, zmu- sić ją do układów. Liczył on na to, że gasze- nie buntu na samem tylko Zadnieprzu zajmie na długo wszystkie siły książęce, a jemu da wolne pole. Bunt zaś na Zadnieprzu obiecywał sobie podsycać, wysyłając pojedyncze pułki w pomoc czerni.

Nakoniec sądził, że będzie można łudzić księcia układami i zwłóczyć, czekając, póki

się jego siły nie wykruszą. W tym celu przypomniawszy sobie Skrzetuskiego.

W kilka dni tedy po Krutej Bałce, a w sam dzień popłochu między czernią, kazał przyzwać przed siebie pana Skrzetuskiego.

Przyjął go w domu starościńskim, w asystencyi jednego tylko pana Krzeczowskiego, który Skrzetuskiemu był zdawna znajomy i powitawszy łaskawie, choć nie bez wyniosłości, odpowiedniej dzisiejszej jego szarzy, rzekł:

— Mości poruczniku Skrzetuski, za usługę, którą mi wyświadczyłeś, wykupiłem cię od Tuhaj-beya i obiecałem wolność. Teraz godzina nadeszła. Dam ci piernacz (\*), byś mógł swobodnie przejechać, jeśliby cię wojska jakie spotkały i strażę do obrony od czerni. Możesz wracać do swego księcia.

Skrzetuski milczał. Żaden uśmiech radości nie pojawił się na jego twarzy.

— Możesz-że ruszyć w drogę? bo widzę, że ci coś choroba z oczu przegłąda?

Rzeczywiście pan Skrzetuski wyglądał jak cień. Rany i ostatnie wypadki zwały z nóg

---

(\*) Buława pułkownikowska kozacka, która zastępowała między kozakami list żelazny.

tego olbrzymiego młodziana, który takie teraz miał pozory, jakby nie obiecywał jutra dożyć. Twarz mu pożółkła, a czarna broda niestrzyżona oddawna, podnosiła jeszcze mizeryę oblizczą. Pochodziło to z utrapień wewnętrznych. Rycerz omal się nie zagryzł. Wleczony za obozem kozackim, był przecie świadkiem wszystkiego, co się od wyruszenia z Siczy zdarzyło. Widział hańbę i klęskę Rzeczypospolitej, hetmanów w niewoli; widział tryumfy kozackie, piramidy poukładane z głów odciętych poległym żołnierzom, szlachtę wieszaną za żebra, odrzynane piersi niewiast, profanacye panien, widział rozpacz odwagi, ale i nikczemność strachu—widział wszystko—przecierpiał wszystko i cierpiał tembardziej, że mu w głowie i piersiach utkwiała nożem myśl, że to on sam pośredni sprawca, bo przecie on, nie kto inny oderznął Chmielnickiego od powroza. Ale czy mógł się spodziewać rycerz chrześcijański, że ratunek podany bliźniemu takie wyda owoce? Więc ból jego nie miał dna.

A gdy się siebie spytał, co się dzieje z Heleną, i gdy pomyślał, co mogło się zdarzyć, jeśli złe losy zatrzymały ją w Rozłogach, to ręce ku niebu wyciągał i wołał głosem, w którym

drgała bezdenna rozpacz i prawie groźba: „Boże! weź-że duszę moją, bo już tu mam więcej, niżem zasłużył!” Potem postrzegał się, że bluźni, więc na twarz padał i prosił o ratunek, o przebaczenie, o zmiłowanie nad ojczyzną i nad onym gołębiem niewinnym, co może tam napróżno wzywał bożej i jego pomocy. Krótko mówiąc, przeboleł tak, że go już teraz nie uradowała darowana wolność, a ten hetman zaporozki, ten tryumfator, który chciał być wspaniałym, łaskę mu swoją okazując, nie imponował mu już zgoła; w czem spostrzegłszy się Chmielnicki, zmarszczył się i rzekł:

— Śpiesz-że się korzystać z łaski, abym zaś się nie rozmyślił, gdyż cnota tylko moja i ufność w dobrą sprawę czyni mnie tak nieopatrzny, że wroga sobie przysparzam, bo to wiem dobrze, że przeciw mnie walczyć będą.

Na to pan Skrzetuski:

— Jeśli Bóg da sił.

I spojrzał tak na Chmielnickiego, że aż mu w głąb duszy zajrzał, a hetman wzroku tego zniesć nie mogąc, utkwiał oczy w ziemię i dopiero po chwili ozwał się:

— Mniejsza z tem. Zbyt potężny jestem, by mi jeden chérłak coś znaczył. Opowiesz też księciu, swojemu panu, coś tu widział i przestrzeżesz go, by sobie mniej zuchwale poczynął, bo gdy mnie cierpliwości nie stanie, to go odwiedzę na Zadnieprzu, a nie wiem, czyby mu była miłą moja wizyta.

Skrzetuski milczał.

— Mówiłem i powtarzam raz jeszcze, mówił dalej Chmielnicki, nie z Rzeczapospolitą, ale z panięty wojnę prowadzę, a książę między niemi w pierwszej linii. Wróg to mój i ludu ruskiego, odszczepieniec od naszego kościoła i okrutnik. Słyszę, bunt we krwi gasi, niechże baczy, by swojej nie przelał.

Tak mówiąc, podniecał się coraz bardziej, aż też krew jęła mu do twarzy uderzać, a oczy ciskały płomienie. Widno było, że go chwyta paroksyzm gniewu i złości, w których tracił pamięć i przytomność całkowicie.

— Na powrozie każę go tu Krzywonosowi przywieść!—krzyczał, pod nogi go sobie zegnę, na konia po jego grzbiecie wsiadać będę!

Skrzetuski patrzył z góry na miotającego się Chmielnickiego, poczem odrzekł spokojnie:

— Zwycięż go wprzód.

— J. W. hetmanie! — rzecze Krzeczowski, niechże ten zuchwały szlachcic już jedzie, bo nie wypada dla twojej godności, byś się gniewem przeciw niemu unosił, a gdy mu wolność obiecałeś, liczy on na to, że albo słowo złamiesz, albo jego inwektyw słuchać musisz.

Chmielnicki opamiętał się, posapał chwilę, poczem rzekł:

— Niech-że tedy jedzie, aby zaś wiedział, iż Chmielnicki dobrem za dobre płaci, dać mu piernacz, jakom rzekł, i sorokę tatarów, którzy go do samego obozu odprowadzą.

Poczem, zwracając się do Skrzetuskiego, dodał:

— Ty zaś wiedz, że teraz kwita. Polubiłem cię, mimo twej zuchwałości, ale gdy się jeszcze raz w moje ręce dostaniesz, nie wywiniesz się.

Skrzetuski wyszedł z Krzeczowskim.

— Gdy cię hetman puszcza z całą szyją, rzekł Krzeczowski, i możesz jechać gdzie chcesz, tedy ci powiem po starej znajomości, salwuj się choćby do Warszawy, nie na Zадnieprze, bo ztamtąd żywa noga wasza nie ujdzie. Wasze czasy minęły. Gdybyś miał ro-

zum, do nas byś przystał, ale wiem, że próżno ci to mówić. Poszedłbyś wysoko, jako my pójdziemy.

— Na szubienicę, mruknął Skrzetuski.

— Nie chcieli mnie dać starostwa lityńskiego, a teraz sam nie jedno, ale dziesięć wezmę. Wypędzimy precz panów Koniecpolskich, a Kalinowskich, a Potockich, a Lubomirskich i Wiśniowieckich, Zasławskich i wszystką szlachtę, i sami się ich majątnościami podzielimy, co też i po bożej musi być myśli, gdy nam już dwie, tak znaczne dał wiktorye.

Skrzetuski nie słuchając gadaniny pułkownika, zamyślił się o czem innem, ten zaś mówił dalej:

— Gdym po bitwie i naszej wiktoryi widział w tuhajowej kwaterze w łyczkach mego pana i dobrodzieja, JW. hetmana koronnego, zaraz on mnie niewdzięcznikiem i Judaszem mianować raczył. A ja mu na to: JW. wojewodo! nie jestem ja niewdzięcznikiem, bo gdy już w twoich zamkach i dobrach zasięde — przyrzecz mi jeno, że się nie będziesz napijał — to cię podstarościm swoim zrobię. Ho! ho! obłowi się Tuhaj-bey na tych ptakach, które połapał — i dlatego ich szczędzi — gdyby nie to

inaczejbyśmy z Chmielnickim z niemi pogada-  
li. Ale, ot! wóz dla ciebie gotowy i tatarzy już  
w ordynku. Gdzie tedy życzysz jechać?

— Do Czehryna.

— Jak sobie pościelesz, tak się wypisz.  
Ordyńcy odwiódą cię choćby do samych Łu-  
bniów, bo taki mają rozkaz. Staraj się jeno,  
żeby ich twój książę na pal nie kazał powsa-  
dzać, coby z kozakami pewno uczynił. Dlate-  
go też i dali ci tatarów. Hetman ci i konia  
twego kazał oddać. Bywaj-że zdrów, a wspo-  
minaj nas dobrze i księciu kłaniaj się od na-  
szego hetmana, a jeśli będziesz mógł, to go  
namów, by przyjechał Chmielnickiemu się po-  
klonić. Może łaskę znajdzie. Bywaj zdrów!

Skrzetuski siadł na wóz, który ordyńcy oto-  
czyli zaraz dokoła—i ruszono w drogę. Przez  
rynek trudno było przejechać, bo cały zapcha-  
ny był zaporozcami i czernią. Jedni i drudzy  
warzyli sobie kaszę, śpiewając pieśni o zwy-  
cięstwie żółtowodzkim i korsuńskim, ułożone  
już przez ślepców, lyrników, których mnóstwo  
pościagało zewsząd do obozu. Między ogniami,  
obejmującymi kotły z kaszą, leżały tu i owdzie  
ciała pomordowanych kobiet, nad którymi od-  
ywała się w nocy orgja, lub sterczały pira-

midki z głów uciętych po bitwie zabitym i rannym żołnierzom. Ciała owe i głowy poczynaly się już psuć, i wydawać zgniły zapach, który jednakże nie zdawał się być wcale przykrym dla zgromadzonych tłumów. Miałto nosiło na sobie ślady spustoszeń i dzikiej swawoli zaporozców, okna i drzwi były powyrywane; zdruzgotane szczątki tysiącznych przedmiotów, pomieszane z kwapiem i słomą, zawałyły rynek. Okapy domów przybrane były wisielcami, po większej części z żydowstwa, a tłuszcza bawiła się tu i owdzie, czepiając się nóg wisielców i huśtając się na nich.

W jednej stronie rynku czerniały zgliszcza pogorzałych domów, a między niemi farnego kościoła; od zgliszczy biło jeszcze gorąco i podnosiły się dymy. Woń spalenizny przenikała powietrze. Za spalonymi domami stał kosz, obok którego pan Skrzetuski musiał przejeżdżać i tłumy jassyr, pilnowane przez gęste straże tatarskie. Kto się z okolic Czehryna, Czerkas i Korsunia nie zdołał schronić, lub nie padł pod siekierą czerni, ten poszedł w łyka. Byli więc między jeńcami i żołnierze wzięci w niewolę w obu bitwach i mieszkańcy okoliczni, którzy się dotąd nie mogli lub nie

chcieli do buntu przyłączyć, ludzie ze szlachty osiadłej lub z szlacheckiego gminu, podstarościowie, oficjaliści, chutornicy, drobna szlachta z zaścianków, obojej płci, i dzieci. Starców nie było, bo ich jako niezdatnych na sprzedaż, tatarzy mordowali. Pozagarniali oni również całe wsie i osady ruskie, czemu Chmielnicki nie śmiał się sprzeciwić. W wielu miejscowościach zdarzyło się, że mężowie poszli do obozu kozackiego, a w nagrodę za to tatarzy popalili ich chaty i pobrali żony i dzieci. Ale w ogólnem rozpętaniu się i zdziczeniu dusz, nikt o to nie pytał, nikt się nie upominał. Czerń, która chwytала za broń, wyrzekała się wiosek rodzinnych, żon i dzieci. Brali im żony, brali i oni — i lepsze, bo „łaszkі“, które, po nasyceniu się ich wdziękami, mordowali, lub odprzedawali ordyńcom. Między jeńcami nie brakło też „mołodyć“ ukraińskich, powiązanych po trzy, po cztery na jednym stryczku, wraz z pannami szlacheckich domów. Niewola i niedola równała stany. Widok tych istot wstrząsał do głębi duszę i budził żądzę zemsty. Poobdzierane, pół nagie, narażone na sromotne żarty pohańców, włóczących się gromadami przez ciekawość po majdanie, potracą-

ne, bite, lub całowane ohydne usty, traciły pamięć, wolę. Niektóre szlochały, lub zawodziły głośno, inne z oczyma w słup, z obłąkaniem w twarzy i otwartymi ustami poddawały się biernie wszystkiemu, co je spotykało. Tu i owdzie zrywał się wrzask jeńca mordowanego bez litości za wybuch rozpaczego oporu. Świst bizunów z byczej skóry rozlegał się między gromadami mężczyzn i zlewał się z okrzykami bóleści i piskiem dzieci, ryczeniem bydła i rżeniem koni. Jassyr nie był jeszcze rozdzielony i ustawiony w pochodowym porządku, więc wszędzie panowało największe zamieszanie. Wozy, konie, bydło rogate, wielbłądy, owce, kobiety, mężczyźni, stosy złupionych ubiorów, naczyń, makat, broni, wszystko to natłoczone w jeden ogromny tabor, oczekiwało dopiero podziału i ordynku. Raz wraz, podjazdy przypędzały nowe gromady ludzi i bydła, naładowane promy płynęły przez Roś, z głównego zaś kosza przybywali coraz nowi goście, by nasycić oczy widokiem zebranych bogactw. Niektórzy pijani kumysem lub gorzałką, poprzebierani w dziwaczne stroje, bo w ornaty, komże, ruskie rjasy lub nawet suknie kobiece, poczynali już spory, kłó-

tnie i jarmarczny wrzask o to, co komu będzie należało. Czabanowie tatarscy siedząc na ziemi między stadami, zabawiali się, jedni wygwizdywaniem na piszczałkach przeraźliwych melodyi, inni grą w kości i okładaniem się wzajemnie kijami. Gromady psów, które przyciągnęły tu za swemi panami, ujadły i wyły żałośnie.

Pan Skrzetuski minął wreszcie tę Gehennę ludzką, pełną jęków, łez niedoli i piekielnych wrzasków, myślał tedy, że już odetchnie swobodniej, aliści zaraz za taborem nowy straszny widok uderzył jego oczy. W dali szarzał kosz właściwy, od którego dochodziło ustawiczne rżenie koni—i mrowił się tysiącami tatarów, bliżej zaś, na polu tuż koło gościńca, wiodącego do Czerkas, młodzi wojownicy zabawiali się strzelaniem dla wprawy z łuków do jeńców słabszych, lub chorych, którzyby nie mogli wytrzymać długiej drogi do Krymu. Kilkadziesiąt ciał leżało wyrzuconych już na drogę i podziurawionych jak sita, niektóre z nich drgały jeszcze konwulsyjnie. Ci, do których strzelano, wisieli przywiązani za ręce do drzew przydrożnych. Były między nimi i stare ko-

biety. Śmiechom zadowolenia po trafnych strzałach towarzyszyły okrzyki.

— Jaksze iegit! — Dobrze chłopcy!

— Uk jaksze koł! — Łuk w dobrych rękach!

Koło głównego kosza opraviano tysiące bydła i koni na pokarm wojownikom. Ziemia była złana krwią. Mdłe wyziewy surowizny tłumiły oddech w piersiach, a między kupami mięsa kręcili się czerwoni ordynicy z nożami w ręku. Dzień był skwarny, słońce piekło. Ledwie po godzinie drogi wydostał się pan Skrzetuski wraz z swoją eskortą na czyste pola, ale z oddali dochodził długo jeszcze z głównego kosza gwar i ryk bydła. Po drodze widniały ślady przejścia drapieżników. Tu i owdzie popalone sadyby, sterczące kominy futorów, potratowana ruń zbóż, drzewa połamane, sady wiśniowe przy chatach wycięte na ogień. Na gościńcu raz wraz leżały to trupy końskie, to ludzkie, pokaleczone okropnie, sine, nabrzmięte, a na nich i nad niemi stada wron i kruków, zrywające się z wrzaskiem i szumem przed ludźmi. Krwawe dzieło Chmielnickiego rzucało się wszędy w oczy i trudno było zrozumieć przeciw komu ten człowiek rękę

podniósł, bo jego własny kraj jęczał przede-  
wszystkiem pod brzemieniem niedoli.

W Mlejowie spotkali podjazdy tatarskie,  
pędzące nowe tłumy jeńców. Horodyszcze było  
spalone do cna. Sterczała tylko murowana  
dzwonnica kościelna i stary dąb stojący na  
środku rynku, pokryty strasznym owocem, bo  
wisało na nim kilkadziesiąt małych żydźiāt,  
powieszonych przed trzema dniami. Wymordo-  
wano tu również dużo szlachty z Konoplanki,  
Starosiela, Więzowka, Bałakleja i Wodaczewa.  
Samo miasteczko było puste, bo mężczyźni po-  
szli do Chmielnickiego, a niewiasty, dzieci  
i starcy uciekli do lasów przed spodziewanem  
najściem wojsk księcia Jeremiego. Z Hor-  
dyszcza jechał pan Skrzetuski na Smiłę, Za-  
botyn i Nowosielce do Czehryna, zatrzymując  
się tylko tyle po drodze, ile trzeba było na  
wypoczynek dla koni. Wjechali do miasta na  
drugi dzień z południa. Wojna oszczędziła  
miasto, niektóre tylko domy były zburzone,  
a między niemi Czaplińskiego z ziemią zrów-  
nany. W grodzie stał podpułkownik Naokoło-  
palec, a z nim tysiąc mołojców, ale i on i mo-  
łojcy i cała ludność żyła w największem prze-  
rażeniu, gdyż tu, jak i wszędzie po drodze,

wszyscy byli pewni, że książę lada chwila nadciągnie i wyrze zemstę, o jakiej świat nie słyszał. Niewiadomo było, kto puszcza te wieści, z kąd one przychodzą; może je tworzył przestrah, dość że ustawicznie powtarzano to, że książę płynie już Sułą, to, że już jest nad Dnieprem, że spalił Wasiutyńce, że wyciął ludność w Borysach, i każde zbliżenie się jeźdźców, lub pieszego ludu, wywoływało popłoch bez granic. Pan Skrzetuski chwycił chciwie te wieści, bo rozumiał, że choćby nie były prawdziwe, to jednak tamowały szerzenie się buntu na Zadnieprzu, nad którym ręka książęca ciążyła bezpośrednio.

Skrzetuski chciał dowiedzieć się czegoś pewniejszego od Naokoło-palca, ale pokazało się, że podpułkownik, na równi z innemi, nic nie wiedział o księciu i jeszcze sam byłby rad zasięgnąć jakich wiadomości od Skrzetuskiego. A ponieważ przeciągnięto na tę stronę wszystkie bajdaki, czółna i podjazdki, więc i zbiegowie z drugiego brzegu nie przybywali do Czehryna.

Skrzetuski więc nie bawiąc dłużej w Czehrynie, kazał się przeprowadzić i ruszył bez zwłoki do Rozłogów. Pewność, że wkrótce sam

przekona się, co stało się z Heleną i nadzieją, że może jest ocalona, albo też ukryła się wraz ze stryjną i kniaziami w Łubniach, wróciła mu siły i zdrowie. Przesiadł się z wozu na koń i gnał bez litości swoich tatarów, którzy uważając go za posła, a siebie za przystawów, oddanych pod jego komendę, nie śmieli mu stawić oporu. Lecieli tedy jakby ich goniono, a za nimi złote kłęby kurzawy, wzbijanej kopytami bachmatów. Mijali sadyby, chutory i wioski. Kraj był pusty, siedziby ludzkie wyludnione, tak że długo nie mogli spotkać żywej duszy. Prawdopodobnie też kryli się wszyscy przed niemi. Tu i owdzie kazał pan Skrzetuski szukać w sadach, pasiekach, po zapolach i strzechach stodół, ale nie mogli znaleźć nikogo.

Dopiero za Pohrebami jeden z tatarów dostrzegł jakąś postać ludzką, usiłującą skryć się między szuwarami, obrastającymi brzegi Kahamliku.

Tatarzy skoczyli ku rzece i w kilka minut później przywiedli przed pana Skrzetuskiego dwóch ludzi całkiem nagich.

Jeden z nich był to starzec, drugi wysmukły, może piętnasto lub szesnastoletni wyro-

stek. Obaj kłapali zębami ze strachu i długi czas nie mogli ni słowa przemówić.

— Zkąd wy?—spytał pan Skrzetuski.

— My znikąd panie!—odpowiedział starzec. Po prośbie chodzim — z teorbanem, a ot, ten niemowa mnie prowadzi.

— Zkąd idziecie teraz, z jakiej wsi? Mów śmiało, nic ci nie będzie.

— My panie po wszystkich wsiach chodzili, aż nas tu jakiś czort obdarł. Buty mieli dobre, wziął—czapki dobre, wziął—sukmany z litości ludzkiej dobre, wziął i teorbana nie zostawił.

— Pytam się kpie, z jakiej wsi idziesz?

— Ne znaju pane — ja did. Ot my nadzy, nocą marzniem, we dnie szukamy litościwych, coby okryli i nakarmili, my głodni!

— Słuchaj tedy chłopie, odpowiadaj o co pytam, bo każę powiesić.

— Ja niczoho ne znaju pane. Kołyb ja szczo, abo szczo, abo bude szczo, to nechaj mini, ot szczo!

Widocznem było, że dziad nie mogąc sobie zdać sprawy, coby za jeden był ten, kto go pyta, postanowił nie dawać żadnych odpowiedzi.

— A w Rozłogach byłeś, tam gdzie kniaziowie Kurcewicze mieszkają?

— Ne znaju pane.

— Powiesić go!—krzyknął pan Skrzetuski.

— Buw pane! — zawołał dziad, widząc, że niema żartów.

— Coś tam widział?

— My tam byli pięć dni temu, a potem w Browarkach słyszeli, że tam *tycari prijszli*.

— Jacy rycerze?

— Ne znaju pane! Odin, każe, lachy; drugi, każe, kozaki.

— W konie! — krzyknął na tatarów pan Skrzetuski.

Poczet pomknął. Słońce zachodziło, zupełnie jak wówczas, gdy namiestnik po spotkaniu Heleny i kniahini na drodze, jechał obok nich przy rozwaszowej karocy. Kahamlik tak samo świecił purpurą, dzień kładł się do snu jeszcze cichszy, pogodniejszy, cieplejszy. Tylko wówczas jechał pan Skrzetuski z piersią pełną szczęścia i budzących się lubych uczuć, a teraz pędził jak potępieniec, gnany wichrem niepokoju i złych przeczuć. Głos rozpaczy wołał mu w duszy: „to Bohun ją porwał! już jej nie ujrzysz więcej!“ a głos nadziei: „to ksią-

że! ocalona!“ I te głosy tak go rozrywały między siebie, że ledwo nie rozerwały mu serca. Pędzili resztą sił końskich. Upłynęła jedna godzina i druga. Księżyc zeszedł i wytaczając się coraz wyżej, bladł coraz bardziej. Konie pokryły się pianą i chrapały ciężko. Wpadli w las, mignął jak błyskawica; wpadli w jar, za jarem tuż Rozłogi. Chwila jeszcze, a losy rycerza się rozstrzygną. Tymczasem wiatr świszcze mu w uszach od pędu, czapka spadła mu z głowy, koń pod nim jęczy, jakby miał paść zaraz. Chwila jeszcze, skok jeszcze i jar się roztworzy. Już! już!

Nagle krzyk nieludzki, straszny, wyrwał się z piersi pana Skrzetuskiego.

Dwór, lamusy, stajnie, stodoły, częstokoł i sad wiśniowy—wszystko znikło.

Blady księżyc oświecał wzgórze, a na niem kupę czarnych zgliszczy, które przestały już nawet i dymić.

Milczenia nie przerywał żaden odgłos.

Pan Skrzetuski stanął przed fosą niemy, ręce tylko do góry podniósł, patrzył, patrzył, i głową jakoś dziwnie potrząsał. Tatarzy wstrzymali konie. On zsiadł, odszukał resztek spalonego mostu, przeszedł rów po belce po-

przecznej i siadł na kamieniu leżącym na środku majdanu. Siadłszy, począł się oglądać dokoła jak człowiek, który pierwszy raz na jakimś miejscu będąc, usiłuje się z nim zapoznać. Opuściła go przytomność. Nie wydał ani jęku. Po chwili ręce na kolanach wsparłszy, głowę spuścił i pozostał w nieruchomej postawie, tak, że mogło się zdawać, że usnął. Jakóż jeśli nie usnął, to odrętwiał—i przez głowę zamiast myśli, przelatywały mu tylko niejasne obrazy. Widział więc naprzód Helenę, taką, jaką ją był pożegnał przed ostatnią podróżą, jeno twarz miała jakby przesłoniętą przez mgłę, tak że jej rysów nie można było rozpoznać. On ją chciał z tego mglistego obłoku wydostać i nie mógł. Więc odjechał z ciężkiem sercem. Potem przez głowę mignął mu rynek czehryński, stary Zaćwilichowski i bezczelna twarz Zagłoby; twarz ta ze szczególnym uporem stawiała mu przed oczyma, aż wreszcie zastąpiło ją ponure oblicze Grodzickiego. Potem widział jeszcze Kudak, porohy, walkę na Chortycy, Sicz, całą podróż i wszystkie wypadki, aż do dnia ostatniego, aż do ostatniej godziny. Ale dalej już ciemność! Co się z nim teraz działo, nie rozpoznawał. Miał

tylko jakieś niewyraźne poczucie, że do Hele-  
ny, do Rozłogów jedzie, ale sił mu brakło,  
więc odpoczywa na zgliszczech. Chciałby już,  
ot, podnieść się i jechać dalej, ale jakieś nie-  
zmierne osłabienie przykuwa go do miejsca,  
tak jakby mu stufuntowe kule do nóg poprzy-  
wiązywano.

Siedział więc i siedział. Noc upływała. Ta-  
tarzy roztasowali się na nocleg i rozłożywszy  
ogienień, poczęli przypiekać przy nim kawały  
końskiego ścierwa, następnie nasyceni, pokła-  
dli się na ziemi.

Ale nie upłynęła i godzina, gdy zerwali się  
na równe nogi.

Zdala dochodził gwar podobny do odgłosów,  
jakie wydaje wielka liczba jazdy, idącej śpie-  
sznym marszem.

Tatarzy zatknęli co prędzej na żerdź białą  
płachtę i podsycili obficie płomień, tak, aby  
zdala mogli być rozpoznani, jako wysłańcy po-  
kojowi.

Tętet koni, parskanie i brzęk szabel, zbli-  
żał się coraz bardziej i wkrótce, na drodze  
ukazał się oddział jazdy, który wnet otoczył  
tatarów.

Rozpoczęła się krótka rozmowa. Tatarzy wskazali na postać siedzącą na wzgórzu, którą zresztą widać było doskonale, bo padało na nią światło miesiąca, i oświadczyli, że prowadzą posła, a do kogo, to on najlepiej powie.

Wówczas dowódca oddziału, wraz z kilkoma towarzyszami, udał się na wzgórze, ale zaledwie zbliżył się i spojrzał w twarz siedzącemu, gdy ręce rozkrzyżował i wykrzyknął:

— Skrzetuski! Na Boga żywego, to Skrzetuski!

Namiestnik ani drgnął.

— Mości namiestniku! nie poznajesz-że mnie? Jam jest Bychowiec. Co ci jest?

Namiestnik milczał.

— Zbudź-że się na Boga! Hej towarzysze, a bywajcie-no!

Istotnie był to pan Bychowiec, który szedł w awangardzie przed wszystką potęgą księcia Jeremiego.

Tymczasem nadciągnęły i inne pułki. Wieść o odnalezieniu Skrzetuskiego rozbiegła się piorunem po chorągwiach, więc wszyscy śpieszyli powitać miłego towarzysza. Mały Wołodyjowski, dwaj Sleszyńscy, Dzik, Orpiszewski, Mi-

gurski, Jakubowicz, Lenc, pan Longinus Podbięta, i mnóstwo innych oficerów biegło na wyścigi na wzgórze. Ale próżno przemawiali do niego, wołali po imieniu, szarpali za ramiona, usiłowali podnieść, — pan Skrzetuski patrzył na nich szeroko otwartemi oczyma i nie rozpoznawał nikogo. A raczej przeciwnie! zdawało się, że ich rozpoznaje, tylko że są mu już zupełnie obojętni. Wtedy, ci co wiedzieli o jego miłości dla Heleny, a prawie wszyscy już wiedzieli, przypomniawszy sobie w jakim to właśnie są miejscu, spojrzawszy na czarne zgliszcza i siwe popioły, zrozumieli wszystko.

— Od boleści się zapamiętał,—szeptał jeden.

— Desperacya mentem mu pomieszała.

— Zaprowadźcie go do księcia. Może jak jego zobaczy, to się ockniel

Pan Longinus ręce łamał. Wszyscy otoczyli kołem namiestnika i poglądali na niego ze współczuciem. Niektórzy obcierali łzy rękawicami, inni wzdychali żałośnie. Aż nagle z koła wysunęła się jakaś wyniosła postać i zbliżwszy się zwolna do namiestnika, położyła mu na głowie obie ręce.

Był to książdz Muchowiecki.

Wszyscy umilkli i poklękali, jakby w oczekiwaniu cudu, ale ksiądz cudu nie czynił, jeno wciąż trzymając ręce na głowie Skrzetuskiego, podniósł oczy ku niebu, pełnemu blasków miesięcznych, i począł mówić głośno:

— Pater noster, qui es in coelis! sanctificetur nomen tuum, adveniat regnum tuum, fiat voluntas tua...

Tu przerwał i po chwili powtórzył głośniejszą i uroczystą:

— ...Fiat voluntas tua!...

— Cisza zapanowała głęboka.

— Fiat voluntas tua!... — powtórzył ksiądz po raz trzeci.

Wtedy z ust Skrzetuskiego wyszedł głos niezmiernego bólu, ale i rezygnacji.

— Sicut in coelo, et in terra!

I rycerz rzucił się na ziemię ze szlochaniem.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

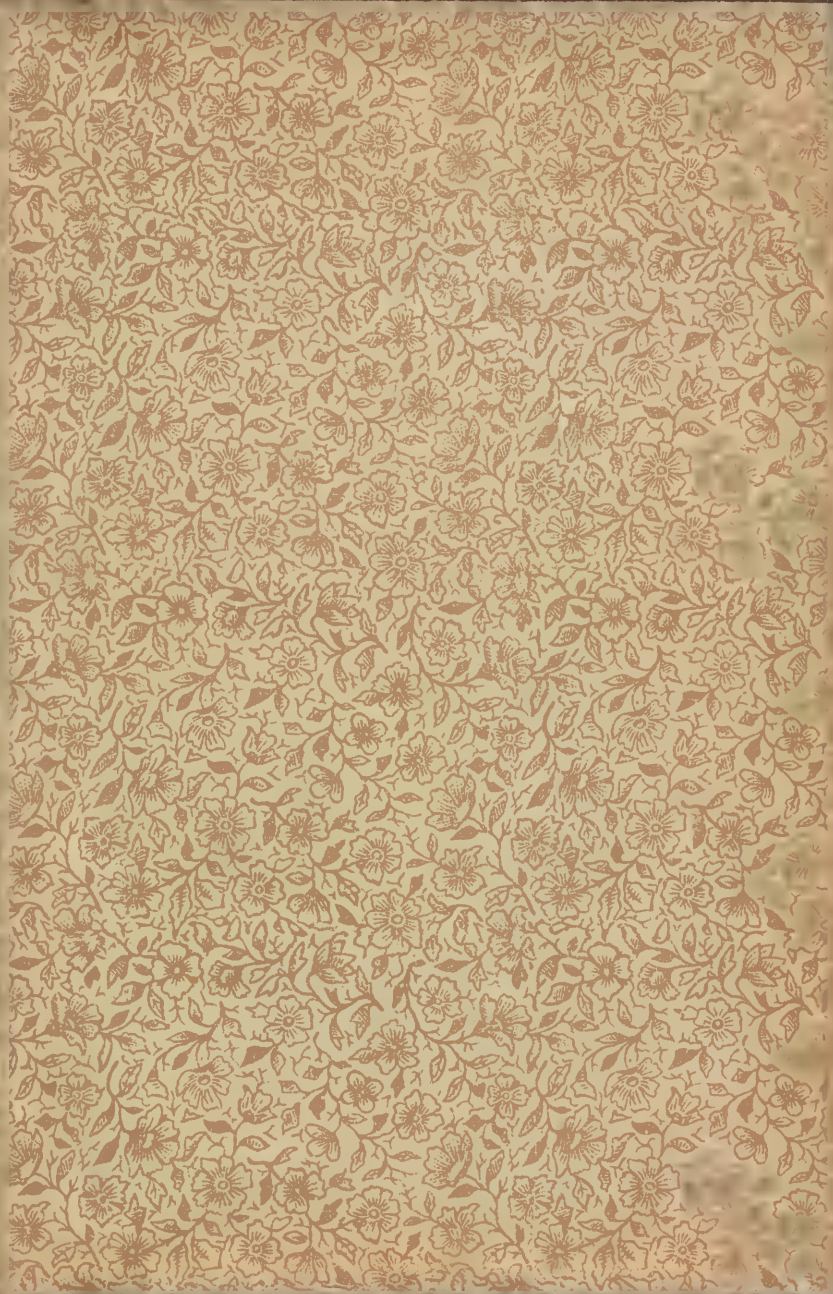


Z 540337

100









ul. Koszykowa 26/28



BPW00245742